

ENOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

SPRAWA BRAWUROWEJ UCIECZKI

*Wciągająca przygoda z feministycznym akcentem. Enola udowadnia,
że geniusz tkwi w rodzinie!*

- WYBREDNA MARUDA MARTA DĄBKOWSKA -

TOM - 8 -



 Poradnia K

NANCY SPRINGER

**ENOLA
HOLMES**

**SPRAWA
BRAWUROWEJ
UCIECZKI**

PRZETŁUMACZYŁA ELŻBIETA GAŁĄZKA-SALAMON



Poradnia K

*Dla Jaimego Fernanda Pinty
z wyrazami miłości*



PROLOG

Siedemnastoletnia lady Cecily Alistair zacisnęła dłoń wokół drutu do dziergania i z furią wydrapała jego szpikulcem toporną, naturalnej wielkości karykaturę swojego ojca na wewnętrznej stronie zamkniętych na klucz drzwi sypialni. Była bosa, a za jedyne odzienie służyła jej koszula nocna. Cofnęła się, żeby ocenić podobiznę krępego jegomościa o nalanej twarzy, powstała z brązowych, upstrzonych drzazgami rys na białej farbie. Mogłaby osiągnąć lepszy efekt, gdyby miała do dyspozycji farbę lub węgiel, jednak ojciec zabrał jej wszystko, kiedy ją tu przed tygodniem uwięził. Nie pozwolił zatrzymać dzienników, ołówków i piór, nawet książek do czytania, zostawił jej tylko druty i włóczkę, wiedząc doskonale, że córka nie pała i nigdy nie pałała miłością do damskich robótek.

Zanim to się wydarzyło, zaledwie rok wcześniej, była posłuszną, choć może niekoniecznie szczęśliwą dorastającą panną, a jej jedynym zmartwieniem było szykowanie się do prezentacji przed królową. Polegało ono na ćwiczeniu sztuki dygania niemalże do samej ziemi tak, by nie drgnęło żadne z trzech długich białych piór sterzących groteskowo z ufryzowanej głowy. Drugim stojącym przed nią zadaniem było – po rozpoczęciu „bywania” na salonach w roli debutantki – znalezienie odpowiednio bogatego i utytułowanego męża.

Wspominając tamte czasy, lady Cecily ujęła w palce drut niczym strzałkę do rzutków i posłała go w wymagowany cel, czyli serce ojca – a może raczej miejsce, w którym powinno się znajdować.

Nie marzyła szczególnie o „bywaniu” ani o małżeństwie, wykazywała jednak gotowość do zaaprobowania rodzicielskich planów. No bo przecież to nie ona je przekreśliła. To nie jej wina, że została niedawno zahipnotyzowana i uprowadzona.

Pocisk lady Cecily odbił się z brzękiem od zamkniętych drzwi, chybiając celu.

Zmarszczyła brwi, podniosła drut z zamiarem ponowienia próby i nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, dlaczego zachowywała się tak potulnie i ulegle, dlaczego została tak dogłębnie ubezwłasnowolniona przez... owszem, przez oczekiwania rodziców, ale także, co bardziej niepokojące, przez moc sprawczą złoczyńcy. Charyzmatyczny porywacz użył metody Mesmera i pewnie nigdy by się nie wyrwała spod jego władzy, gdyby nie dziwna, nad wiek wyrośnięta zuchowata dziewczyna o imieniu Enola, która wyłoniła się z mroków nocy, by po oswobodzeniu Cecily i ocaleniu jej życia zniknąć ponownie w ciemności, jakby była upiorem.

Enola: tajemnica. Jej imię czytane wspak brzmiało „alone” (samotna). Nad Kopciuszkiem czuwała jej matka chrestna, czyli wróżka, a w życiu Cecily pojawiła się dość ekscentryczna siostra chrestna.

Gdyby życie było bajką, panna Alistair wróciłaby do domu i żyła dalej długo i szczęśliwie, ale rzeczywistość okazała się inna. Papa piorunował i grzmiał, chociaż między jego córką a porywaczem nie zaszło absolutnie nic poza tym, że bandyta ją głodził, zmuszał do pracy, no i usiłował pozbawić życia. Jednakże dla papy i dla większości eleganckiego światka był to skandal, który sprawił, że Cecily, niewinna ofiara, stała się nagle zbrukany i splamiony, czyli trzeciorzędny materiałem na żonę. Już nigdy nie można jej będzie przedstawić na królewskim dworze, nigdy nie będzie debutantką i żaden arystokratyczny kandydat na męża nie zwróci na nią uwagi.

Papa nie dał jej nawet czasu na ochłonięcie po tamtej gehennie i powierzył sprawowanie nad nią pieczy swoim dwóm wstrętnym siostram, uknuwszy przedtem spisek mający na celu wyswatanie jej przypominającemu ropuchę kuzynowi. Kochający tatuś omal nie dopiął swego i byłby zmusił ją jak niewolnicę do zawarcia małżeństwa, gdyby nie to, że wskutek fortunnego zbiegu okoliczności udało jej się

przekazać Enoli zaszyfrowaną wiadomość, choć widoki na ratunek były znikome. W dniu swojego ślubu Cecily była już tak wycieńczona głodem i zmaltretowana, że dałaby się zawlec na ceremonię jak bezwolna szmaciana lalka. I połączyłaby się dożywotnio z nienawistnym sobie człowiekiem, gdyby znów nie interweniowała Enola.

Zjawiała się w ostatniej chwili niczym bohaterski książę z baśni (na pewno dorównywała mu wzrostem). Tamtego dnia Cecily dowiedziała się przy okazji o wiele więcej na jej temat, ponieważ Enola przekazała ją w ręce swego brata, którym okazał się nikt inny jak słynny detektyw Sherlock Holmes! Tajemnicza Enola stała się Enolą Holmes, a w oczach Cecily także... tak, w jakiś przedziwny sposób Enola stała się jej najdroższą przyjaciółką, chociaż spotkały się zaledwie dwa razy w życiu, w styczniu i w maju... No dobrze, trzy razy, jeśli liczyć nieme spotkanie w pierwszym londyńskim przybytku dla dam.

Sherlock Holmes zadbał o to, by Cecily trafiła pod bezpieczne skrzydła swojej matki, i przez chwilę mogło się wydawać, że sprawy przybiorą pomyślniejszy obrót. Jednak w krótkim czasie papa odszukał obie panie, zmusił je do powrotu pod swój dach, po czym uwięził córkę w jej własnej sypialni, zapowiadając, że wyda ją za mąż przy pierwszej nadarzającej się sposobności bez względu na tożsamość męża i okoliczności zaręczyn. I nie dość, że w ramach kary pozbawił Cecily książek i możliwości tworzenia, to jeszcze, chcąc uniemożliwić jej ucieczkę, zabrał jej wszystkie ubraniaienne.

I dlatego w połowie tamtego słonecznego październikowego popołudnia miała na sobie jedynie koszulę nocną i nic lepszego do roboty niż wyskrobywanie wielkiej podobizny swego spalonego ojca na wewnętrznej stronie drzwi pokoju, w którym ją przetrzymywano.

Dłoń trzymająca drut zacisnęła się w pięść. Jednak zamiast ponownie rzucić zaimprovizowanym orężem do celu, Cecily podeszła do drzwi i wbiła – tym razem celnie – szpikulec w drewno. A potem, wyciągnąwszy go i posługując się dalej zakazaną lewą dłonią, metodycznie dźgała raz po raz wizerunek sir Eustace’a Alistaira, baroneta.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Październik 1889

Kiedy w ten słoneczny październikowy dzionek wysiadałam z dorożki, ogarnęła mnie wzmożona radość życia. Wreszcie przysłano mi z drukarni nowe bilety wizytowe, na których widniały moje prawdziwe imię i nazwisko: Enola Holmes. Miałam na sobie nowiutką poloneskę o wiśniowej barwie i wybierałam się z wizytą do swojej najlepszej przyjaciółki, z którą miałyśmy mnóstwo spraw do obgadania. Bardzo wiele się wydarzyło od naszego ostatniego spotkania sprzed kilku miesięcy.

Po pierwsze i najważniejsze, nie byłam już uciekinierką ściganą przez moich starszych braci, Sherlocka i Mycrofta Holmesów. Od pamiętnego czerwcowego dnia sprzed ponad roku, kiedy to zniknęła nasza matka, nie ustawali w wysiłkach, by wziąć mnie w karby, posłać na pensję dla panien i wcielić w życie inne podobnie opresyjne plany, a ja nie ustawałam w wysiłkach, by nie dać się im schwytać. A jednak wskutek moich przygód – a raczej moich osiągnięć – w końcu zawarli ze mną rozejm i zgodzili się, że ja – Enola Eudoria Hadassah Holmes! – jestem całkowicie zdolna do samodzielnego bytowania, mimo że nie osiągnęłam jeszcze pełnoletności.

Ponadto – co znacznie ważniejsze – udało się nam we troje ustalić, gdzie przebywała nasza matka. Otrzymaliśmy bowiem od niej list z wyjaśnieniami, z którego wynikało, iż pożegnała się już z doczesnym światem, jednak przedtem, wiedząc, że jej dni są policzone, postanowiła spędzić ostatnie chwile w spokoju, rzuciwszy wyzwanie dławiącym jej wolność wymogom życia towarzyskiego. Spoczęła w nieoznakowanej mogile, my natomiast mieliśmy się wystrzegać noszenia ośmieszających i zrytualizowanych czarnych strojów na znak żałoby po stracie matki.

Skutkiem tej serii wydarzeń – pojednania się z braćmi i osierocenia przez rodzicielkę – uznałam, że najwyższy czas, że tak powiem, zaczerpnąć tchu i odpocząć nieco od mojego młodzieńczego, acz nieco nazbyt awanturczego życia. Wynajęłam nieduży pokój w Klubie dla Pań (instytucji, która nawet w oczach Mycrofta dawała mi pełnię bezpieczeństwa z racji tego, że jej progi były niedostępne dla przedstawicieli płci męskiej). Zawiesiłam na bliżej nieokreślony czas praktykę w zawodzie naukowczyni-perdytorystki specjalizującej się w odnajdywaniu tego, co zaginione. Koniec z przesiadywaniem w biurze doktora Ragostina. Postanowiłam wykorzystać zaoszczędzony czas na uczestnictwo w odczytach odbywających się w Londyńskiej Akademii dla Kobiet, by zgłębiać, i to z wielkim upodobaniem, tajniki nauk ścisłych, w szczególności zaś algebry, geometrii i nauk przyrodniczych. Co więcej, spodobało mi się utrzymywanie kontaktów towarzyskich czy też raczej fraternizowanie się z braćmi, zwłaszcza z Sherlockiem. Pogłębianie naszej znajomości było wyjątkowo intrygującym procesem.

Przyznam się także, że w tym czasie odkryłam również rozkosz płynącą z robienia zakupów. Ku mojej wielkiej radości okazało się, że „figura klepsydry” odchodzi wreszcie do lamusa! I zbiegło to się w czasie z rezygnacją z noszenia wypełniaczy bioder i uzdatniaczy biustu, by stać się mniej rozpoznawalną dla braci. Mogłam spokojnie odłożyć je do szafy! Aż wreszcie nadszedł ten wyjątkowy dzień, który poświęciłam na odwiedzanie kolejnych sklepów z damskimi fatalaszkami w towarzystwie moich nowo poznanych przyjaciółek Tish i Flossie, nabyłam bardzo nowoczesny w kroju strój, w którym mogłam się zaprezentować światu jako nikt inny tylko szczupła i wysoka ja. Do szczęścia brakowało mi jedynie spotkania z moją najlepszą przyjaciółką, lady Cecily Alistair.

Tak, jakimś przedziwnym sposobem stała się najdroższą mojemu sercu znajomą, mimo że widzieliśmy się tylko dwa razy w życiu, w styczniu tego roku, a potem w maju... No dobrze, trzy razy, jeśli liczyć spotkanie w publicznym szalecie.

Pokonawszy pewnym krokiem ścieżkę z ułożonego w wymyślne wzory klinkieru, wystukałam radosne „tuk, tuk, tuk” kołatką wiszącą na drzwiach wejściowych rezydencji Alistairów.

Po nieco przedłużającej się chwili drzwi skrzypnęły, ukazując w wąskiej szczelinie typowego kamerdynera o kamiennej twarzy. Wręczając mu swoją wizytówkę, spytałam tonem nieznoszącym sprzeciwu:

– Czy zastałam lady Cecily?

– Lady Cecily nie życzy sobie żadnych gości – oznajmił, szykując się do zamknięcia drzwi.

– Chwileczkę! – Zrobiłam krok w jego stronę i wsunęłam stopę za próg, uniemożliwiając mu ich zatrząsnięcie. Jeśli nawet Cecily ucięła sobie drzemkę, z pewnością nie zechce się pozbawić przyjemności spotkania ze mną. – Proszę przekazać pani moją wizytówkę i sami się przekonamy, że zmieni zdanie – powiedziałam służącemu.

Nie sięgnawszy nawet po srebrną tackę, powtórzył twardo:

– Lady Cecily nie życzy sobie żadnych gości.

Mimo że dzień był ciepły i słoneczny – rzadko obserwowane w Londynie zjawisko, zwłaszcza jesienią – przeszył mnie zimny i mroczny dreszcz spowodowany nagłym niepokojem o lady Cecily. Co to wszystko ma znaczyć? Przyniosłszy z sobą na świat leworęczność, co było w wyższych sferach wyjątkowym nieszczęściem, lady Cecily została poddana jeszcze bardziej drakońskiej dyscyplinie niż większość dobrze urodzonych panien. Rodzina postawiła sobie za punkt honoru uformowanie z niej skromnej, posłusznej i w pełni praworęcznej ozdoby salonów. A jednak dziewczyna w największej tajemnicy przejawiała oznaki buntu, kreśląc lewą dłonią ekspresyjne szkice węglem i wypracowując sobie dwa zupełnie odmienne charaktery pisma. No i dwa usposobienia: jedno pełne słodyczy i godne damy, drugie przejawiające zapędy reformatorskie. Czyżby zdradziła się przed rodziną ze swoimi poglądami i z tego powodu wpadła w tarapaty? A może działo się coś o wiele bardziej złowróżbnego? Pamiętam swoje pełne smutku zaskoczenie na wieść o tym, że matka Cecily wróciła do Londynu, by pojednać się z mężem. A może „pojednać się” wcale nie jest odpowiednim określeniem tego, co zaszło?

Zwróciłam się ponownie do kamerdynera o kamiennej twarzy:

– W takim razie pragnę zamienić kilka słów z lady Theodorą. – I znów wyciągnęłam w jego stronę wizytówkę.

A on i tym razem nie zaszczycił jej uwagą.

– Jaśnie pani nikogo nie przyjmuje.

Co się za tym wszystkim kryje? Lady Theodora nie przyjmuje wizyt towarzyskich? Coś mi się tu bardzo nie podoba.

– W imię Boga i Mehetabel! – zawołałam, tracąc cierpliwość. – Doskonale pan wie, że kogo jak kogo, ale mnie akurat przyjmie. Czyżby mnie pan nie pamiętał? – Zaokrągliłam i skuliłam ramiona, pochyliłam głowę, wbiłam wzrok w podłogę i przyjąwszy pozę dobrze wychowanego wróbelka, stałam się panią Ragostin, która zaoferowała niedawno lady Theodorze pomocną dłoń w kryzysowej sytuacji. – Nie pamięta mnie pan? – powtórzyłam szczebiotliwie, by po chwili wyprostować się jak struna i zmierzyć kamerdynera karcącym wzrokiem spod runda mojego słomkowego kapelusza. – No? – warknęłam.

Najwyraźniej mój występ wstrząsnął nim do głębi, ponieważ w rzeźbionej w marmurze facjacie coś drgnęło i pękło, a jego władcza postawa nieco skruszała.

– Panno... ehm... Ragostin... pani. To znaczy, tego... przykazano mi, cobym nikogo nie wpuszczał, najmocniej panią przepraszam, ale tak mi przykazał sam sir Eustace. – Wystudiowane słownictwo i intonacja przepadły bez śladu. – Nie wolno mi nawet tknąć paninej wizytówki, bo wylecę z roboty.

– Sir Eustace tak panu przykazał! – powtórzyłam jak echo zdjęta strachem i odruchowo uniosłam odzianą w skórkową rękawiczkę dłoń do ust, przypomniawszy sobie, że o ojcu lady Cecily nie krążyły żadne pochlebne opinie w przeciwieństwie do mnóstwa krytycznych.

Nieszczęsny służący aż się wzdrygnął.

– Och nie, panienko, nie chciałem przez to powiedzieć, że...

Uznałam, że nie warto czekać na informację, czego kamerdyner nie chciał mi przez to powiedzieć. Oszołomiona i pełna obaw odwróciłam się na pięcie, zesłam po stopniach i podreptałam spieszenie do czekającej na mnie przy krawężniku dorożki.

Siedzący na wyżynach kozła woźnica pozwolił sobie na niezwykle poufałość i zagadnął z niepokojem:

– Mieliliśmy pecha, panno Enolu?

Darzyłam go szczególną sympatią od czasu, gdy użyczył mi swojego pojazdu wraz z niezwykle zmyślnym koniem o imieniu Kasztanek, toteż bardzo często korzystałam z jego usług.

– Dubeltowego pecha, Haroldzie – odpowiedziałam. Wprawdzie przedstawiał się wszystkim jako Arry, wołałam jednak zwracać się do niego pełnym imieniem. – Bądź łaskaw odwieźć mnie do domu.

Kamerdyner Alistairów mógłby wysnuć z naszej wymiany zdań (o ile nas podsłuchiwał), że skutecznie się mnie pozbył. Ale jeśli tak pomyślał, to się srodze mylił. Postanowiłam spotkać się z lady Cecily i odbyć z nią rozmowę – za wszelką cenę, niezależnie od środków, nim nastąpi kolejny dzień.

Usadowiwszy się w dwukółce, wygładziłam materiał swojej wąskiej spódnicy i westchnęłam. Strój, w którym wybrałam się na miasto, nie miał żadnych kieszeni i jedynym miejscem, gdzie mogłam upchnąć niezbędne na sytuacje awaryjne akcesoria, był zapinany gors. I kto mógłby przypuszczać, że nagle zatęsknię za wierzchnimi spódnicami, tiurniurami i stelażami, które w każdej chwili można było wykorzystać jako skrytki! Trzeba będzie ruszyć głową i znaleźć alternatywne rozwiązania na tajne misje w terenie.

Powróciwszy do Klubu dla Pań, nie udałam się na górę do wynajmowanego tam pokoju. Zamiast

tego rozpięłam swoją poloneskę, ściągnęłam z głowy kapelusz, chwyciłam go za wstążki i machając nim niedbale, udając rozleniwienie, przeszłam wolnym krokiem przez czytelnię i bibliotekę, uśmiechając się do mijanych pań, które jedna po drugiej podnosiły głowę znad książek, by na mnie spojrzeć. Łaskawy czytelnik musi zrozumieć, że był to pierwszy w Londynie, a być może i na świecie klub skupiający wyłącznie osoby płci żeńskiej. Po przekroczeniu progu naszej twierdzy mogłyśmy zachowywać się swobodnie, nie czując lęku przed krwiożerczymi samcami ludzkiego gatunku czy wymogami etykiety. Członkinie klubu odpowiadały mi uśmiechem, nawet te, którym mnie oficjalnie nie przedstawiono.

Ponieważ nie wypatrzyłam jeszcze osoby, z którą chciałam porozmawiać, podążałam dalej, pozdrawiając skinieniem głowy panie, które znałam z widzenia, minęłam herbaciarnię, gdzie królowały delikatne sprzęty i ozdoby w japońskim stylu, a następnie przeszłam przez pokój karciany do przytulnego, pełnego perkalowych draperii saloniku... i tam wreszcie ją dostrzegłam. Stała przy oknie. Tak, to ona. Wysoka starsza pani, która zafascynowała mnie od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałam.

Nie uszłaby niczyjej uwagi niezależnie od otoczenia, a to ze względu na ubiór: miała na sobie miękko układającą się, lejącą suknię z materiału o barwie płatków słonecznika, skrojoną zgodnie z zasadami estetyzmu, a jej długie siwe włosy spływały falującą kaskadą na plecy. Nie miałam pojęcia, kim jest, ale bardzo chciałam ją poznać, odkąd podsłuchiłam, jak rozprawia z grupką wyjątkowo świątłych przyjaciółek o mojej matce.

Znała mamę.

Dlatego też sama pragnęłam zawrzeć z nią znajomość, ale chwilowo nie planowałam zdradzać, kim jestem. Gdybym przedstawiła się imieniem i nazwiskiem, musiałabym z konieczności przekazać jej wiadomość o śmierci mamy. A cóż szkodziło utrzymywać ludzi w przekonaniu, że lady Eudoria Vernet Holmes cieszy się dobrym zdrowiem i wolnością, rozkoszując się gdzieś pełnią życia?

Po raz pierwszy udało mi się natknąć na tę wysoką damę w zwiewnych szatach bez towarzyszącego jej zazwyczaj wianuszka znajomych, co znacznie ułatwiało mi nawiązanie kontaktu. Ale na nieśćście poczułam się onieśmielona jak małe dziecko.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odważyłam się w końcu.

Odwrociła się z zaskakującą u osoby w jej wieku werwą i przyjrzała mi się uważnie niezwykle, ogromnymi oczami o wpadających w seledyn zielonych tęczęwkach... Ale nie, po chwili zrozumiałam, ku swojemu zaskoczeniu zmieszanemu z radosnym podziwem, że jej oczy wyglądały tylko na wielkie i jadeitowe dzięki sprytnemu użyciu tuszów, barwiących bibulek, pomad i innych tego typu wynalazków. Cóż za odwaga! Zakazane produkty upiększające spełniały w jej przypadku swoje zadanie: mimo bruzd i zmarszczek na pergaminowej cerze twarzy starszej pani była uderzająco piękna.

– Ależ dobry wieczór, kochanie. – Uśmiechnęła się. – Znamy się z widzenia. – W jej oczach pojawił się nagle wyraz lekkiego zakłopotania. – Ale wygląda pani o wiele młodziej, niż to zapamiętałam.

– Tak – przyznałam jej rację. – Zjawiłam się tu w maju, będąc mężatką po dwudziestce.

– Co znaczy „będąc”? Proszę to wyjaśnić! – Przysiadła na obitej perkalem sofce o profilowanym oparciu i poklepała dłonią siedzisko na znak, bym zajęła miejsce obok. – Coś takiego, krąży tyle domysłów na temat małżeństwa pani Johnowej Jacobson, a pani chce to wszystko teraz unicestwić, stwierdzając, że jest kimś innym?

– Właśnie. Nie jestem mężatką. – Usiadłam i odwróciłam się w jej stronę. – Czy zechciałaby się pani mi przedstawić?

– Ależ ze mnie gapa! Od tego powinnam zacząć! Lady Vienna Steadwell, skarbie. – Zdaje mi się, że nie mając pewności, czy aby się nie przesłyszałam, ściągnęłam bezwiednie brwi. – Tak, Vienna. – Szeroki uśmiech rozjaśnił szczupłą twarz. – Nazwano mnie na cześć miasta, w którym przyszłam na świat. Podobnie zresztą postąpili rodzice Florence Nightingale. Widać w tamtych czasach był to modny zwyczaj wśród co bardziej pomysłowych rodziców.

– Moja matka także wykazała się oryginalnością, wybierając mi imię Enola. – Udało mi się wyjawić niezobowiązująco jedynie fragment mojej tożsamości. Wyciągnęłam dłoń. – Miło mi poznać, lady Vienno Steadwell.

Uściskawszy mi serdecznie rękę, lady Vienna wyraziła chęć zapoznania się ze mną nieco bliżej, ale w tej samej chwili do saloniku weszła pokojówka. Doświadczenie już dawno mnie nauczyło, że służba ma przedziwny dar pojawiania się w najmniej odpowiednich chwilach, jednak tym razem było inaczej. Z ulgą stwierdziłam, że dziewczyna przyniosła nam tacę pełną kanapeczek z rukwią wodną i makaroników oraz dzban lemoniady. Kiedy się wokół nas krzątała, pochwiliłam jej prostą suknię z drukowanego w kwiaty płócienka. Służące zatrudnione w Klubie dla Pań nie musiały nosić ani tradycyjnych czarnych sukni z białym falbaniastym fartuszkami, ani pociesznych usztywnionych krochmałem czepków

sterczących jak ogon strzyżyka.

Zgodnie z moimi przewidywaniami, lady Steadwell z ochotą podjęła temat reformy ubiorów, kiedy obie raczyłyśmy się kanapkami i ciasteczkami, a ja ośmieliłam się wyznać, że jestem zachwycona jej niekonwencjonalnym strojem, nawiązującym do założeń estetyzmu. Jednak nie dała się zwieść. Koniec końców wpiła we mnie wzrok i spytała:

– Panno Enolu, jak to się stało, że w tak młodym wieku zamieszkała pani tutaj, w sercu Londynu, i to całkiem sama?

– Moi krewni mieszkają niedaleko stąd – odpowiedziałam nieco wymijająco, ale zgodnie z prawdą. Bądź co bądź Mycroft i Sherlock to moi krewni.

– Doprawdy? A czemu pani poświęca swój czas poza bieganiem po sklepach?

Nie poczułam się dotknięta tą lekko uszczypliwą uwagą i odparłam z uśmiechem:

– Chodzę na zajęcia w Akademii Kobiet.

– Aha. – Wyczułam w jej głosie aprobatę. – A jakie dziedziny wiedzy pani zgłębia?

– Różne. Postawiłam sobie za cel zostać naukowczynią-perdytorystką, czyli specjalistką od znajdowania osób i rzeczy zaginionych.

– Cóż za niezwykła myśl.

Układ ust i brwi mojej rozmówczynie zdradzał rosnące zakłopotanie, mimo to brnęłam dalej.

– Tak się składa, że obecnie prowadzę właśnie tego typu sprawę, ale napotykam pewne trudności i mam nadzieję, że jeśli nie uzna pani tego za impertynencję... – Wreszcie mogłam zadać jej pytanie, z którym do niej przyszłam. – Lady Steadwell, czy zna pani osobiście państwa Alistairów?

Zanim odpowiedziała, zatrzepotała powiekami.

– Znałam, kiedy jeszcze żyli. Ale... Czy pyta pani o ich dzieci? O Otelię, Aquillę i Eustace'a?

Dzieci? W moich oczach byli to już mocno dojrzały ludzie.

– Chodzi mi o Eustace'a Alistaira i jego rodzinę.

– Nie przedstawiono nas sobie, ale rzecz jasna, znam ich trochę z krążących tu i ówdzie opowieści. Jakże często godnych ubolewania... – Mówiła to z pewnym zażenowaniem. Domyśliłam się, że nie jest zwolenniczką rozsiewania plotek.

Mimo to bardzo chciałam poznać owe godne ubolewania opowieści.

– Na przykład?

– Och, choćby to, że lady Theodora zgodziła się wyjść za sir Eustace'a, ponieważ odgrywała rolę męczennicy po tym, jak ktoś inny złamał jej serce... i od tamtej pory gorzko tego żałuje.

Udałam całkowity brak rozeznania w tej materii.

– Czyżby sir Eustace okazał się złym mężem?

– Nie wyróżnia się jakoś szczególnie na niekorzyść w porównaniu z typowymi mężami – stwierdziła lady Vienna drwiąco, po chwili jednak odstawiła filiżankę z herbatą i spoważniała. – Poza posiadaniem większości męskich przywar Eustace jest pulchny i niski. Marzy mu się wyższa ranga w społeczeństwie. Jednym słowem zdradza wszystkie możliwe objawy kompleksu Napoleona.

Teraz ja wykazałam się niewiedzą.

– Kompleksu Napoleona?

– To termin, którym alieniści opisują mężczyzn przypominających wyglądem i zachowaniem koguciki rasy bantam.

– Ach, alieniści – powtórzyłam jak echo.

– Tak, twórcy nowej dziedziny nauki badającej ludzkie zachowanie. Słyszała pani o ich niezwykłych odkryciach?

– Tak. – Obdarzona dwiema jaźniami lady Cecily byłaby z pewnością wdzięcznym obiektem ich studiów.

– Kompleks Napoleona – pospieszyła z wyjaśnieniem lady Vienna – jest szczególną postacią kompleksu niższości, objawiającą się u mężczyzn nikczemnego wzrostu. Sir Eustace zdradza wszelkie symptomy tej przypadłości: dumny chód, przybieranie wielkopańskich póz, skłonność do głośnych awantur, upór graniczący z megalomanią czy odgrywanie roli domowego tyrana.

– Lady Steadwell. – Odsunęłam na bok tacę i pochyliłam się ku rozmówczynie, zmniejszając dzielący nas dystans, po czym wbiłam w nią wzrok. – Czy pani zdaniem sir Eustace Alistair byłby zdolny do uwięzienia swojej żony i córki w ich własnym domu?

Spojrzała mi w oczy szczerze i bez skrupowania, po czym oświadczyła z cudowną prostotą:

– O, tak.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tak, Cecily z całą pewnością jest trzymana pod kluczem we własnej sypialni. I chociaż robiło mi się słabo na samą myśl, wniosek ten wydał mi się jedynym możliwym do przyjęcia. Minęło jednak kilka przepelnionych niepokojem godzin, zanim zaszło słońce i mogłam cokolwiek w tej sprawie zrobić.

Poza próbą dowiedzenia się czegoś więcej podczas wspólnej kolacji.

Wieczorny posiłek w Klubie dla Pań przebiegał w atmosferze dalekiej od rygorów etykiety, ba, był nawet symbolicznym buntem przeciwko powadze i sztywności tego typu towarzyskich spędów. Obrus był wprawdzie śnieżnobiały i wykrochmalony, jednak na stole nie sposób było znaleźć dwóch pasujących do siebie świeczników, a przed każdym z kilkunastu krzeseł ustawiano wymieszane ze sobą buńczucznie (ale nigdy wyszczerbione) naczynia pochodzące z różnych serwisów porcelanowych. Sztuce również nie pasowały do siebie wzorem. Nawet serwetki cechowała wielka różnorodność. A także – co było największym obrazoburstwem – zasiadające przy stole kobiety zwolniono z obowiązku przebierania się w eleganckie suknie. Nie było bowiem najmniejszego powodu, dla którego miałybyśmy się specjalnie na tę okazję stroić. Ubierałyśmy się w to, co same uznawałyśmy za stosowne, byle tylko przykrywało nagość. Rozmowami przy stole również nie rządziły żadne przepisy i kiedy tylko podano tego wieczoru zupę, nie omieszkałam opowiedzieć współbiedniaczkom z żywością i humorem, jak bezceremonialnie odprawiono mnie przed drzwiami rezydencji sir Eustace’a Alistaira.

– Wielkie nieba, jestem zszokowana, ale bynajmniej nie zaskoczona – stwierdziła pewna dostojna członkini klubu, zarabiająca na utrzymanie prowadzeniem kącika porad w jednym z tygodników. – Pan baronet zawsze był skończonym chamidłem.

– Grubianin jak się patrzy – zgodziła się z przedmówczynią dama pracująca na stanowisku kierowniczką domu towarowego. – Błagier i pozer, z głową nabitą wielkopańskimi fanaberiami, choć chlubi się zaledwie tytułem „sir”.

– Tymczasem jego siostry, Otelia i Aquilla, wyszły za mąż za lordów i nigdy nie pozwolą młodszemu braciszкови o tym zapomnieć – wtrąciła jedna z młodszych pań, specjalistka od kuracji lodową wodą.

Autorka porad prasowych postanowiła podsumować temat.

– Sir Eustace Alistair jest potworem i domowym tyranem. Lady Theodora powinna była go rzucić, zanim urodziła mu furę dzieci.

– Szkoda, że żadna z nas nie podrzuciła jej diafragmy – zauważyła cierpko lady Vienna. – Nie miałam pojęcia, co to oznacza, ale spostrzegłam, że pozostałe kobiety wymieniły ukradkowe spojrzenia świadczące o lekkim zgorzeniu, więc wolałam nie drażnić sprawy. Na chwilę zapadła krępująca cisza. Nie zmieniając wyrazu pogodnie uśmiechniętej twarzy, lady Vienna dodała: – Serdecznie jej współczuję. To okropne, że przymuszono ją, by wróciła do męża.

Wszystkie uczestniczki kolacji zamruczały coś na znak zgody i zajęły się *fricassée* z przepiórek z ryzem.

Po chwili pewna pani frenolog ośmieliła się podjąć przerwany wątek, mówiąc pytającym tonem:

– Zdaje się, że lady Theodora nie była kobietą skrzywdzoną w konwencjonalnym sensie tego słowa...

– Możliwe – powiedziała chłodno hydroterapeutka. – Ale moralną powinnością każdej kobiety jest występować przeciwko zastraszaniu! Przecież sir Eustace posunął się w swoim despotyzmie do tego, że powierzył rodzoną córkę swoim odrażającym siostruniom, które trzymały ją o głódzie i pod kluczem, byle tylko zmusić dziewczynę do poślubienia jej przypominającego ropuchę kuzyna!

Na ten akurat temat miałam sporą wiedzę, ponieważ osobiście wyratowałam Cecily z opresji, zgoliwszy jej loki i przebrawszy za sierotę, co umożliwiło jej ucieczkę. Potem zajął się nią mój brat Sherlock i przekazał ją matce przebywającej w tamtym czasie w Devonshire, w bezpiecznym domu swoich krewnych. Jakże bardzo chciałam, by obie osiadły tam na stałe.

– Szkoda – powiedziałam – że rodzina lady Theodory nie stanęła w bardziej stanowczy sposób w jej obronie.

– Kobietom niełatwo osiągnąć niezależność finansową – odpowiedziała z przekąsem autorka porad – a osemkę dzieci trudno wykarmić niezależnie od zamożności rodziny.

– I z tego właśnie powodu tak desperacko zabiegaliśmy o ustawę o majątku kobiet! – oznajmiła lady Vienna z pobrmiewającą w głosie nutką triumfu.

– Właśnie! – przytaknęło żarliwie kilka pań i rozmowa zesłała na prawo ustanowione w tysiąc

osiemset osiemdziesiątym drugim roku, czyli zaledwie siedem lat wcześniej. Parlament uchwalił wówczas, że zamężne kobiety mogą posiadać ziemię i rachunek w banku. Przedtem wszystko, nawet dochody osiągane z szycia, było własnością męża. Jednak w przypadku lady Theodory ten przepis wszedł w życie zbyt późno. Pozbawiona do tej pory własnych funduszy nie mogła zapewnić licznemu potomstwu pożywienia i ubrań, więc chcąc nie chcąc, wróciła do swojego ciemięczy.

Pod koniec kolacji byłam już mocno zajęta własnymi myślami, więc pożegnałam się grzecznie, zanim jeszcze podano deser. Wróciłam do pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i przejrzałam garderobę w poszukiwaniu czegoś ciemnego i nierzucającego się w oczy. Znalazłam bury kostium, szybko dobrałam do niego równie nieciekawe w barwie kapelusz, botki i rękawiczki. Byłam na tyle przezorna, że nie pozbyłam się zgromadzonych wcześniej strojów, choć moi bracia, a zwłaszcza Mycroft, trwali w przekonaniu, że moje szalone eskapady pełne forteli, oszustw i przebieganek odeszły do historii.

No i byli w błędzie.

Przebrałam się, wcisnęłam na głowę kapelusz, naciągnęłam na dłonie rękawiczki, wyślizgnęłam się z pokoju i pobiegłam na dół do jednego z wielu wspaniałych pomieszczeń, które miał do zaoferowania mój klub: do Buduaru Tężyzny Fizycznej. Tu, w całkowitej dyskrecji, w dużej, pozbawionej okien piwnicy członkinie klubu mogły oddawać się ćwiczeniom usprawniającym kondycję, mając do dyspozycji poręcze symetryczne, maczugi, florety i maski szermiercze, pięcioletowe hantle, rakiety do badmintona, dmuchane gumowe piłki i tym podobne akcesoria. O tak późnej porze, zgodnie z moimi nadziejami i przewidywaniami, sala była pusta.

W wątłym blasku przyniesionej z pokoju świeczki przeszłam do magazynku i wybrałam sobie łuk oraz kilka strzał. Nie była to jednak śmiertelna broń. Wzięłam strzały pozbawione grotów, służące do strzelania do słomianej tarczy. Sięgnęłam właśnie po nie, ponieważ zamierzałam je wykorzystać w nieco nietypowy sposób. Tylko jak je przenieść do rezydencji Alistairów, nie zwracając na siebie uwagi? Były za długie, by ukryć je w torbie, do której wcześniej zapakowałam pozostałe mogące mi się przydać drobiazgi.

Hm.

Wymacałam w półmroku pelerynę do bartitsu i zawięłam w nią łuk wraz ze strzałami. W orientalnej sztuce samoobrony bartitsu džentelmeni posługują się wyłącznie laską i marynarką, kobiety natomiast używają parasola i peleryny. Wyszło mi z tego całkiem spore, ale lekkie zawiniątko, które mogłam nieść pod pachą.

Tak uzbrojona ruszyłam przed siebie w ciemną i chłodną październikową noc. Nieco wcześniej posłałam umyślnego po Harolda. Pocziwiec czekał już na mnie ze swoją dwukółką i wiernym konikiem Kasztankiem. Pozdrowił mnie, przykładając palce do ronda, jak sam by go określił, „kapeluszyśka”.

– Dokąd teraz jedziemy, panno Enolu?

– Pamiętasz, dokąd mnie dziś wcześniej zawiozłeś?

– Tak, panienko – odpowiedział urażonym tonem. Oczywiście, że pamiętał.

– Doskonale. Ale tym razem zajedziemy od tyłu posiadłości. – Nie chciałam, żeby ktoś z domowników dostrzegł nas z okien.

– Wedle życzenia, panno Enolu.

Kiedy dorożka ruszyła, poczułam na policzkach podmuch zimnego powietrza i spróbowałam w równie chłodny i logiczny sposób przemyśleć swój plan. Robiłam to już po raz kolejny i za każdym razem wydawał mi się coraz bardziej nieprawdopodobny. A przecież całkiem niedawno odniosłam sukces, wcielając w życie o wiele bardziej szalony pomysł. Koniec końców, masując swój zimny sterczący nochal, odegnałam od siebie resztkę wątpliwości.

Usłyszałam chrzęst odsuwanej zaślepki w suficie budy. Harold chciał zamienić ze mną parę słów.

– Tutej skręcić, panno Enolu?

Zerknęłam w mrok rozjaśniony bladym światłem ulicznej latarni.

– W rzeczy samej, jeśli będziesz tak dobry.

„Tutej” było obskurną uliczką prowadzącą przez labirynt stajen i zabudowań gospodarskich, wonejącą koźmi i ich nawozem, którego przeciętny przedstawiciel tego gatunku produkował około pięćdziesięciu funtów dziennie. Na szczęście okazałe domostwo Alistairów górowało nad niskimi budynkami, toteż od razu wypatrzyłam jego sylwetkę. Zerkając ponad dachami stajni i powozowni, zaczęłam, aż podjedziemy bliżej do czteropiętrowego gmachu, i zapukałam w sufit.

Dorożka się zatrzymała.

– Czy mam na panią czekać, panno Enolu?

– Nie, dziękuję. Poradzę sobie sama. – Wysiadłam, zapłaciłam Haroldowi i przystanęłam, nie ru-

szając się z miejsca, póki nie odjechał. Wówczas prześlizgnęłam się po zacienionej stronie zabudowań na strategiczną pozycję, czyli za wozownię Alistairów, i stamtąd przyjrzałam się dokładnie tyłowi rezydencji. Od razu wypatrzyłam okna sypialni lady Cecyli – doskonale mi znane z poprzednich wizyt. Dostrzegłam światło palących się w środku lamp gazowych. Każde z okien było szeroko otwarte. Rzecz jasna, osoby dobrze urodzone, w trosce o swoje arystokratyczne zdrowie, muszą zapewnić sobie podczas snu dopływ świeżego powietrza, nie przejmując się nocnym chłodem. A jednak, mimo że otwarte, okna były dla mnie niedostępne.

W bogatych miejskich domach piwnice i pierwszą kondygnację zajmują pralnie, kuchnie i tym podobne pomieszczenia, a w części reprezentacyjnej parteru znajduje się hol wejściowy i wielkie schody. Na pierwszym piętrze, z dala od ulicznego zgiełku i pyłu, mieszczą się pokój dzienny, biblioteka, jadalnia, pokój bilardowy, wielki salon, w którym można tańczyć, i tym podobne pomieszczenia ogólne. Drugie piętro przeznaczono na pokoje sir Eustace’a i buduar lady Theodory. Dwa wyższe piętra zajmowali najmłodszy przedstawiciele rodziny, urządzono tam pokoje dzieciinne, salę szkolną i sypialnie starszych dzieci. Na czwartym piętrze paliło się światło, a okna były otwarte. Najwyraźniej obowiązkowa niania szykowała najmłodsze latorośle Alistairów – czyli kilkoro dzieci, które nie wyjechały jeszcze do szkoły z internatem – do snu. W pomieszczeniach na poddaszu mieszkała służba.

Przykucnęłam w wąskim, przypominającym studnię miejscu między wozownią a żywopłotem, po czym odwinęłam łuk i strzały. W oknie na trzecim piętrze zamajaczyła znajoma mi postać. Tak jak przypuszczałam, lady Cecyli przebywała w swoim pokoju.

Sięgnąwszy do torby, wyjęłam z niej kłębek cienkiego sznurka używanego zwykle do puszczania latawców. Odwinęłam spory kawałek i przywiązałam solidnie jego końcówkę do jednej ze strzał, tuż nad lotką. Nie uważam się wprawdzie za mistrzynię, niemniej trochę się w życiu nastrzelałam z racji tego, że łucznictwo było jednym z ulubionych sportów dziewcząt wychowujących się w majątkach ziemskich. Żywiłam więc mocne przekonanie, że uda mi się zwrócić uwagę lady Cecyli, jeśli poślę strzałę w jedno z otwartych okien jej sypialni – które znajdowało się zbyt wysoko, żeby wykorzystać inną metodę, jak na przykład uświęcone tradycją rzucanie kamyczkami w szybę.

Rozejrzałam się uważnie wokół, by sprawdzić, czy nie kręci się w pobliżu jakiś chłopak stajenny, pomoc kuchenna lub inny maruder. Nikogo takiego nie zauważyłam. Mimo to, znalazłszy się na otwartej przestrzeni, poczułam przyspieszone bicie serca. Mój ciemny kostium wtapiał się wprawdzie idealnie w ciemność nocy... a jednak, chociaż nikt nie podnosił alarmu, dopiero po dłuższym czasie wypuściłam powietrze z płuc. Założywszy strzałę, podniosłam łuk, odciągnęłam cięciwę, wycelowałam strzałę pod kątem gwarantującym w moim mniemaniu trafienie w otwarte okno Cecyli i zwolniłam cięciwę.

Niestety, przeliczyłam się. Czy to z winy obciążenia sznurkiem, mojego braku wprawy, czy też za sprawą czystej złośliwości losu strzała poszybowała w bok i uderzyła z impetem w szybę na drugim piętrze.

– Co to, do jasnej cholery, było?! – ryknął wściekle apodyktyczny męski głos, który nie mógł należeć do nikogo innego jak do sir Eustace’a.

Strzała spadła na ziemię. Schowawszy się w cień rzucany przez wozownię, pociągałam nerwowo szybkimi ruchami dłoni za sznurek, by usunąć z widoku feralny dowód rzeczowy. Nie zdążyłam jednak pochwycić strzały, ponieważ rozległ się łoskot otwieranych frontowych drzwi i tupot biegnących w moją stronę czterech mężczyzn w wieczorowych strojach. Jednym z nich był kamerdyner. Dwaj to prawdopodobnie goście. Ale osobnikiem gnającym przed nimi z latarnią w rękę był bez wątpienia sam pan domu. Tak, bez wątpienia – mimo że nigdy przedtem nie widziałam sir Alistaira – ze względu na łudzące podobieństwo do dwóch jędzowatych siostr (które miałam nieszczęście poznać). Zarówno Aquillę i Otelię, jak i Eustace’a cechowały drobne rysy i szerokie, nalane twarze: oczy jak guziczki, perkate nosy i malutkie jak u niemowlaka usteczka, a wszystko to wciśnięte w owal z sadła. I podobnie jak u jego siostr, sadło było główną częścią składową całej postaci ich brata.

– Tam się coś ruszało! – wrzasnęła, wskazując paluchem na moją kryjówkę.



ROZDZIAŁ TRZECI

W takich krytycznych momentach nawet szybko podjęte i ze wszech miar celowe działania wydają się ciągnąć w nieskończoność. W obecnej sytuacji musiałam ukryć gdzieś torbę, pelerynę, łuk, strzały oraz – co było najpilniejsze – siebie samą. Gdyby dało się to zrobić w jednej chwili! Ale gdzie tam. Ledwo zdążyłam cisnąć łuk i strzały w gęstwinę żywopłotu. W chwili, kiedy w ślad za nimi lądowała tam torba, mężczyźni znaleźli się już niemal obok mnie. Zmięłam pelerynę w kłębek i wycofałam się, idąc tyłem, w wąskie przejście między wozownią a żywopłotem jak karaluch chowający się w szczelinie. Kiedy snop światła padł na miejsce, w którym przed chwilą stałam, śmignęłam za róg wozowni i przywarłam plecami do ściany, dysząc ciężko. Logicznym zachowaniem byłoby rzucić się do ucieczki uliczką między stajniami.

Logika to nie wszystko.

Przemknawszy na dalszy koniec wozowni, wyjrzałam zza węgła w nadziei, że mężczyźni postanowili wrócić do gry w bilard czy innej czynności, od której ich oderwano. Zamiast ich pleców ujrzałam wiotką, drobną i wdzięczną postać w koszuli nocnej wychylającą się z okna wysoko nade mną.

Cecyli!

Wyskoczyłam zza wozowni i pomachałam ręką.

Strzepnęła głową jak spłoszona sarna. Zauważyła moją obecność. Niestety, sir Eustace także.

– Tyyy! – ryknął.

Nawet wówczas, kiedy jedną ręką trzymam zwiniętą pelerynę, a drugą zadzieram spódnicę nad kolana, potrafię biec szybciej niż większość ludzi, więc postanowiłam to wykorzystać. Rzuciłam się do ucieczki, a w ślad za mną pobiegli czterej mężczyźni, ujadając jak sfora psów myśliwskich. Wyprowadziłam ich w ponury nocny mrok uliczki, dałam nura za róg stajni, przebiegłam obok kadzi z końskim nawozem i kurnika, a potem skierowałam się w stronę koziej obórki. Kozy potrafią się rewelacyjnie wspinać, ja także. Rzuciłam pelerynę na daszek ich przybytku, momentalnie sama się tam wdrapałam i od razu hycnęłam na jakiś wyżej położony dach... Być może mleczarni? Trudno mi było to ocenić i nie zależało mi na tej wiedzy. Padłam na omszałe gliniane płytki i przywarłam do nich na płask, zamierając w bezruchu jak zając pod miedzą, pełna obawy, że strącę jakąś oblużowaną dachówkę, a ta, spadając, zdradzi mój tymczasowy azyl.

Niemal równocześnie tuż obok mnie rozległ się stukot obcasów całkiem już sporej grupki mężczyzn. Staralam się wstrzymać oddech, ale przerastało to moje siły, więc leżałam na dachu, ciężko dysząc. Okazało się, że nie musiałam się tym zbytnio przejmować, ponieważ uczestnicy pościgu sami sapali i pokrzykiwali rozgłośnie, więc nie mogli mnie słyszeć. Nie zatrzymując się, pobiegli dalej.

Kiedy tylko zobaczyłam ich plecy, podniosłam się, zeskoczyłam na ziemię i popędziłam tam, skąd przybyłam, czyli pod wozownię Alistairów. Ale tym razem, zamiast przekradać się wzdłuż muru, wpadłam do środka. Wszystkie drzwi były szeroko otwarte, ponieważ obudzono śpiących na górze masztalerzy i chłopców stajennych z poleceniem, by dołączyli do pościgu. Wewnątrz panowały egipskie ciemności, jednak natura obdarzyła mnie doskonałym wzrokiem, z czego bardzo się cieszę. Wypatrzyłam najbardziej elegancki z pojazdów, czyli faeton, wsiadłam do niego i rozpląszczyłam się pod jego obitym pluszem siedziskiem. Po namyśle przykryłam się swoją jakże wszechstronną peleryną do bartitsu i znieruchomiałam, stapiając się z ciemną tapicerką w nadziei, że jeśli nawet ktoś zajrzy do powozu, to mnie nie zauważy.

Ale nikt się nawet nie pofatygował w moją stronę. Po jakimś czasie rozległy się odgłosy zamykania i ryglowania drzwi, potem tupot nóg mieszkańców stryszku nad wozownią powracających do łóżek, a w końcu do moich uszu dobiegło chrapanie.

Odczekałam kolejną godzinę, a kiedy uznałam, że sir Eustace także powinien już smacznie chrapać, bezszelestnie wypełzałam z faetonu i opuściłam wozownię. Gdyby w pobliżu był pies, obszczałaby intruza i byłoby po mnie, ale prawdopodobnie sir Eustace nie znosił również psów. Bo z całą pewnością nie znosił swojej żony i najstarszej córki.

Wszystkie światła w rezydencji już pogasły, paliło się jedynie w pokoju lady Cecyli. Czekająca na mnie. Wiedziałam, że nie mogę sprawić jej zawodu.

Ostrożnie i po cichutku wyciągnęłam spod żywopłotu porzucone torbę, łuk i strzały. Macając dłonią po ziemi, zlokalizowałam strzałę z uwiązaniem do niej sznurkiem. Tym razem podeszłam znacznie bliżej otwartego okna sypialni lady Cecyli. Raz jeszcze wycelowałam w oświetlony prostokąt i wypuściłam strzałę.

Chybiłam, ale nie za bardzo. Strzała uderzyła o ceglany mur. Mruczając coś niezbyt miłego, spróbowałam ponownie. I znów chybiłam.

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi opisu kolejnych prób. Niech wystarczy moje zapewnienie, że trwałoby to zapewne do świtu, gdyby w pewnej chwili Cecily nie podeszła do okna i nie wychyliła się, żeby mi się lepiej przyjrzeć. Całe jej ciało ułożyło się w jeden wielki znak zapytania, chociaż, rzecz jasna, miała dość przytomności umysłu, by nie odezwać się do mnie słowem.

Wyszłam z cienia, żeby mogła mnie zobaczyć – jedyne światło pochodziło z jej okien i z oddalonych latarni ulicznych. Podniosłam w górę dyndającą na sznurku strzałę, która z pewnością była dla Cecily niewidoczna. Przeciągałam sznurek z ręki do ręki po kawałku, modląc się w duchu, aby zrozumiała, o co mi chodzi.

Usta ułożyły się jej w okrągłe „O”. Wyprostowała się i uniosła w górę palec wskazujący, sygnalizując mi, że mam zaczekać, po czym zniknęła w głębi pokoju.

Przygryzając wargę, wycofałam się w cień i ponownie znieruchomiałam. Czas dłużył się niemiłosiernie. W końcu jednak Cecily znów ukazała się w oknie, trzymając w dłoni... wielkie nieba! Był to kłębek wełny w jakimś pastelowym kolorze. Jedną ręką wystawiła go za okno, drugą zaczęła szybko odwijając włóczkę. Odłożyłam łuk i strzały, wzięłam do ręki torbę i starając się zachowywać cichutko jak myszka, przekradłam się pod samo okno. W głębokim cieniu rzucanym przez potężne gmaszysko widziałam tyle co nic. Sprawdziałam co chwilę, czy wełniana nić jest już w zasięgu mojej dłoni, grzebiąc jednocześnie w torbie w poszukiwaniu kolejnego potrzebnego przedmiotu.

Po chwili poczułam na nosie muśnięcie miękkiej włóczki. Od dawna mam tendencję do wyszukiwania rozmaitych rzeczy nochalem. Chwyciłam nitkę i szarpnęłam nią lekko, dając Cecily znak, że do mnie dotarła. A potem, działając na wycucie w ciemności, przywiązałam do włóczkowej nitki końcówkę sporego kawałka mocnej brązowej dratwy.

Wełna nie była na tyle mocna, by unieść ciężar grubej liny – nie bardziej niż mój sznurek do ławca. Jeszcze raz szarpnęłam, ale Cecily najwyraźniej nie rozumiała, o co mi chodzi. Wróciłam na oświetloną część podwórza i odegrałam pantomimę wciągania czegoś przez okno. Zareagowała błyskawicznie i wykonała polecenie wprawnie jak stary żeglarz. Kiedy tylko dotarła do niej końcówka dratwy, dałam Cecily znak, że ma czekać, a ja tymczasem, w największej ciszy, przywiązałam do dyndającej dratwy ostatni rekwizyt.

Linę.

Tym razem wystarczyło jedno szarpnięcie i wszystko pojechało w górę. Ponownie stanęłam tam, gdzie byłam widoczna, czekałam, aż lina znajdzie się w rękach uwięzionej, a następnie pokazałam jej na migi, że musi ją do czegoś przywiązać. Robiłam wszystko, by dać jej do zrozumienia, jak ważne jest mocne wiązanie supłów. Pokiwała głową i zniknęła.

Liczyłam na to, że sama się domyśli, jak kluczową sprawą będzie bezpieczne podczepienie liny do jakiegoś masywnego, niedającego się łatwo przesunąć mebla w pokoju, planowałam bowiem wspiąć się na trzecie piętro i odbyć z Cecily rozmowę (raz jeszcze: niech diabli porwą kamerdynera o kamiennej twarzy!). Podeszłam pod okno i chwyciłam za koniec powrozu, czekając w mroku na sygnał, że mogę zacząć się wspinać.

Poczułam szarpnięcie, ale potem, całkiem niespodziewanie, trzymana przeze mnie lina ożyła. Przeraziło mnie to do tego stopnia, że omal jej nie wypuściłam z rąk. Łaskawy czytelnik musi zrozumieć, że w całkowitych ciemnościach trudno odgadnąć, co się dzieje, kiedy lina się odchyła to w tę, to we w tę, jakby nagle niebiosy obdarzyły ją wolną wolą. Przeżyłam kilka wyjątkowo nieprzyjemnych chwil, zanim dotarło do mnie, że coś się po niej w moim kierunku zsuwa. I nie potrafiłam dopuścić do świadomości najprostszego wytłumaczenia, ponieważ lady Cecily z całą pewnością nie miała chęci ani okazji zdobywać typowo chłopięcych umiejętności jak ja. Więc kiedy jej bosa stopa dotknęła mojej dłoni, omal nie wrzasnęłam z przerażenia.

Wreszcie uciekiniarka stanęła na ziemi. Puściłam linę i sapnęłam:

– Cecily? – Na szczęście zaskoczenie odebrało mi niemal całkowicie mowę, więc nie zabrzmiało to zbyt głośno.

– Enolu – wyszeptała z płaczącym żarem w głosie – muszę stąd jak najszybciej uciec.

– W koszuli nocnej? – I to tak białej, że nawet w ciemnościach postać dziewczyny wydawała się duchem.

– Zabrali mi ubrania. I wszystkie książki, i wszystkie przybory piśmienne i malarskie. Ja zwariuję, Enolu... – Głos jej się załamał.

Wysunęłam w jej stronę rękę, znalazłam i ujęłam jej dłoń, po czym ruszyłam w stronę stajen, pro-

wadząc ją wolnym krokiem, chociaż w głowie szalała mi gonitwa myśli.

„Spokojnie, Enolu. Nie wszystko naraz. Podejmuj się jednej niemożliwej czynności za drugą”.

Wykorzystując światło padające z okien sypialni Cecily, odszukałam torbę, łuk, strzały i pelerynę do bartitsu. W tej chwili była nam potrzebna jedynie ta ostatnia. Owinęłam nią Cecily od stóp do głów, by zakryć osłepiającą biel koszuli. Zza gorsu, a raczej z mojego tajnego schowka wyciągnęłam równie ciemny szal i omotałam nim jasne włosy Cecily. Jednocześnie zamiast loków wyczułam nieudolnie przyściętą szczecinkę.

– Jeszcze nie odrosły? – szepnęłam. Wprawdzie sama je zgoliłam, żeby upodobnić Cecily do sieroty podczas ostatniej akcji ratowania jej z opresji, ale wydarzyło się to przecież wiele miesięcy temu.

– Znowu je ścięłam, kiedy ojciec zmusił nas do powrotu do domu. Omal nie dostał apopleksji. Wiedziałam, że czeka, aż odrosną, by sprzedać mnie licytantowi, który zaoferuje najwyższą kwotę.

Pozostawiłam łuk, strzały, linę i torbę ich własnemu losowi i przeprowadziłam dziewczynę za wozownię.

– Domyślałam się, że rodzice zabrali ci także nożyczki.

– Tylko ojciec. Sama nie wiem. – Głos jej drżał. – Nie miałam kontaktu z matką, odkąd mnie uwięził.

– Ale jej pokojówka mogła ci powiedzieć...

– Nie wolno mi rozmawiać ze służbą.

– Koszmar – mruknęłam. Nie mając pojęcia, dokąd idziemy, a tym bardziej, jak tam się dostać, powiodłam Cecily ciemną uliczką, a potem skręciłam w przypadkowo wybranym kierunku i ruszyliśmy na wschód. Po chwili poczułam, że panienska dygocze z zimna i zaczyna utykać. Ostre krawędzie kostek brukowych boleśnie ocierały jej bosc stopy.

– Jeśli dasz radę dojść do kolejnego skrzyżowania – powiedziałam łagodnie – znajdziemy się na chodniku o znacznie gładziej nawierzchni. No i są tam latarnie, będziesz widziała, po czym stąpasz.

Ale nie powiedziałam jej wszystkiego. Do diaska z tą improwizowaną, kiepsko zaplanowaną eskapadą. Jedyne miejsce, w którym mogłam bezpiecznie ukryć Cecily, znajdowało się na odległym krańcu miasta. Nie było mowy, żeby zdołała tam dojść pieszo, nawet gdyby miała na nogach buty. A jeśli wsiądziemy do dorożki, z pewnością zwiększy się prawdopodobieństwo, że ktoś wpadnie na nasz trop. Natomiast o tej porze nie kursowały już zapewniające większą anonimowość tramwaje, omnibusy i metro. I gdyby nawet noc nie była taka zimna, nie mogłyśmy zaryzykować czekania na nadejście świtu w miejscu położonym tak blisko rezydencji Alistairów.

Tymczasem przemierzaliśmy się w coraz wolniejszym tempie. Nie dotarliśmy jeszcze nawet do chodnika.

– Poniosę cię na barana – oświadczyłam.

– Enolu! Nie mogę się na to zgodzić!

– Możesz i nie da się inaczej. Stopy ci krwawią, prawda?

– Nie widzę krwi.

– Jeszcze nie, ale zaraz się pokaże i zaczniesz zostawiać ślady, po których od razu nas wytropią. – Odwróciłam się do niej plecami i przykucnęłam. – Jesteś lekka jak małe dziecko. Wskakuj.

– Enolu...

– Ręce na ramiona i hop, w górę – zakomenderowałam ostrym tonem godnym siostry Sherlocka Holmesa. Cecily wykonała polecenie. Chwyciłam ją pod kolana i dźwignęłam się. I tak ruszyłam w dalszą drogę z jej kończynami dolnymi (osoby płci żeńskiej nie przyznają się do posiadania nóg) dyndającymi mi u boków. Dzięki temu, że byłam obuta, nabrałyśmy tempa. Cecily ważyła tyle co nic, więc spytałam: – Czyżby znowu cię głodzili?

Nie odpowiedziała, tylko zwiesiła głowę. Poczułam na karku ciepłe łzy. Jednak nie rozplakała się w głoś. Przez jakiś czas przemierzaliśmy się w milczeniu. Pokonałam kilka przecnic. Wszystkie moje kończyny i inne części anatomii zaczęły boleśnie dawać mi o sobie znać. Szłam pochylona do przodu i nie widziałam nic prócz chodnika pod stopami, ponieważ skupiłam całą uwagę na stawianiu kolejnych kroków. Krótko mówiąc, kompletnie straciłam czujność.

– Hola! – odezwał się tuż obok nas czyjś władczy głos. – A co się tu wyprawia?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Umundurowany konstabl, dokonujący właśnie nocnego obchodu, uniósł trzymaną w ręku latarnię i zlustrował nas wzrokiem.

– Zeskakujże, Katie, słonko moje – powiedziałam do Cecily z irlandzkim zaśpiewem ułatwiającym familiarną gadkę. Gdybym w tych okolicznościach i w tak skromnym ubraniu przemówiła z arystokratycznym akcentem, byłoby to mocno podejrzane. – Właśnie żem odszukała moją młodszą siostrzyczkę – ćwierkałam słodko do policjanta, szczęśliwa, że znów mogę rozprostować plecy. Cecily również wczuła się w rolę i uwiesiła się na moim ramieniu jak dziecko. – Spędziłaby noc na ulicy. Niech ich diabli porwą, napadli na biedulkę, ukradli dwupensówkę i zabrali buty. Zaprowadzę ją tera do domu, zapakuję pod ciepłą pierzynę i nakarmię zupą, jeśli wszyscy święci będą łaskawi mnie wspomagać. No i...

– Do domu, czyli gdzie? – przerwał mi konstabl z podziwu godną umiejętnością skupiania się na tym, co najistotniejsze.

– Ano muszę ją zanieść aż na Seven Dials. – Seven Dials to bardzo nieprzyjemna okolica znajdująca się nieopodal celu mojej wędrówki. – Straszny dziś ziąb, a moje biedactwo poharatało sobie stópki aż do krwi.

– No widzę – zamruczał funkcjonariusz, krzywiąc się na znak niezadowolenia, że oto nieprzewidziane okoliczności zmuszają go do oderwania się od licznych obowiązków i spełnienia dobrego uczynku. – No to chodźta ze mną. – Ruszył w stronę znajdującej się na rogu ulicy wąskiej budki.

Podreptałyśmy za nim. Na szczęście Cecily znów zaczęła utykać, przez co zostałyśmy nieco w tyle i mogłam jej szybciotko szepnąć na ucho:

– Nie odzywaj się ani jednym słowem. – Byłoby przecież przesadą oczekiwać, że arystokratka znacznie mówić jak mała irlandzka wieśniaczka.

Konstabl sięgnął po klucz, otworzył drzwiczki i zakręcił znajdującą się wewnątrz budki korbką.

– Czy to telefon? – wysnęło się bezwiednie Cecily, która zapomniała z wrażenia o moim zakazie.

– Ciii! – powiedziałam.

Na szczęście chrobot korbki skutecznie zagłuszył nasze słowa, a konstabl rzucił nam tylko pytające spojrzenie.

– Czy to telefon? – powtórzyłam słowa Cecily.

– A pewnie. – Pocziwiec sam zaczął mówić z irlandzkim akcentem. – A co, nie widziałyście nigdy takiego wynalazku? Tak, to służbowy telefon policyjny. – Odwrócił się od nas i uniósł do ust tubkę. – Halo? Halo? Przyślijcie mi tu zaraz funkcjonariusza z koniem. Po co? Żeby odwiózł do domu dwie młódki, jedną posadzi z przodu, drugą z tyłu.

A niech go lichy z tą uprzejmością! Tego nam jeszcze z Cecily brakowało: nadmiaru zainteresowania.

– Jedną chwilkę, czekaj – rzucił nasz usłużny „funkcjonariusz” osobie po drugiej stronie linii, wypuścił z rąk tubkę i wyszedł na ulicę. Najwidoczniej nie tylko ja usłyszałam zbliżający się stukot kopyt.

– Marzę o telefonie – szepnęła Cecily. – Ciocia Otelia już taki ma.

– Uciszysz się? – szepnęłam ostrzegawczo.

Tymczasem konstabl zawołał:

– Halo! – I zamachał rękami, co od razu nasunęło mi skojarzenie z jednym z szyfrów, których jeszcze nie opanowałam, czyli z alfabetem semaforowym używanym głównie przez żeglarzy. Zanotowałam sobie w pamięci: „Nauczyć się alfabetu semaforowego. Zaznajomić z nim Cecily. Skoro przeszłość jest zwiastunem przyszłości, jak mówią, będzie nam to potrzebne”. Przydałby się nam taki system komunikacji parę godzin wcześniej, kiedy stałam na tyłach domu jej rodziców.

Z mroku pozbawionej latarni części ulicy wyłonił się stary koń z zapadniętym grzbietem ciągnący rozklekotany wóz powożony przez przygarbionego obdartusa należącego, jak by na to wskazywały ubiór i bezkształtne nakrycie głowy, do cechu obwoźnych sprzedawców.

– Halo, halo, Jeffries – odpowiedział stróżowi prawa.

– Dzień dobry, Lucas. Wcześniej dziś zacząłeś robotę. Jedziesz do Billingsgate?

– A gdzieżby indziej?

Konstablowi najwyraźniej nie przeszkadzał nieco zadziorny ton znajomka. Wskazał kciukiem na stojącą za jego plecami na chodniku Cecily i na mnie.

– Gdybyś podwiózł te dwie do Seven Dials, byłbym ci niezmiernie wdzięczny.

Handlarz odpowiedział warknięciem, natomiast konstabl bez zbędnych ceregieli się odwrócił, chwycił mnie za miejsce, w którym miałabym talię, gdybym ją posiadała, i podsadził na wóz. Klapnęłam na siano z rozdziawioną buzią, a po chwili w równie bezceremonialny sposób właściciel wozu usadził obok mnie Cecily. Zachowałam na tyle przytomności umysłu, by z zadowoleniem stwierdzić, że opuściła głowę, ukrywając zakrytą szalem twarz.

– Połóż się – szepnęłam, kiedy koń ruszył w drogę. – Udawaj, że śpisz. – Sama zrobiłam to samo i zagrzebałam się w sianie, nie racząc zawołać do konstabla: „Stukrotne dzięki!”. Nie chciałam, żeby ani on, ani jego znajomy zbyt dobrze nam się przyjrżeli.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Cecily, kiedy otworzyłam sekretne drzwi schowane za iglakiem. Żeby zwolnić blokadę zasuw, trzeba było nacisnąć jeden z ażurowych zawijasów wyrzeźbionych w drewnie.

– Ciii. – Kiedy dotarliśmy do celu, zaczynało już świtać. Pani Bailey z pewnością już wstała i krząta się po kuchni, co mogłoby się okazać bardzo niefortunne, jako że zdążyłyśmy już z Cecily porządnie zgłodnieć.

Zaprzątnięta tą myślą nie zauważyłam, że Cecily zadała mi pytanie pokornym i lęklwym głosem.

Sekretne drzwi rozwarły się niemal bezszelestnie dzięki dobrze naoliwionym zawiasom, a my weszłyśmy do gabinetu mieszczącego się w domu, który z własnych środków ufundowałam „doktorowi Lesliemu Ragostinowi, perdytoryście”. I choć doktor Ragostin zawiesił działalność na czas nieokreślony, wciąż byłam właścicielką kamienicy i pobierałam czynsz od lokatorów wynajmujących pokoje na piętrze.

Kiedy zamknęłam za nami drzwi, które przemieniły się w niebudzący podejrzeń regał z książkami, poprowadziłam Cecily w stronę sof, na której dawniej z lubością zagrzebywałam się w afgańskich pledach, by pokrzepić się drzemką. Usadziłam na niej dziewczynę. Nieco oszołomiona rozejrzała się po pomieszczeniu, przyglądając się wielkiemu mahoniowemu biurku doktora Ragostina, tureckiemu dywanowi, regałom z książkami i rozdzielającym je oknom zasłoniętym ciężkimi draperiami. Jej uwagę zwrócił także żyrandol gazowy, którego nie mogłam zapalić w obawie, że Joddy, mój chłopiec na posyłki, zauważy z korytarza światło w szparze pod drzwiami. Jednakże dla oczu, które przez całą noc pozostawały otwarte, pogrążony w mroku gabinet był dostatecznie jasny.

Przeszłam na paluszkach przez całą długość pomieszczenia, przykładając ostrzegawczo palec do ust, a następnie odsunęłam drugi z mocowanych na zawiasach regałów, za którym krył się nieduży sekretny alkierzyk. Schowek ten, stworzony kiedyś przez działających pod tym adresem oszustów specjalizujących się w urządzaniu seansów spirytystycznych dla łatwowiernych, służył mi za magazyn najrozmaitszych strojów, peruk, kapeluszy i tym podobnych artefaktów, dzięki którym mogłam wcielać się w dowolnie wybraną postać. Stały tam także wiadra z wodą, w których po każdej takiej eskapadzie obmywałam twarz z pomad, pudru i tuszów.

I ta właśnie woda była w tej chwili dla mnie najważniejsza. Napełniłam nią w połowie miednicę, dolałam słuszną ilość nalewki arnikowej z buteleczki, którą zawsze trzymałam w schowku pod ręką, i zaniosłam tę naprędce sporządzoną miksturę do gabinetu. Postawiwszy misę przed sofą, umieściłam w niej obolałe stopy nieszczęsnej Cecily. Woda była, rzecz jasna, zimna, jednak dziewczyna wydawała się tego nie zauważać. Skulona z żałościem ściągniętymi w przód ramionami wyszeptwała:

– Gdzie ja jestem?

Nawet w pisku zastrachanej myszy słysząc byłoby większą pewnością siebie. Starając się nie ściągać brwi, przyjrzałam się uważnie Cecily, po czym podeszłam do biurka doktora Ragostina, wyjęłam arkusik papieru i zapisałam na nim adres domu, w którym się znajdowałyśmy. Wróciłam do Cecily i wręczyłam jej kartkę.

– Proszę.

Wyciągnęła po nią prawą rękę. O bogowie, jakim sposobem i kiedy moja leworęczna buntownicza dopuściła do głosu drugą, potulną jaźń?

– Cecily – powiedziałam stanowczo, starając się jednak, by mój głos nie zabrzmiał zbyt ostro – czy spuszczając się z trzeciego piętra po linie, byłaś praworęczna?

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia jak u dziecka.

– Co takiego?

– Kiedy wyszłaś przez okno swojej sypialni...

Z wielką kurtuazją wyciągnęła do mnie rękę – niestety, prawą – by dotknąć mojego ramienia i powstrzymać mnie przed zadawaniem kolejnych pytań.

– Zachodzi jakieś absurdalne nieporozumienie – wyjaśniła głosem pełnym delikatności. – Nigdy w życiu nie wychodziłam znikąd oknem ani tym bardziej nie spuszczalam się po linie.

– Nic nie pamiętasz?

– Pamiętam tylko to, że położyłam się spać, jakim więc cudem przeniosłam się w to miejsce? Mój umysł miotał się jak mała w klatce, jednak siłą woli zmusiłam się, by zabrzmieć jak najłagodniej.

– Ale chyba pamiętasz, że uwięziono cię w sypialni i morzono głodem?

Skrzywiła się nagle, jakbym zadała jej ból, jednak wyszeptła, że tak, owszem, pamięta.

– Więc trzeba zapewnić ci kryjówkę.

– Tak.

– I właśnie cię do niej przyprowadziłam. To była długa, męcząca noc. Kiedy zjesz porządny posiłek i trochę się wyśpisz, wszystko sobie przypomnisz.

Miałam taką nadzieję! Wszystko, łącznie z siłą witalną powiązaną z jej leworęcznością!

– Wyciągnij się na sofie – zamruczałam kojącym tonem. Wzięłam dwie mięsiste szydełkowe kapy, przykryłam ją nimi, po czym zadbałam o to, by poutykać je szczelnie wokół jej biednych, zziębniętych stóp. – Przyniosę nam coś do jedzenia.

Do diaska z taką improwizowaną akcją ratunkową! Pokój był zawsze zamknięty na klucz, którego jedyną posiadaczką byłam ja. Cecily powinna być tu całkiem bezpieczna, nawet przed ciekawskim usposobieniem pani Fitzsimmons, mojej gospodyni, ale skoro obie mamy się teraz posilić, trzeba będzie się ujawnić i zamówić śniadanie. W tym, co miałam na sobie, nie mogłabym się pokazać. Należało się przebrać w strój godny właścicielki nieruchomości.

Wzdychając z niepokoju, wróciłam do schowka i zapaliłam w nim świecę. Drzwi pozostały uchylone, żeby Cecily nie straciła mnie z oczu. Do tej pory łudziłam się, że raz na zawsze skończyłam z zamiataniem ulic fałdami spódnic, jednak do mojej sekretnej garderoby nie trafiła jeszcze żadna suknia uszyta według najnowszej mody. Do niedawna żywiłam także nadzieję, że na zawsze pożegnałam się z ciężkimi i niewygodnymi w noszeniu perukami, teraz okazało się jednak, iż pasujący do wybranego ubioru kapelusz jest na trwałe przymocowany do jednej z nich, więc chcąc nie chcąc, zostałam zmuszona wcisnąć ją sobie na głowę. Kiedy miałam już na sobie strojną, gustowną suknię w gołębiczym kolorze, wychyłam z powrotem z ukrycia, przewracając oczami.

Cecily patrzyła na mnie z sofy wzrokiem przerażonej myszy, która właśnie dostrzegła kota. Zrobiłam zabawną minę, ale biedulka się nie zaśmiała, ba, nawet się nie uśmiechnęła. Pochyliłam się nad nią i wyszeptalam:

– Niedługo powinnam zjawić się z powrotem.

A potem wyszłam sekretnymi drzwiami i dbając jak zawsze o to, żeby nikt – a zwłaszcza kucharka i gospodyni – nie domyślił się ich istnienia, przemknęłam pod trejżami w ogrodzie sąsiadów na znajdujący się na tyłach ich domu podjazd, obeszłam kwartał i dotarłam do mojej własnej posesji od strony ulicy, dzierżąc w dłoni obciążonej skórkową rękawiczką klucz od frontowych drzwi.

Ale kiedy tylko znalazłam się na ceglany ganku zdobionym filigranowymi ażurami z pomalowanego na biało drewna i stanęłam przed dębowymi drzwiami, by je otworzyć i wejść do środka, zauważyłam cień wysokiego mężczyzny w cylindrze kroczącego bezceremonialnie w moją stronę.

Zanim się odwróciłam do niego twarzą, wiedziałam kto to.

I chociaż miałam na sobie perukę i wytworny strój, on także natychmiast mnie rozpoznał.

Pokonał jednym susem trzy prowadzące na ganek stopnie i spojrzał na mnie z góry, nie obdarzając mnie choćby cieniem braterskiego uśmiechu.

– Enolu – spytał Sherlock Holmes najbardziej autorytarnym ze swoich tonów – co zrobiłaś z lady Cecily Alistair?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie musiałam udawać zaskoczenia, ponieważ byłam zaskoczona, niemniej udało mi się zareagować na pytanie bardzo przekonująco udawaną niewiedzą. Przecież nikt nie powinien był zauważyć nieobecności Cecily przed nastaniem dnia, a już na pewno nie Sherlock Holmes.

– Cecily? – zdziwiłam się, a potem bardzo wiarygodnie odegrałam przerażenie: – Czy coś się stało z Cecily?

– Czy coś się stało z Cecily? – powtórzył, przedrzeźniając mnie z chłopięcą przekorą w sposób całkowicie niegodny Wielkiego Detektywa. Ani żadnego dorosłego mężczyzny, chyba że zrzędzeniem losu jest akurat moim bratem. Odwróciłam się od niego, by ukryć uśmiech, przekręciłam klucz w zamku, otworzyłam drzwi i weszłam do sieni. Sherlock podążył za mną, mówiąc z wyrzutem: – Wiesz doskonale, co się z nią stało.

– *Au contraire*, umieram z ciekawości, żeby się o wszystkim dowiedzieć. – Pociągnęłam za sznurek dzwonka, przywołując chłopca na posyłki, po czym przysiadłam w przesadnie grubo wyściełanym fotelu stojącym tuż przy wejściu do gabinetu doktora Ragostina, by mieć pewność, że leżąca tam na sofie Cecily usłyszy każde słowo mojej rozmowy z bratem. Wskazałam mu gestem fotel obok. Zignorował to nieme zaproszenie i przechadzał się nerwowo po korytarzu. I bardzo dobrze. Sam dał mi powód, bym mówiła nieco głośniej niż zwykle. – Czy wyjaśnisz mi, co się kryje za tak nagłą chęcią odszukania lady Cecily, Sherlocku? – spytałam, modulując głos.

– To, że lady Theodora wpadła w histerię, w związku z czym wyciągnięto mnie brutalnie z łóżka o czwartej nad ranem!

O bogowie w dziurawych piżamach! Zdaje się, że domownicy odkryli ucieczkę Cecily niemal natchmianem po tym, jak się oddaliśmy. Być może nawet zarządzono pościg już wówczas, gdy powolutku podążaliśmy uliczką między stajniami! Umysł podsunął mi kilka wizji ewentualnej katastrofalnej wpadki, zachowałam jednak obojętny wyraz twarzy i ton osoby mającej znikomą wiedzę o zaistniałej sytuacji.

– Ale dlaczego lady Theodora wpadła w histerię?

Sherlock rzucił mi wściekle i zdumione spojrzenie. W tej samej chwili w sieni pojawił się przyzwany wcześniej chłopak na posyłki, czyli Joddy, który przyjemnie mnie zaskoczył, zachowując się jak świetnie przeszkolony służący. Nie zdradził żadnych oznak zdziwienia na widok tak wcześniej składającego mi wizytę pana, odebrał od Sherlocka kapelusz, rękawiczki i laskę, położył je na stoliku przy drzwiach, odciągnął draperie w oknach, żeby wpuścić do pomieszczenia więcej światła, po czym zamarł w oczekiwaniu na kolejne polecenia.

– Mój gość i ja zjemy tu dziś wspólnie śniadanie, Joddy – poinformowałam chłopaka.

– Oczywiście, panno 'Olmes – odpowiedział i zniknął.

– Wielkie nieba, panno Holmes – odezwał się Sherlock, cedząc słowa z ironiczną monotonią w głosie – Wyglądasz kropka w kropkę jak nobliwa pani Jacobson, która swego czasu tutaj pracowała.

– Zaczne kobiecisko. Wielkie dzięki.

– I nosiła identyczny kapelusz dobrany barwą do peruki.

– Ma się rozumieć.

– A czemuż to – drążył brat, mierząc mnie z góry groźnym wzrokiem – nie spożywasz śniadania w swoim klubie?

– Bo tutaj lepiej karmią. – Nie było to wprawdzie zgodne z rzeczywistością, ale na pewno nie udało mi się tego sprawdzić.

– Jadąc tu, zajrzałem do Klubu dla Pań. Nikt cię tam nie widział.

– To standardowa informacja udzielana ciekawskim intruzom płci brzydkiej. Nie ma dnia, żeby nie padła taka odpowiedź. Jakim cudem otworzono ci w ogóle drzwi?

– A jakim cudem tu się zjawiłaś? – odparował. – Nie widziałem dorożki.

– Przyjechałam metrem.

– Enolu! – Rzadko widywałam na jego twarzy tak wielki przestach. – Korzystasz z metra?

– I to od zawsze, czyli odkąd zamieszkałam w Londynie. Czemu tak uniosłeś brwi? To tylko trochę inny pociąg.

– Z wagonami pełnymi najbardziej pospolitych i obmierzłych ludzi!

– Których pełno także na ulicach miasta. Zresztą jakie to ma znaczenie? Nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Przecież nie wpuścili cię do Klubu dla Pań, prawda?

– Udało mi się wsunąć do środka stopę i zablokować drzwi. – Westchnął i zajął w końcu miejsce na wskazanym przeze mnie fotelu, przyglądając mi się z miną, która zdradzała niespotykane u niego zaintrygowanie. – Enolu, wiem, że wczoraj usiłowałaś złożyć wizytę lady Cecily.

– A zatem wiesz także, że mnie odprawiono sprzed drzwi.

– Co z całą pewnością wzbudziło w tobie wielkie niezadowolenie. – Pochylił się ku mnie, a jego sylwetka nabrała kanciastych kształtów. Wbił łokcie w kolana i zetknął palce dłoni pod ostrym kątem. – A teraz mów prawdę, moja siostrze renegatko, jak chcesz mnie przekonać, że ktoś inny niż ty przywiązał sznurek do strzały, posłał ją w stronę okna lady Cecily, a potem uwiązał na nim linę, dzięki której panna Alistair zesłała po murze niczym małpa?

Zdaje się, że brat usiłował mnie podejść, oczekując sprostowań, że nie, że w tym celu została użyta włóczka, że nie jestem w stanie trafić z łuku do przedmiotu mniejszego niż gmach kościoła... Ale roztropnie przemilczałam te fakty. Pochyliłam się w jego stronę, okazując równie wielkie zaintrygowanie, jakie sam przed chwilą zdradzał, i spytałam:

– Więc o to chodzi w tej całej fanfaronadzie? Lady Cecily uciekła z domu?

– Doskonale wiesz, że...

– Nonsens! Nie odważyłaby się spuścić na linie. Nie przyjmuję tego do wiadomości.

– Lina dostała się na teren posesji w jednej z twoich toreb podróżnych.

– Bzdury gadasz. Czyżbyś wypracował metodę rozpoznawania pochodzenia toreb, tak jak badasz popiół z cygar?

Jestem przekonana, że odparowałby kolejną celną ripostą, gdyby nie to, że w korytarzu pojawił się ponownie Joddy z tacą pełną cudownych śniadaniowych przysmaków. Wśród nich wyróżniały się cztery jajka na miękko w kieliszkach, przykryte czymś na kształt miniaturowych fezów z chwościkami (w celu zapobieżenia zbyt szybkiemu wystygnięciu). Obok jajek na tacy pyszniły się ozór na zimno, pieczony pstrąg i gorące bułeczki pachnące zniwalająco masłem i cynamonem. Doprawdy, pani Bailey przeszła samą siebie. Zanim chłopak zdążył postawić tacę, zgarnęłam z niej sporą serwetkę i rozpostarłam ją sobie na kolanach, szykując się do uczyty.

– Dołączysz do mnie, rzecz jasna. – Było to naprawdę szczere zaproszenie.

– Ani myślę. – Podniósł się. – Mam zamiar przeszukać ten dom.

Sądzę, że spodziewał się gwałtownych protestów z mojej strony, tymczasem pomachałam mu tylko na pożegnanie łyżeczką i zaatakowałam nią pierwsze jajko. Spojrzał na mnie spode łba i ruszył na inspekcję jadalni, kuchni, pokojów służby i mieszkań na piętrze, zostawiając mnie sam na sam ze śniadaniem. Udałam wilczy apetyt na wypadek, gdyby zechciał mnie ukradkiem szpiegować, i z tego samego powodu nie ruszałam się z miejsca, chociaż rozpaczliwie chciałam wejść cichaczem do gabinetu i sprawdzić, co się dzieje z Cecily. Miałam nadzieję, że wysłuchała wszystkiego, co padło z ust Sherlocka, schowała miednicę, zatarła po sobie ślady i przeniosła się do sekretnego schowka. Tyle że nadal miałam w pamięci to, jak przekonująco weszła w rolę wystraszonej myszki... i serce pękało mi z niepokoju o jej stan.

Zjadłszy kolejne jajko, podnosiłam właśnie do ust lnianą serwetkę, kiedy ponownie zjawił się Sherlock i paroma susami dopadł wejścia do sanktuarium doktora Ragostina. Rysy jego jastrzębiej twarzy stężyły jak kamień.

– Otwórz te drzwi – rozkazał nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Już się robi – powiedziałam. Odmowa umocniłaby go tylko w podejrzeniach. Chociaż serce znów zaczęło mi łomotać w piersi, zadbałam o to, by na mojej twarzy nie zagościł nawet cień niezadowolenia. Podniosłam się niespiesznie, ale też i bez zbytniego ociągania, po czym przekreśliłam klucz w zamku. Sherlock natychmiast pchnął z impetem drzwi i wskoczył do środka.

Odprowadziłam go wzrokiem, stwierdzając z wielką ulgą, że Cecily zniknęła z sofy.

– A gdzie zasada „panie mają pierwszeństwo”? – upomniałam brata i schowawszy klucz w kieszeni, również przekroczyłam próg gabinetu.

Brat nie raczył mi odpowiedzieć ani nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Z większą niż było to konieczne siłą odsunął kotary, wpuszczając do środka światło dzienne, a potem stanął, przesuwając wzrok od sofy do biurka i z powrotem, jakby któryś z tych sprzętów mógł ukrywać w swoim wnętrzu zaginioną lady.

– Ktoś palił tu świecę – stwierdził z błyskiem w oku.

Tętno przyspieszyło mi do alarmujących wartości, pocieszałam się jednak, że w moim głosie nie da się wyczuć zdenerwowania, kiedy oświadczyłam, że z całą pewnością nic takiego nie miało miejsca. Rzuciłam okiem na ozdobne woskowe stożki ustawione nad kominkiem. Od dnia, w którym tam się znalazły, pozostały nietknięte łącznie z knotami.

– Skąd taki wnio...

– Czuję swąd. Ty z pewnością także.

– Na miłość boską, mój drogi bracie, na jakiej podstawie wmawiasz mi, co czuję? – Ponieważ bardzo nie lubię go okłamywać, spróbowałam obrócić sytuację w żart.

Wyraz jego twarzy nie złagodniał ani na jotę.

– Gdzie jest sekretny pokój?

Słowa te wywołały we mnie wstrząs. Myślę, że czułam się równie zaskoczona, gdyby przejechał po mnie dylżans zaprzęzony w czwórkę koni. Obawiam się, że znalazło to niestety odbicie na mojej twarzy, kiedy powtórzyłam bezwiednie:

– Sekretny pokój?

– Nie drocz ze mną, Enolu. Nie jestem durniem. Myślisz, że nie pamiętam o odbywających się tu dawniej seansach spirytystycznych? Oczywiście, że musi tu być sekretne pomieszczenie. Natychmiast mi je pokaż – rozkazał ostrym tonem, jakby mówił do niesforne go dziecka.

Szast-prast i mój szok momentalnie ustąpił irytacji.

– Oho, nie wolno droczyć się ze sławnym Sherlockiem Holmesem – rzuciłam drwiąco, opadając ciężko na sofę i krzyżując ręce. – Sam go odszukaj, mój ty słynny specjalisto.

Od razu przystąpił do działania i w ciągu kilku minut opukał wszystkie ściany za regałami, aż trafił na tę, która wydawała bardziej głuchy dźwięk niż pozostałe. I zaraz potem jego zręczne palce zaczęły szukać sposobu na otwarcie ukrytych za książkami drzwi. Uczepiwszy się nadziei, że jednak mu się to nie uda, i starając się nie myśleć o tym, co, u diaska, zrobię, jeśli mimo wszystko mu się powiedzie, siedziałam tyłem do brata, udając twardo nonszalancję mimo zaciśniętych zębów i pięści.

– Aha! – zawołał nagle.

Zamknęłam oczy, ubolewając nad dalszym losem lady Cecily, żywiąc jednocześnie cień nadziei, że wspólnymi siłami zdołamy we dwie przekonać Sherlocka do... do czegoś... Do jakiejś ugody z jej okropnym ojcem... Błagam...

Sekretne drzwi ustąpiły bezgłośnie. Na kilka chwil zapanowała głucha cisza. Na kilka długich, przeciągających się chwil. Kiedy poczułam, że nie zniosę dłużej napięcia, otworzyłam oczy i się odwróciłam, by ujrzeć...

Co?

Przez uchylone drzwi z przykręconym do nich regałem z książkami zobaczyłam, że Sherlock zapalił świecę i rozgląda się po ciasnym pomieszczeniu.

I tyle.

Ale gdzie się podziała lady Cecily?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Choć dokonywałam nadludzkich wysiłków, by zachować pozory spokoju i obojętności, przyznam, że nie do końca mi się to powiodło. Z pewnością wyraz mojej twarzy mówił wiele, kiedy weszłam za bratem do małego pomieszczenia będącego raczej garderobą niż pokojem, gdzie przechowywałam liczne gadzety umożliwiające mi przebieranki. Lady Cecily nie mogła się tam nigdzie schować, no, może w szafie, ale ta była szeroko otwarta. Sherlock, rzecz jasna, przeprowadził i w niej drobiazgową inspekcję. Przyglądał się półkom i schowkom wypełnionym apaszkami i szalami, botkami, pończochami, rękawiczkami, perukami, treskami, kapeluszami – oraz ineksprymablami! – jakby liczył na to, że za chwilę wypatrzy lady Cecily przycupniętą gdzieś za gorsetem.

– Zadowolony? – spytałam z niekłamana goryczą.

Wzdrygnął się nagle, jakbym obudziła go z głębokich rozmyślań. Odwrócił się do mnie.

– Najmocniej cię przepraszam! – Zabrzmiało to szczerze. Chwilę później dodał nieco spokojniejszym, ale równie solennym tonem: – Enolu, zdaje się, że muszę się pokajać za to najście.

– Idź już sobie, proszę.

– Oczywiście. – Natychmiast przychylił się do mojej prośby.

Zamknęłam sekretne drzwi i wyprowadziłam go z gabinetu. Z mieszanymi uczuciami dostrzegłam, że Joddy zabrał tacę z resztą śniadania, skazując lady Cecily na dalsze przymieranie głodem. Znalazłszy się przy drzwiach, przystanąłam i czekałam, choć kończyła mi się już cierpliwość, aż brat nałoży na głowę kapelusz, wsunie dłoń w rękawiczki i weźmie ze stolika laskę.

Sherlock przyjrzał się bacznie mojej twarzy.

– Jeszcze raz najmocniej cię przepraszam – powtórzył – choć dotyczy to jedynie faktu pokalania twojego sekretnego buduaru moją męską obecnością. Ponieważ mimo że poszukiwania zakończyły się fiaskiem, musisz wiedzieć jedno: nadal żywię mocne przekonanie, że maczałaś palce w zniknięciu lady Cecily Alistair.

Przez krótką chwilę miałam ochotę wtajemniczyć go w moje machinacje, ale wybiłam to sobie z głowy i skwitowałam jego słowa półprawdą:

– I ja bardzo się o nią niepokoję.

– A zatem zapewniam cię, że jeśli zdołam ją odszukać, znajdziesz się wśród pierwszych osób, które o tym powiadomię. – Wyciągnął ku mnie dłoń w rękawicze przesadnie łaskawym gestem.

Przyznam się, że osłabiło to nieco wyrzuty sumienia związane z oszukiwaniem rodzzonego brata. Uścisnęłam mu rękę, a on zniknął za drzwiami.

Stałam w oknie i patrzyłam, jak mój przystojny (przynajmniej według mnie) brat wsiada do drożki i odjeżdża.

Kiedy miałam już pewność, że oddalił się na tyle, by nie widzieć, co robię, zdjęta rozpaczliwym niepokojem o losy mojej zaginionej lady zapomniałam o wszelkich środkach ostrożności.

– Cecily! – zawołałam, kiedy wbiegłam z powrotem do sanktuarium doktora Ragostina, zatrzasnęłam za sobą drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Pognałam do sekretnych drzwi wiodących na zewnątrz i otworzyłam je z impetem w podszytej lękiem nadziei, że zaraz ujrzę zaginioną drżącą z zimna, przycupniętą pod wiecznie zielonym krzewem. Ale nie było tam ani jej, ani najmniejszego śladu, który mógłby wskazywać, że kiedykolwiek w tym miejscu przebywała.

Zbadałam wzrokiem wąską przestrzeń między budynkami. Nic. Podążyłam na koniec przesmyku z myślą o zajrzeniu do kurnika, szopy ogrodowej i innych zabudowań gospodarczych na wypadek, gdyby postanowiła się tam ukryć, jednak po paru krokach się zatrzymałam. „Enolu, myśl”, odezwało się w mojej głowie echo kojącego głosu mamy. Nie można się pokazywać służbie bez przyłbicy, że się tak wyrażę.

I z całą pewnością Cecily nie schowałaby się w kurniku odziana w koszulę nocną ani nie błąkałyby się wczesnym rankiem po ulicach w tak skąpym stroju.

Zapanowawszy nad własnym rozdygotaniem, posłuchałam głosu rozsądku i po cichu przemknęłam z powrotem do gabinetu, zabezpieczyłam tajne drzwi i przystąpiłam do szukania jakichkolwiek poszlak, które mogłyby naprowadzić mnie na trop. I długo nie szukałam. Okazało się, że przeszedłszy do sekretnego pomieszczenia, lady Cecily zawinęła swoją białą koszulę w pelerynę do bartitsu i upchnęła całość pod półką tak sprytnie, że nawet Sherlock jej tam nie wypatrzył. Pamiętam, że przebierając się wcześniej w swoim schowku, bezceremonialnie rzuciłam szarobure fatałaszki na podłogę. Teraz zniknęły. Sprawdziłam, czy przypadkiem Cecily nie odwiesiła mojego kostiumiku do szafy. Nie. Doszłam do jedyne go słusznego wniosku: przywdziała mój wysłużony i staroświecki myszowaty strój, wiedząc, że nie bę-

dzie w nim wzbudzać zainteresowania przechodniów. Zabrała także moje botki i z całą pewnością dwie pary pończoch, by uchronić stopy przed dalszymi otarciami. Jedynie mój męski w formie kapelusz spoczywał rondem do góry na półce, na której go o świcie zostawiłam.

Spojrzałam na niego, marszcząc brwi, jakby dopuścił się przestępstwa. Ale po chwili rozjaśniło mi się w głowie i mu wybaczyłam. Przecież to oczywiste: Cecily musiała zadbać o to, by zasłonić swoje nieprzyzwoicie krótko ścięte włosy. Z pewnością pożyczyla w tym celu coś, z czego można zrobić zawój, jakąś apaszkę lub szal.

Tylko dokąd się potem udała? Czy jeszcze tu wróci? I czemu nie zostawiła mi żadnej wiadomości z wyjaśnieniem albo choćby słowami pożegnania?

Ta myśl sprawiła, że nagle poczułam się osamotniona i przygnębiona. Ogarnęła mnie tak czarna i przytłaczająca rozpacz, że poczułam napływające mi do oczu piekące łzy.

„Enolu, tak nie można”.

Potrząsnęłam głową, odganiając złowieszcze myśli, będące niczym innym jak déjà vu, echem reakcji na ucieczkę mojej matki sprzed roku. Ale wówczas byłam jeszcze dziewczątkiem, a dziś jestem kobietą. Natomiast Cecily to nie moja matka, tylko przyjaciółka, której muszę pospieszyć z pomocą.

„Myśl. Postaw się w jej położeniu”.

Zamrugałam, by zatrzymać dalsze wzbieranie się łez, i zaczęłam myśleć.

„Jestem teraz Cecily, mam na sobie koszulę nocną i leżę na kanapie, wymoczywszy poranione nogi w miednicy, słyszę nagle, że w domu zjawia się Sherlock Holmes i zaczyna mnie wszędzie szukać. Muszę poskładać i odłożyć pledy oraz zatrzeć wszelkie inne ślady mojej obecności. Od czego zacząć?”.

Pozbyć się miednicy.

Właśnie, gdzie ją postawiła?

No i jak to zwykle bywa, kiedy tylko się za nią rozejrzałam, zobaczyłam ją na półce. Leżała do góry dnem. Zapewne wylądowała tam, ociekając wodą, która zalała wszystko pod spodem. Wyszarpnęłam naczynie gwałtownym ruchem. I zaraz potem się przekonałam, że nie doceniłam zdrowego rozsądku Cecily. Najwyraźniej znów się przestawiła na swoją leworęczną, pomysłową jaźń. Nie dość, że po wylaniu wody do jednego z moich wiader wytarła miednicę do sucha, to jeszcze celowo postawiła ją do góry dnem, ukrywając coś, co było przeznaczone tylko dla moich oczu.

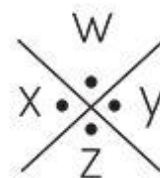
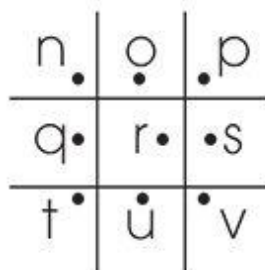
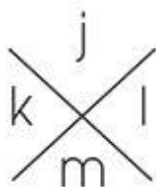
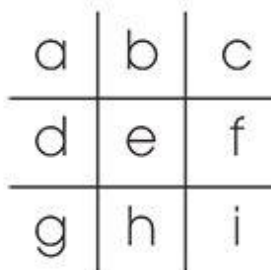
Sięgnęłam drżącymi z emocji rękami po kartkę (pożyczoną zapewne z biurka doktora Ragostina). Cecily zapisała na niej ciąg znaków:

^L>OΓA V N >U.U.O

OΓL ΓA JΓL O.L.U.U.O.C

OΓO V.F.O.L.A OΓL ΓA.U.O.Γ

Uznałam, że odczytam to w mig, ponieważ szyfr masoński jest chyba najprostszym z możliwych tajnych kodów używanych przez dzieci. Cecily i ja już raz się nim posłużyłyśmy. Prawie każda osoba, Sherlock także... nie, przede wszystkim Sherlock... potrafi go odczytać z równą łatwością jak ja. Pomyślałam, że przyjaciółka nie wykazała się tu zbyt dużą rozwagą. Ale na szczęście mój brat nie znalazł liściku, więc wzruszyłam tylko ramionami i zasiadłam za biurkiem. Sięgnęłam po czystą kartkę, na której szybko rozpisałam klucz:



Cała tajemnica polega na wyrysowaniu wszystkiego, co daną literę otacza, z pominięciem jej samej. Pierwszą literą wiadomości od Cecyli musiało być zatem M. Po niej następowały C i K, a potem... E?

„Mcke”?

Mój entuzjazm zaczął znikać pod chmurą zbierających się wątpliwości. Mimo to dobrnęłam do końca pierwszej linijki.

MCKEGZ W U KOOE

Coś tu było najwyraźniej nie tak. Spróbowałam przeczytać tekst wspak: „eook u w zgekc”, a potem co drugą literę: „mkgwko”, „cezuoe”... Może należało wymieszać litery: „cekeze”... „mukoge”? Wyglądało to wszystko żałośnie.

Pierwsze dwie litery środkowej linijki to E i G. Próbowałam je połączyć z różnymi kombinacjami liter z pierwszego rzędu, co również nic sensownego nie dało. A może należało puścić jakąś serpentynę przez wszystkie trzy wersy?

Powiem krótko: zmarnotrawiłam mnóstwo czasu tylko po to, by odkryć, że też jednak nie.

A miał to być szyfr łatwy do odczytania dla każdego.

Oszczędzę łaskawemu czytelnikowi szczegółów umysłowej ekwilibrystyki, która zajęła mi kolejną godzinę. Fakt pozostawał faktem: zaszyfrowana wiadomość, której odczytanie wydawało się pestką, pozostawała dla mnie całkowicie niezrozumiała. W porze lunchu byłam już o krok od popadnięcia w historię wzorem lady Theodory. I co ja teraz zrobię? Przedtem mój plan wyglądał mniej więcej tak: nakarmić Cecyli, zaopatrzyć ją w kilka prostych, acz eleganckich, strojów, zabrać ze sobą do Klubu dla Pań, przetrzymać tam w ukryciu przez bliżej nieokreślony czas aż do chwili znalezienia wyjścia z impasu, który jej zafundował przejawiający dyktatorskie zapędy ojciec. Z punktu widzenia prawa było to niewykonalne, jednak biorąc pod uwagę aspekt moralny, być może za sprawą nacisku lub perswazji...

Chyba straciłam rozum! Przecież lady Cecyli przepadła gdzieś bez śladu, a ja nie mam pojęcia, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę!



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy wydaje się nam, że ciemniej być nie może, nadchodzi najczarniejsza noc. Tak brzmiał ostatni bon mot ukuty przez jakiegoś tuza satyry – być może Oscara Wilde’a? Był to wyjątkowo trafny opis dnia, w którym zaginęła lady Cecily. Koszmarny lęk wywołany wizją tego, że Sherlock odnajdzie ją w moim sekretnym królestwie, przerodził się, a raczej wykoślawił w bezbrzeżne przerażenie na myśl o tym, że panna Alistair wkroczyła samotnie do dymiącego szamba, jakim jest Londyn. A jeśli znów górę weźmie u niej praworęczność i ponownie stanie się bezbronna jak dziecko? Ze zdenerwowania nie mogłam spokojnie usiedzieć w miejscu. Krążyłam po gabinecie doktora Ragostina, a w głowie kręciła mi się karuzela obrazów nieszczęść, które mogłyby dopaść biedną Cecily: Cecily wpadająca pod tramwaj, Cecily w przytułku dla ubogich skubiąca krwawiącymi palcami stare liny i sznury na pakuły, Cecily nękana przez natrętnych mężczyzn, Cecily przymierająca głodem w jakimś plugawym zaułku, Cecily uprowadzona przez handlarzy żywym towarem i skazana na życie w nieprawości, Cecily przebrana za chłopaka, zatrzymana przez policję pod zarzutem doliniarstwa i wtrącona do więzienia...

I nagle, w chwili, w której wydawało mi się, że przez ten kołowrót myśli sama zacznę się zaraz kręcić jak derwisz, pojawiła się pewna myśl, która dosłownie ścisnęła mnie za gardło. I to z taką siłą, że znieruchomiałam w pół kroku na samym środku tureckiego dywanu.

Przecież wyobraźnia podsuwała mi wizje nieszczęść, które zdaniem zatroskanego Sherlocka mogły stać się także i moim udziałem po tym, jak rok wcześniej wymknęłam się spod kurateli braci.

Jakże nonsensowny wydawał mi się wówczas jego tryb myślenia! Teraz jednak uświadomiłam sobie po raz pierwszy, jak wielka musiała być jego troska o mnie, i poczułam ogromny przypływ ciepłych uczuć do brata. A że byłam już i tak w stanie rozchwiania emocjonalnego, najzwyczajniej w świecie się rozbeczałam. Upadłam na sofę, wtuliłam twarz w jedną z welurowych poduszek i zanosilałam się łkaniem aż do chwili, gdy...

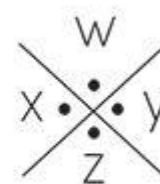
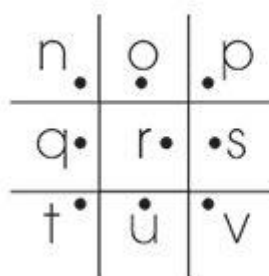
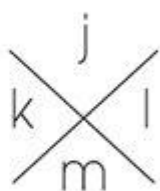
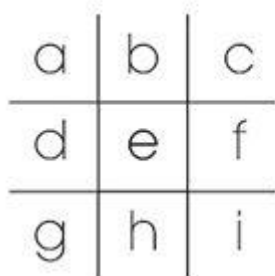
Obudziłam się wiele godzin później.

Ponieważ nigdy dotąd nie zasypiałam ukołysana płaczem, w pierwszej chwili ogarnęło mnie poczucie bezsensu spotęgowane obecnością jakiejś kruszącej się i lepkiej substancji wokół moich oczu i nosa. Zauważyłam także, że doprowadziłam welurową poduszkę do stanu wołającego o pomstę do nieba, więc krzyknąwszy coś niezbyt cenzuralnego, pobiegłam po wodę, by doczyścić i ją, i siebie. A jednak, mimo chaosu, który zapanował w moim wyglądzie, odkryłam, że w sferze duchowej wreszcie doszłam do jakiegoś takiego ładu. I choć nadal gorąco pragnęłam odszukać Cecily, obawiając się straszliwych konsekwencji w przypadku fiaska moich starań, to jednocześnie zrozumiałam, że nie mogę dłużej pozostać tam, gdzie jestem, karmiąc się sprzeczną z jakąkolwiek logiką nadzieją, że zaginiona wróci w miejsce, z którego uciekła. Ponieważ ominął mnie lunch, musiałam udać się do klubu i ponownie zasiąść z jego rezydentkami do wspólnej kolacji. Bo inaczej niż w przypadku mojego brata Sherlocka, pełny żołądek był dla mnie gwarancją sprawniejszego przebiegu procesów myślowych.

Chociaż informacje o zniknięciu lady Cecily zostały skutecznie wyciszone przez rodzinę Alistairów, a policja zachowała pełną dyskrecję i do prasy nie przeniknęła nawet najmniejsza wzmianka o ucieczce młodej arystokratki, należy zawsze mieć na uwadze fakt, że tam, gdzie jest służba, tam nie ma tajemnic. Sir Eustace zatrudniał armię służących, skutkiem czego rozmowy toczące się wieczorem w jadalni Klubu dla Pań kipiwały jak woda w górskim strumieniu. Powtarzano sobie plotki z drugiej ręki i snuto domysły. Zabawne było to, że przekazywane z ust do ust pogłoski obrastały w coraz to nowe ozdobniki: lady Cecily Alistair uciekła z młodym i nieszczęśliwie zakochanym tajemniczym wielbicielem, powiązawszy ze sobą prześcieradła i zsunąwszy się z okna prosto w jego czułe ramiona – tak twierdzili niektórzy. Zdaniem innych ogoliła sobie głowę i zbiegła z domu, by wstąpić do klasztoru. Jeszcze inni się upierali, że zeskoczyła z dachu w rozpaczliwej próbie zakończenia swego żywota, nie mogąc przeboleć zawodu miłosnego i utraty włosów, ale jej upadek został złagodzony przez gałęzie rosnącej pod domem wierzby (drzewa symbolizującego smutek) i wyszła z tego bez szwanku. Mówiono również, iż zbuntowała się przeciwko ograniczeniom narzuconym przez rodziców, a w ucieczce pomogła jej współniczka z drabiną, albo – co jeszcze bardziej absurdalne – wyposażona w łuk, strzałę i sznurek.

Ponieważ byłam najmłodszą wiekiem członkinią Klubu dla Pań, rzadko zabierałam głos przy stole, tym razem jednak nie wytrzymałam.

A potem raz jeszcze rozrysowałam klucz:



Czując radość z potencjalnego triumfu, podszytą lekką obawą przed kolejną porażką, ponownie odcyfrowywałam literę za literą.

E... O... U? Znów omal nie wpadłam w czarną rozpacz, ale nie poddałam się tak łatwo. EOL U WZIELAM...

Eureka! EOOL U, czyli „Enolu”! W pośpiechu Cecily popełniła kilka błędów i myliła spacje, a jednak ENOLU WZIELAM brzmiało całkiem sensownie, podobnie jak to, co odczytywałam dalej. Wzięła DROBNE. NIC MI NIE GROZI NIE MARTW SIE.

Wzięła pieniądze, obiecała, że będzie bezpieczna, i zabroniła mi się martwić.

Wyprostowałam się, oparłam wygodnie o krzesło, zrobiłam kilka głębokich wdechów i spróbowałam, zgodnie z jej zaleceniami, przestać się martwić.

„Ale zaraz” – argumentował mój pracujący na najwyższych obrotach umysł – „jak mam się nie martwić?” Przecież Cecily nie mogła znaleźć więcej niż parę szylingów i pensów w kieszeniach moich ubrań z sekretnego pokoju. No i – przypomniałam sobie rzezimieszka z garotą, który usiłował mnie zabić – Londyn nie jest bezpiecznym miastem. Gorzej, co będzie, jeśli Cecily zapomni, że potrafi być bystrą i rezolutną leworęczną lady i stanie się ponownie łagodną i nieśmiałą praworęczną istotą, na którą wychowali ją rodzice? Co się wtedy z nią stanie?

Byłam jedyną osobą, która rozumiała naturę i zakres groźących jej niebezpieczeństw. Musiałam ją odszukać. Po prostu musiałam.

Tylko jak?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego ranka nadal nie miałam żadnego planu działania. Domyślałam się, że w takim wypadku mój brat Sherlock wypaliłby już trzy fajki nabite machorką, zapatrzony w duszącą zasłonę dymną własnej produkcji. Przepelniona niemiłymi myślami o nim i o jego genialnym talencie dedukcyjnym opuściłam w pośpiechu swój pokój w klubie. Nie potrafiłabym tam wysiedzieć ani sekundy dłużej. Ale w którą stronę mam się teraz zwrócić? Rozważałam to całkiem dosłownie: czy mam się udać na górę, czy na dół, w prawo czy może w lewo? Nie byłam gotowa do wyjścia na zewnątrz, błąkałam się więc po gmachu Klubu dla Pań, aż wreszcie trafiłam do gabinetu, gdzie poddałam się nieco pogodniejszemu impulsowi. Usiadłam i przygotowałam sobie papier i ołówki, by zacząć szkicować.

Kiedy jestem w kropce – a właśnie w niej byłam – stawiam na rysowanie karykatur, nie na tytoń, i często prowadzi mnie to do konstruktywnych wniosków. Na pierwszy ogień poszedł sir Eustace. Przedstawiłam go drącego się wniebogłosy i wymachującego groźnie laską. Potem naszkicowałam jego nalaną twarz wykrzywioną w straszliwym grymasie, jakby przed chwilą zjadł cytrynę. Na kolejnym dodałam mu grube wkładki do butów i kazałam przybrać pozę Napoleona z dłonią wsuniętą za poję koszuli. Chwilę potem obok niego zjawiała się ubrana w strojną suknię lady Theodora o pięknej, naznaczonej cierpieniem twarzy. Przewyższała go wzrostem i spoglądała z góry na jego szpetną, przysadzistą postać. Na drugiej kartce narysowałam, prowadząc ołówek nieco wolniej i uważniej, uroczą główkę Cecily, otoczoną bujnymi lokami w pełni ich dawnej chwały. Potem przedstawiłam ją w słomkowym kanotierze i wystających spod spódnicy szarawarach, pedałującą na rowerze. Następnie narysowałam ją stojącą w modnej sukni i z uśmiechem na ustach, później również w pełnej postaci, ale owiniętą szalem...

– Mój Boże, ma pani niezwykle talent – odezwał się nad moim prawym ramieniem czyjś głos, wprawiając mnie w lekki popłoch, który szybko minął, bo przecież nie musiałam się już przed nikim ukrywać. Spojrzałam w górę. Lady Vienna pochylała się nade mną wpatrzona z zachwytem w moje rysunki. – Toż to sir Eustace Alistair! Łobuzico, przyszpiliła go pani jak owada w gablocie! – Chyba pierwszy raz w życiu zostałam nazwana łobuzicą w żartobliwy sposób. W głosie lady Vienny pobrzmiwało szczerze ukontentowanie. – A obok niego stoi jego żona?

– Lady Theodora, tak. Niestety, rysunek nie oddaje w pełni jej urody.

– A zatem musi być naprawdę nieziemsko piękna. A kto jest na pozostałych obrazkach?

– Lady Cecily.

– Ich zaginiona córka?

– Właśnie.

– A ta dziewczyna w szalu?

– To także ona. Mam bardzo złe przecucia.

Uwaga ta nie wypsnęłaby mi się z taką łatwością – jak sądzę i mam nadzieję – w rozmowie z inną osobą. Jednak darzyłam lady Viennę wielką estymą. Rzadko spotyka się kobietę łączącą życzliwe usposobienie z błyskotliwością i wielką mądrością życiową.

– Może pomówimy o tym w cztery oczy przy herbacie? – zaproponowała.

– Ale czy mogę liczyć na pani dyskrecję? – Wolałam się upewnić.

– Oczywiście. Dyskrecja to moja specjalność.

– W takim razie bardzo chętnie. – Zebrałam papiery i wstałam, by jej towarzyszyć.

Nie czytałam żadnych opracowań naukowych dowodzących dobroczynnego wpływu herbaty. Jednakże, sącząc kojący napój w odosobnionym kąciku salonu dziennego, skąpiana w słońcu i dobrodusznosci lady Vienny wyrzuciłam z siebie bez oporów:

– Lady Cecily jest leworęczna i w tym kryje się źródło wszystkich jej kłopotów. – Brwi mojej rozmówczynie enigmatycznie się uniosły. – A gdyby pani urodziła się leworęczna, lady Vienno?

– Właśnie taka się urodziłam – odpowiedziała cicho – i z mocy autorytarnej i wszechmocnej etykiety moją lewą ręką uznano za naznaczoną szatańskim piętnem. Wiązano mi ją na plecach i zabraniano jej używać. – Widząc moje zdumienie, uśmiechnęła się i spytała: – A myśli pani, że co wpłynęło na to, że stałam się tak bezkompromisową buntowniczką, droga Enolu?

– Ale teraz posługuje się pani prawą ręką!

– Ponieważ moja leworęczność została pokonana i skapitulowała. Jednakże długa i smutna batalia uczyniła ze mnie osobę bezkompromisową i upartą, gotową zmienić ten okrutny świat. Czy coś podobnego jest teraz udziałem lady Cecily?

Uśmiechnęłam się.

– Jej lewa ręka jeszcze nie uległa i nie skapitulowała, więc dziewczyna ma szansę stać się kimś podobnym do pani. Zaszły jednak pewne komplikacje. – Wyjaśniłam najlepiej, jak umiałam, niełatwą zawilść tożsamości Cecily.

– To, co daje jej siłę, jest zarazem jej słabością – podsumowałam swój wywód. – Jej leworęczną jaźń cechują nie mniejsze niż u innych pewność siebie i przedsiębiorczość. Jednak nieustanne naciski, by stała się słodką i potulną praworęczną córką arystokratów, rozdarły ją na dwoje. Zdarzają się chwile, że nie pamięta, gdzie do niedawna była i co robiła. Podejrzewam u niej rozdwojenie jaźni.

Słuchająca moich wywodów lady Vienna zdradzała wszelkie oznaki głębokiego zainteresowania tą tematyką. Z pewnością była ciekawa, skąd tyle o wszystkim wiem, ale spytała jedynie:

– Jak doktor Jekyll i pan Hyde?

– Gdyby pan Hyde był jaźnią silną, a doktor Jekyll słabą, to mniej więcej tak. Jednakże słabej kobiecie grozi na ulicach Londynu wielkie niebezpieczeństwo. Muszę ją odszukać.

– No tak, przecież marzy się pani kariera perdytorystki, znalazczynie tego, co zagubione – rozmyślała na głos lady Vienna, patrząc z uwagą na denko opróżnionej filiżanki, jakby chciała mi powrócić z herbacianych fusów. Ale po chwili z równą mocą spojrzała mi w twarz. – Tylko jak pani tego dokona?

Z wielkimi oporami musiałam jej wyznaczyć prawdę:

– Nie mam pojęcia.

Tymczasem umysł lady Vienny zajmowała już kolejna myśl:

– A jeśli nawet uda się ją pani odszukać, to jak się potoczą dalsze losy tej młodej kobiety? Zgodnie z wymogami prawa powinna wrócić pod mało opiekuńcze skrzydła swego ojca, sir Eustace’a. Nie uwolni się spod jego władzy, dopóki nie ukończy dwudziestu jeden lat. W tej chwili ma ich siedemnaście. Bóg jeden wie, ilu policjantów jej teraz szuka – dodała.

„O Sherlocku Holmesie nie wspominając”. Postanowiłam zatem o nim nie wspominać, tym bardziej że moja rozmówczyni nie wiedziała jeszcze o zgonie naszej matki, więc wolałam nie przywoływać w rozmowie kogokolwiek noszącego nazwisko Holmes. W związku z tym wstałam i podziękowałam lady Viennie za herbatę i okazane mi wsparcie. Zapragnęłam wyjść na powietrze. Rzadko do tej pory czułam się aż tak ogłupiała i niepozobierana, miałam jednak nadzieję, że spacer przywróci mi jasność umysłu.

Wymyśliłam dobry pretekst do przechadzki: odniosę niemodną szarą suknię z powrotem tam, gdzie ją dotychczas przechowywałam, czyli do sekretnego pokoiku sąsiadującego z gabinetem doktora Ragostina. Po wyjściu ze stacji metra pozostała część drogi pokonałam pieszo. Wielka, klockowata kamienica ceglana w stylu georgiańskim mieściła się w samym środku uroczej artystycznej dzielnicy, w której latem w ogródkach można było podziwiać słoneczniki, symbol nurtu zwanego estetyzmem, sadzone masowo przez jego zwolenników zamiast tradycyjnych angielskich róż. Słoneczniki są żółte, i to w odcieniu, który może razić co bardziej konserwatywne osoby preferujące w architekturze i ubiorze tradycyjne, stonowane odcienie oliwkowej zieleni, rudości i ochry.

Podobny niesmak mógłby w nich wywołać widok niezwykle malowniczych typów ludzkich, których w tej okolicy nie brakuje: młodych kobiet w sukniach o kanarkowej lub równie jaskrawej barwie, otulających miękko ich ciała, zamiast udawać tapicerkę, oraz długowłosych młodzieńców w pumpach z weluru, białych skarpetkach i skórzanych lakierkach naśladowujących styl Oscara Wilde’a. Dzień był niezwykle piękny i ciepły jak na październik, więc na ulice wyległy tłumy. Dostrzegłam modnie ubraną femme drobiącą kroczyki w przewężonej na wysokości kolan spódnicy, z żółtą szarfą zawiązaną na gorsie w gigantyczną kokardę, której luźne końce wlewały się nieomal po ziemi. Widziałam też nianię w sukience z drukowanego w bukietki perkalu, sprawującą opiekę nad grupką dzieci jakby żywcem wyjętych z ilustracji do książki Kate Greenaway. Jeszcze dalej wypatrzyłam kwiaciarę z koszykiem pełnym przesadnie żółtych pachnących wiązanek (obnośni sprzedawcy, w przeciwieństwie do żebraków i tańczących niedźwiedzi, byli tolerowani na tej nieco wywrotowej i tylko na wpół szanowanej ulicy). Mężczyzna z długim kijem na ramionach dźwigał cuchnące ochłapy mięsa przeznaczone dla trzymany w domach psów i kotów. Ostrzyciel nożyczek pchał przed sobą wózek z kamienną oselką. Mleczarz rozwoził swój towar do kolejnych domostw. A wysoki, przygarbiony starzec z siwą brodą kuśtykał od drzwi do drzwi z zatkniętymi pod pachą narzędziami i pokaźnym pękiem parasoli. Był to tak zwany parasolnik, czyli osoba zajmująca się naprawą i wyrobem deszczochronów. Wielu rzemieślników utrzymywało się w tych czasach, wykorzystując umiejętność wytwarzania nowych przedmiotów ze szczątków starych. Parasolnik potrafił nie tylko naprawić połamane druty, ale umiał także wyczarować całkiem sprawnie działający przyrząd z kilku innych, nadających się pozornie do wyrzucenia.

„Nie ma za co, Cecily!”

Wyprostowałam plecy i rozparłam się wygodnie w kosztownym, obitym skórą krześle doktora Ragostina, pełna niemal macierzyńskiej dumy z Cecily. Nie ulegało wątpliwości, że przybrała inne nazwisko – jak kiedyś ja – i odgrywa rolę młodej, pracującej kobiety – jak kiedyś ja – by stać się niezależną...

Jak ja? Wierutne bzdury! Przekonałam się już przecież, że Cecily nie jest moją siostrą bliźniaczką i nie można oczekiwać, iż będzie powielać moje zachowanie. W każdej chwili jakiś niefortunny zbieg okoliczności może sprawić, że powróci do swego praworęcznego, bezmyślnego, bezproduktywnego bytowania w roli salonowej ozdoby.

I co się wówczas może z nią stać?

Jak parasol wyrwany z ręki przez wiatr moja duma wywróciła się na nice i odfrunęła w niebyt, a w jej miejsce pojawiła się konsternacja. Jeśli ktoś poza mną odkryje, że umysł Cecily zamieszkują dwie sprzeczne osobowości, pojawi się kolejne zagrożenie: może zostać umieszczona w przytułku dla obłąkanych! A byłby to los może nawet jeszcze gorszy od pojmania i oddania pod opiekę despotycznego ojca, sir Eustace’a!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przepełniona tak ponurymi myślami odwiesiłam szary strój do szafy, zamknęłam schowek, przywróciłam porządek w gabinecie i wpełchnawszy nową wiadomość od Cecyli za stanik mojej sukni z welenki o barwie mchu, haftowanej w słoneczniki, opuściłam siedzibę fikcyjnego doktora.

Miałam w planie powrót do klubu, zadzwoniłam zatem po Joddy'ego, by przyniósł mi z powrotem kapelusz, rękawiczki, okrycie wierzchnie i parasolkę, jednak chłopak się nie pojawił. Odczekawszy kilka minut, zmarszczyłam brwi, otworzyłam drzwi wejściowe i sprawdziłam, czy nie ma go na zewnątrz.

Październikowy dzień był nadal niezwykle ciepły i słoneczny. Przypomniało mi się, że kiedy wchodziłam do budynku, oferujący swoje usługi parasolnik pukał do kolejnego domu po tej samej stronie ulicy. Teraz najwyraźniej znalazł klienta w budynku sąsiadującym z moim. Rozkładał właśnie składany stołeczek na chodniku, by zająć się nowym zleceniem. Jak wielu parających się pokrewnym zajęciem (ostrzycieli noży, ćwieczkarzy) pracował na zewnątrz w nadziei, że zwróci na siebie uwagę i zachęci potencjalnych klientów. Część majstrów łączyła swoją pracę z popisami aktorskimi, więc wokół stołeczka parasolnika zaczęła się już gromadzić grupka ciekawskich.

Wśród nich, o zgrozo, był mój chłopiec na posyłki.

– Joddy! – zawołałam władczym tonem.

Kiedy mały grzesznik ruszył biegiem do domu swoich chlebobawców, parasolnik wbił we mnie na chwilę przenikliwe spojrzenie szarych oczu.

– Słucham, panno 'Olmes? – spytał zdyszany i potulny jak baranek Joddy, wiedząc dobrze, że należy mu się bura za zaniedbywanie obowiązków. Ale niepotrzebnie się jej obawiał, ponieważ miałam do niego pilniejszą sprawę.

– Joddy, czy ten parasolnik pukał i do naszych drzwi?

– Nie, proszę pani.

No tak, przecież mogłam wierzyć własnym uszom. Kiedy przebywałam w gabinecie, z pewnością usłyszałabym, że ktoś się dobija do drzwi. A to oznaczało, że spec od deszczochronów z nieznanymi przyczyn pominął na swej drodze bardzo obiecującą kamienicę z licznymi lokatorami, gdzie z pewnością znalazłby się jakiś niesprawny parasol. Dlaczego poszedł dalej, kierując się od razu pod sąsiedni adres?

Przyszło mi do głowy ewidentnie niedorzeczne przypuszczenie, które próbowałam odegnąć. Gdybym w nie uwierzyła i zaczęła działać, zrobiłabym z siebie widowisko, a może nawet okryła śmiesznością. Przyzwoitość zakazywała wręcz...

„Bzdura, Enolu. Grasz na zwłokę”.

Tak, niestety taka była prawda. Dlatego też musiałam podnieść wysoko głowę, wyprostować plecy i udać się tam...

Ale zaraz. Czy nie zabawniej będzie wyjść z kokieteryjnym uśmiechem, pokręcić w dłoni nieistniejącą parasolką i podjąć wyzwanie?

I tak właśnie zrobiłam. Przyszykowałam pełny arsenał dziewczęcego wdzięku i ruszyłam do boju, zanim zdążył mnie opuścić duch przekory. Podeszłam do parasolnika i zaczęłam się przyglądać, jak wymienia połamane druty na nowe. Nie było to łatwe zadanie, bo wciskanie sprężynujących prętów na miejsce wymagało użycia nie lada siły. Zmagający się z nimi siwobrody mężczyzna nawet na mnie nie spojrział, tylko warknął z irytacją:

– Nie mata, ludziska, niczego lepszego do roboty?

Pozostali gapie rozpięchnęli się jak niepyszni i każdy poszedł w swoją stronę, udając, że w ogóle go to nie interesowało. Ja jednak nie ruszyłam się z miejsca. Stałam o krok od parasolnika. Mocował się z drutami, które w żaden sposób nie chciały wskoczyć na miejsce, co by wyjaśniało (choć nie usprawiedliwiało), jego opryskliwość. Ale czy aby nie było to związane z brakiem wprawy? Zauważyłam też, że długa biała broda przeszkadza mu w pracy. Czemu nie zadbał, by ją przystrzyć? I dlaczego jego płaski kapelusz wciśnięty na czubek oprószonej siwizną głowy nie zmieniał pozycji i ani razu się nie przekrzywił mimo gwałtownych ruchów, które wykonywał jego właściciel?

Odczekałam, aż upora się z ostatnim z ośmiu narowistych prętów, i dopiero wtedy się odezwałam.

– Gdybyś parał się takimi naprawami na co dzień – zauważyłam – dorobiłbyś się zrogowaceń na dłoniach, ale widzę, że opuszki twoich palców są zaognione i tworzą się na nich bąble. Zdaje się, że jeden z nich zaczyna nawet krwawić, Sherlocku.

Brat wciąż zanosił się serdecznym, bezgłośnym śmiechem, kiedy zaoferowałam mu poczęstunek na podreperowanie nadwątlonych sił. Chętnie przyjął zaproszenie i znalazłszy się w coraz bardziej mu

znajomym wnętrzu, ściągnął z głowy perukę (do której – jak zdażyłam się już przedtem domyślić – doczepiony był na stałe kapelusik z płaskim denkiem) i odkleił brodę, po czym wręczył oba przedmioty Joddy’emu równie bezceremonialnie jak przedtem cylinder, laskę i rękawiczki.

Nie bacząc na zdumioną minę chłopca, powiedziałam:

– Bądź łaskaw przynieść nam trochę lemoniady i wafelków waniliowych czy co tam pani Bailey ma na zbyciu, Joddy. – Zniknął bez słowa, a Sherlock i ja rozsiedliśmy się wygodnie w ustawionych naprzeciwko siebie fotelach. Spytałam prosto z mostu: – Czyżbyś postanowił mnie szpiegować w nadziei, że w ten sposób odszukasz lady Cecily?

– Nie wydało mi się to aż tak nieprawdopodobne. – Jak na sportsmena przystało, przyjął porażkę z godnością i starał się obrócić sytuację na swoją korzyść. Sytuację dość zaskakującą, w której odniosłam niewielkie, bo niewielkie, ale zwycięstwo nad wybitnym i sławnym bratem. I z miejsca uznałam, że powinnam wykorzystać tę przewagę dla dobra Cecily.

Pochyliłam się w jego stronę, patrząc mu prosto w oczy i porzucając wszelkie podobieństwo do rumieniącego się ze wstydu, wdzięczącego się i rozemocjonowanego dziewczątka.

– Sherlocku, chciałabym ci zadać kilka pytań i jeśli uczciwie mi na nie odpowiesz, zrewanżuję ci się podobną szczerością.

Jego brwi poszybowwały w górę.

– Pragniesz porozmawiać ze mną jak mężczyzna z mężczyzną, że użyję tego zwrotu

– Nie inaczej, a zwrot jest ze wszech miar dobrze użyty.

– Pozostaję zatem do twoich usług. – Ani się nie uśmiechnął, ani nie zmarszczył brwi, tylko rozparł się wygodnie w fotelu, zetknął ze sobą czubki palców i zamknął oczy. Trochę to dziwnie wyglądało, ale z tego, co wyczytałam z relacji doktora Watsona, była to poza świadcząca o tym, że Sherlock słucha rozmówcy z najwyższym zainteresowaniem.

– Przed rokiem, kiedy chcieliście mnie wysłać na pensję dla panien – zaczęłam – Mycroft oznajmił mi, że ma nade mną pełną władzę. W razie nieposłuszeństwa ma prawo zamknąć mnie pod kluczem i podjąć inne działania, które zmuszą mnie do uległości. Zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

– Jeśli chodzi o istniejące prawo, to Mycroft ma rację – odpowiedział mi, nie otwierając oczu.

– Ale czy ty się z nim zgadzasz? Czy sam podjąłbyś takie kroki?

Spojrzał na mnie, po czym odpowiedział z lekkim ociąganiem:

– Nie. Przyznam, że w pewnych okolicznościach prawo bywa wadliwe.

– I czy to jest właśnie powód, dla którego prowadzisz niezależną, prywatną działalność, zamiast wiązać się przysięgą ze Scotland Yardem? Żeby nie być zobligowanym do ślepego przestrzegania prawa? Sherlock wyprostował się w fotelu i zeszywniał.

– Enolu!

– Jak mężczyzna z mężczyzną – przypomniałam mu.

– Ale ty przecież nie jesteś mężczyzną. Jak mogłaś się tego domyślić?

– Uznam, że odpowiedź brzmi „tak”. A teraz kolejne pytanie: Czy czujesz się zobligowany do zajęcia się każdą sprawą, z którą ktoś się do ciebie zwróci?

– Oczywiście, że nie. Nie oferuję swoich usług w przypadkach, które nie budzą we mnie zainteresowania albo nie są wyzwaniem dla mojego talentu dedukcyjnego. – Na przykład w sprawach dotyczących osób zaginionych. Wiedziałam, że zazwyczaj nie zawracał sobie nimi głowy. Ale nie powiedziałam tego głośno. Jeszcze nie. – Bywa też i tak – ciągnął Sherlock, wpadając w swój ulubiony mentorski ton – że potencjalny klient nie budzi mojej sympatii. Są sprawy, które dla dobra wszystkich powinny pozostać nierozwiązane.

I tak dotarliśmy do kluczowego dla mnie pytania:

– Dlaczego więc zgodziłeś się pomóc sir Eustace’owi w ustaleniu miejsca pobytu lady Cecily Alistair?

Brwi ułożyły mu się w kształt litery V, co oznaczało, że nieco przeszarżowałam, ale na moje szczęście w tej samej chwili do pokoju wbiegł Joddy.

– Pani Bailey pyta, czy zimne mleko i ciasteczka imbirowe zadowolnią państwa apetyt, panno ’Olmes – wyrzucił z siebie szybko, jakby w obawie, że zapomni, co kazano mu powiedzieć.

– Wielkie nieba – westchnęłam, ponieważ mleko z ciasteczkami podawano małym dzieciom. Sherlock zachichotał. Spojrzałam na niego.

– Zadowolą nas w zupełności, drogi chłopcze – powiedział, odprawiając chłopaka gestem dłoni. – Nie jadłem tych delicji, odkąd przestałem nosić krótkie spodenki – wyjaśnił mi.

– No to pięknie, Sherlocku, ale muszę ci o czymś powiedzieć, zanim znów coś rozproszy naszą

uwagę. Tamtej nocy, kiedy udałam się pod dom Alistairów z łukiem, strzałami i sznurkiem...

– Aha! – zawołał, przybierając pozę walczącego koguta. – Od razu się domyśliłem, że to ty!

– Błagam, wysłuchaj mnie do końca, inaczej nie doczekasz się ciasteczek i mleka. Tamtej nocy usiłowałam trafić strzałą z uwiązany do niej sznurkiem w otwarte okno lady Cecily, by uwięziona miała na czym wciągnąć linę, po której zamierzałam wspiąć się na górę celem ustalenia, czy nie potrzebuje pomocy. Drogi bracie, pamiętaj, proszę, że ta młoda dama nie ma w sobie nic z chłopczycy w przeciwieństwie do mnie. Dlatego nawet w najśmielszych fantazjach nie przypuszczałam, że spuści się po linie, i to do tego boso, w samej koszuli nocnej...

– Boso? – przerwał mi brat.

– I to szybko, i zwinnie...

– W koszuli nocnej?

– Czyżby nie podano ci tych szczegółów? Poznaję po minie, że nie. Czy nikt cię nie poinformował, że lady Cecily była przetrzymywana pod kluczem, a przedtem odebrano jej wszystkie ubrania i przedmioty osobiste?

Sherlock uznał, że czas przejść do ofensywy (albo zastosować unik).

– Zdaje się, że nadeszła moja pora na zadawanie pytań.

Kusiło mnie bardzo, żeby oprzeć się wygodnie, zamknąć oczy i zetknąć ze sobą opuszki palców, ale zabrakło mi odwagi. Nie powtórzyłam też słów: „Pozostaję do twoich usług”. Pokiwałam tylko głową.

– Co zrobiłaś później? – spytał.

– Udało mi się przemycić lady Cecily tutaj. W pewnej chwili byłam zmuszona nieść ją na plecach. Ale oszczędzę ci szczegółów.

– Nie życzę sobie, by mi czegokolwiek oszczędzano.

– Mimo to zostanie ci to oszczędzone. Dodam tylko, że następnego ranka, w chwili, w której się tu zjawiłeś, lady Cecily nadal przebywała w tamtym pomieszczeniu – przechyliłam głowę w stronę drzwi gabinetu – siedząc na sofie i mocząc obolałe stopy, które ucierpiały w kontakcie z brukiem. – Wiem, wiem, że zanim wpadł tu Sherlock, zdążyła się już położyć, ale uznałam, że wymogi skromności i strategia budowania dramatyizmu nakazują mi to przemilczeć. Nie spodziewałam się go zaskoczyć i rzeczywiście nie zdradzał oznak zdumienia. Łaskawy czytelnik zechce zrozumieć, że udzielając bratu takich informacji, miałam w zanadru pewien plan. Nim jednak zdołałam podjąć wątek, do gabinetu wkroczył Joddy z tacą, by poczęstować nas mlekiem i ciasteczkami imbirowymi.

Ciasteczka te serwowano z mlekiem nie bez powodu.

– Nie krępuj się, tylko zamaczaj – powiedziała bratu i zanurzyła swoje ciastko w białym płynie, by zmiękło i w ogóle dało się ugryźć.

Sherlock posłuchał mojej rady, mówiąc:

– Enolu, zadawanie się z tobą nader często zmusza człowieka do całkowitego lekceważenia norm towarzyskich.

Przestrzeżenie wymogów etykiety było najmniejszym z moich zmartwień, wróciłam więc do tematu.

– Jeśli pragniesz pomóc lady Cecily, powinieneś poznać pewną jej bardzo osobliwą cechę. Posłużę się przykładem. Kiedy za moją sprawą wymykała się z rodzinnego domu, wykazała się podziwu godną przytomnością umysłu i konsekwencją w dążeniu do celu. Jednak kilka godzin później, znalazłszy się w tym domu, ni stąd, ni zowąd stała się kompletnie bezwolna i bezbronna. Już wcześniej miałam okazję zaobserwować u niej takie popadanie w skrajności. – Na razie wolałam nie tłumaczyć bratu, że lady Cecily urodziła się leworęczna, a przymuszanie jej do używania prawej ręki doprowadziło do powstania trwałych zmian w jej psychice, zdawałam sobie bowiem sprawę, że Sherlock ma raczej ograniczoną wiedzę o tego typu zjawiskach. – Lady Cecily cierpi na rozdwojenie jaźni, Sherlocku.

– Nonsens – powiedział szybko, nie zaszczyciwszy tego, co powiedziałam, choćby cieniem zainteresowania. – Chyba każda kobieta reaguje w równie nieprzewidywalny sposób.

– Ktoś mógłby pomyśleć, że tak wielki orędownik logicznego myślenia jak ty powstrzyma się od głosu tego typu niczym niepopartych uogólnień. Czy przypadkiem nie wynika to z faktu, że nie potrafisz zrozumieć kobiet?

– *Argumentum ad hominem.*

Przewróciłam oczami.

– Lady Cecily reaguje na świat zupełnie inaczej niż większość ludzi, czy to płci żeńskiej, czy męskiej. Do tego stopnia, że kiedy tu poprzednim razem wszedłeś, czułam... ba, wiedziałam, że nasza roz-

mowa będzie dla niej wystarczającym ostrzeżeniem, i liczyłam na to, że ukryje się w sekretnym pokoiku, choć jednocześnie się obawiałam, że zastaniesz ją skuloną jak głupią gąskę na sofie.

Chociaż wciąż pochłaniał ciasteczka imbirowe z wyraźną lubością, zmarszczył nieco brwi.

– A gdzie wówczas była? A może ważniejszym pytaniem będzie: gdzie jest teraz?

– Nie mam pojęcia. Przebrała się w moje ubrania i wyszła sekretnymi drzwiami...

– Sekretnymi drzwiami?

– To jedyna możliwość, ponieważ do skrytki prowadzi tylko jedno wejście.

– Jakie znów sekretne drzwi? Gdzie?

Trywialne, impertynenckie, irytujące pytania. Zbyłam je machnięciem ręki.

– W tej chwili powinieneś raczej dociekać, gdzie jest lady Cecily. Ponieważ to, dokąd się udała, opuściwszy ten budynek, pozostaje dla mnie tajemnicą. Sherlocku, boję się o jej bezpieczeństwo. Chciałabym połączyć z tobą siły i ustalić, gdzie teraz przebywa. Muszę ci jednak postawić jeden warunek: nie wolno nam dopuścić do tego, by wróciła do domu despotycznego ojca.

Brat odstawił szklankę z takim impetem, że mleko chlusnęło na tacę.

– Co za nedorzeczność! Enolu, to zastrzeżenie jest śmieszne i zakrawa na anarchię. Jak możesz się spodziewać, że będę...

Przerwał, bo nagle do drzwi frontowych ktoś bardzo energicznie zapukał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kto, u licha? – spytałam, a potem oboje czekaliśmy w pełnej napięcia ciszy, aż Joddy otworzy drzwi.

– Wiadomość dla panny Enoli Holmes – odezwał się z flegmą jakiś męski głos.

Natychmiast zawołałam:

– Tutaj!

Do gabinetu wszedł umundurowany posłaniec z zatkniętą pod pachą czapką w wojskowym stylu. Wręczył mi złożoną kartkę zaadresowaną dobrze mi znanym, drobnym, prostym i kragłym pismem. Wpadłam w lekki popłoch: patrzyłam na starannie kaligrafowane litery skreślone przez praworęczną Cecylę.

Mój brat w bardzo nietaktowny sposób (bądź co bądź był w moim domu tylko gościem) spytał posłańca:

– Czy młoda dama czeka na odpowiedź? – Byłam przekonana, że usłyszawszy „tak”, natychmiast podjąłby próbę przechwycenia zaginionej.

Umysłny spoznał na niego niewidzącym wzrokiem, po czym zwrócił się do mnie i udzielił dyplomatycznej odpowiedzi:

– Panno Holmes, nadawczyni przekazała, że będzie w kontakcie. – Skłonił się, obrócił na pięcie i wyszedł.

– Będziesz łaskaw chwileczkę zaczekać? – powiedziałam do Sherlocka i podeszłam do jednego z okien, udając, że zależy mi na lepszym oświetleniu, w rzeczywistości zaś pragnęłam zaznajomić się z treścią listu z dala od ciekawskich oczu brata. Brzmiała, jak następuje:

Najdroższa Enolu,

doszły mnie słuchy, że moja droga matka, złożona gorączką mózgową, jest bliska śmierci. Z pewnością rozumiesz, że odchodzę od zmysłów z niepokojem, choć równocześnie targają mną wątpliwości, czy nie rozpuszczono takiej pogłoski, by zwabić mnie podstępnie do domu. Czy byłabyś tak dobra i spróbowała ustalić, jak się sprawy mają?

Dozgonnie Ci wdzięczna

Cecily

– Co się stało? – spytał Sherlock. Zdaje się, że z mojej miny wywnioskował, iż także i mną targają wątpliwości albo że odchodzę od zmysłów.

– Sherlocku, kiedy widziałeś lady Theodorę po raz ostatni? – spytałam nienaturalnie podniesionym głosem.

– W ogóle z nią się nie spotkałem, dostałem jedynie bilecik z błaganem, bym jak najszybciej odszukał Cecylę i przekazał z powrotem pod jej skrzydła. – Najwyraźniej dostrzegł, że mimowolnie ściągnęłam brwi, ponieważ kontynuował nieco cieplejszym tonem: – To wyłącznie twoja zasługa, że w obu poprzednich przypadkach zdołałem doprowadzić zaginioną do domu, i dzięki tobie matka Cecylę przypisuje mi dziś nadludzką moc sprawczą. I choć mam obecnie na głowie sprawę, w którą zamieszane są koronowane głowy, zubożała rozwódka i różowy pudel, nie mogłem zlekceważyć prośby lady Theodory.

– Ale nie udałeś się do niej osobiście?

– Powiedziano mi, że jest niedysponowana.

– A jednak wysłała ci wiadomość pocztą?

– Nie, dostarczyła mi ją służąca.

– Starsza i budząca zaufanie pokojówka?

– Tak. – Zerknął na mnie podejrzliwie. – Jak to wydedukowałaś?

– Bo tylko przez kogoś takiego mogła się z tobą skontaktować. Myślę, że jej mąż więzi ją w domu podobnie jak przedtem Cecylę. – Podeszłam do niego i wręczyłam mu liścik. – Teraz mamy dwa kłopoty – oznajmiłam, kiedy przebiegał wzrokiem jego treść. – Pierwszy: jak naprawdę przedstawia się sytuacja lady Theodory? I drugi: co zrobimy w sprawie Cecylę, która nieszczęśliwie porzuciła swoją kompetentną leworęczną osobowość, zamieniając się w praworęczną dziewczycę w opresji?

– Co ty, w imię bogów poczytalności, wygadujesz? – spytał Sherlock.

– Słowo „poczytalność” jest akurat w tym wypadku nader trafne. Kiedy jest poczytalna, komunikuje się ze mną w ten oto sposób. – Wyciągnęłam zza gorsu kartkę z ostatnią szyfrowaną wiadomością od

Cecily i podałam ją bratu.

Zerknął na znaki i stwierdził:

– Ależ to jest dziecinada. Najprostszy z możliwych... – Zaczął się przypatrywać uważniej i zmienił zdanie, kiedy się okazało, że treści nie da się od razu odczytać. – Co to ma być?

– Wiadomość od leworęcznej lady, która ma w sobie wielką siłę ducha pozwalającą jej podjąć działanie, podczas gdy tekst, z którym się przed chwilą zapoznałeś, jest uroczym i szablonowym liścikiem praworęcznej dziewczyny przytłoczonej wymogami etykiety.

– Nic nie rozumiem.

– Tak się składa, mój drogi braciszku, że w tej chwili nie ma potrzeby, byś cokolwiek rozumiał. Natomiast ja mam teraz pilniejszą sprawę do załatwienia, więc muszę się z tobą pożegnać. – Podeszłam do dzwonka i szarpnęłam za sznurek, by ponownie wezwać Joddy'ego i prosić go o przyniesienie mi wierzchniego okrycia, rękawiczek i całej reszty. – Nie wątpię, że pragniesz tu pozostać na wypadek, gdyby jednak jakimś cudem lady Cecily zdecydowała się wrócić, albo myślisz o postawieniu na czatach swojej Ferajny z Baker Street. Nie mam nic przeciwko temu. – Do gabinetu wszedł właśnie mój młodociany służący. – Joddy, wychodzę na miasto, przynieś mi wszystko, co trzeba.

Sherlock podniósł głos:

– Enolu, dokąd się wybierasz?!

– Idę zająć się swoimi sprawami, licząc na to, że sam zajmiesz się własnymi. Gdybyś znów zapragnął się ze mną spotkać, proszę cię, nie oczekuj, że mnie tu zastaniesz. Ale jeśli zostawisz mi wiadomość w klubie, z pewnością do mnie dotrze. *Au revoir.*

Otworzył usta, ale nie padły z nich żadne słowa, a ja zachowałam się tak, jakbym nie spodziewała się czegokolwiek usłyszeć. Zaopatrzona we wszystkie niezbędne damie akcesoria zniknęłam za drzwiami.

Prawda była taka, że nie mogłam podjąć żadnych działań w sprawie lady Theodory przed nastaniem nocy. Chciałam jednak pozostawić Sherlocka w przekonaniu, że nad wszystkim doskonale panuję. Pragnęłam także, by uwierzył w to, że Cecily nie wróci więcej do posiadłości doktora Ragostina, dając mu do zrozumienia, że umawiam się z nią w zupełnie innym miejscu.

Gdybyż tak było!

Wróciłam do Klubu dla Pań w nastroju niepewności. Cisnęłam cały swój babski ekwipunek na łóżko, zamiast porządnie wszystko odłożyć, a botki ściągnęłam z taką siłą, że oderwało się pięć guziczków. Na myśl o tym, że będę musiała przyszyć te małe cholerstwa z powrotem, omal nie powiedziałam głośno czegoś, co nie powinno kalać ust damy, wbiłam palce we włosy (rujnując swoją fryzurę), usiadłam na otomanie, podciągnęłam nogi i zajęłam się porządkowaniem myśli.

Jak zawsze polegało to na sporządzeniu listy:

Mam pamiętać, że Cecily nie jest łobuzicą jak ja.

Nie potrafi biegać równie szybko jak ja ani równie skutecznie się bronić.

Niemal z całą pewnością nie nosi przy sobie ukrytego w gorsecie sztyletu.

Jest mniejsza i drobniejsza ode mnie.

Ubrania, które sobie ode mnie pożyczyła, są na nią za duże i sprawią, że będzie wyglądać jak uboga krewna, arystokratka dotknięta biedą.

Szuka zajęcia, które pozwoliłoby jej się utrzymać. Ale co może robić?

Z całą pewnością nie będzie harować po szesnaście godzin dziennie w przędzalni bawełny czy fabryce zapalek. Przed „dziewczyną pracującą” wywodzącą się wyższych sfer otwierało się bardzo niewiele możliwości. Byłam pewna, że Cecily nie uczyła się nigdy pisać na maszynie, nie mogła zatem zostać ani pomocą biurową, ani zecerką. Być może nadawałaby się na telegrafistkę lub pracownicę centrali telefonicznej, jednak wakatów w tych nowych zawodach było niewiele, a konkurencja ogromna. Mogłaby spróbować szczęścia jako urzędniczka na poczcie albo ekspedientka w domu towarowym, ale wymagałoby to czasu, ponieważ musiałyby się najpierw wystrząść o elegancki strój w idealnie dobranym rozmiarze. Niania, guwernantka... podobne trudności, jeśli chodzi o ubiór, a co gorsza, ryzyko rozpoznania przez kogoś, kto znał ją przedtem jako córkę sir Eustace'a.

Jej perspektywy są nieciekawe. Czy uda jej się przetrwać bez wsparcia rodziny?

Mnie się wprawdzie udało, ale tylko dlatego, że matka zadbała o przekazanie mi okazałych kwot gotówki.

A jej rozdwojenie jaźni?

No tak. Niestety. Zachodzi obawa, że Cecily skończy na ulicy jako bezdomna żebraczka, pozabawiona przyjaciół pensjonariuszka zakładu dla obłąkanych, a może nawet gorzej...

Muszę ją odnaleźć. Ale przecież nie oddam jej z powrotem pod kuratelę sir Eustace'a.

Podsumowując, sytuacja wydawała się beznadziejna, jednak starałam się nie popadać w rozpacz.

„Enolu, myśl”.

Logiczne rozumowanie pomogło ludziom znaleźć wyjście z o wiele bardziej najeżonych trudnościami sytuacji.

Przesłanka: sir Eustace postanowił zdecydować o losie lady Cecily wedle własnego uznania i miał po temu wszelkie prawa.

Prawda czy fałsz?

Niestety, prawda.

Czy było jakieś wyjście? Gdyby tylko lady Cecily nie miała tak kruchej, delikatnej i rozdwojonej jaźni, gdyby tylko była silniejsza...

„Enolu, z dnia na dzień nie zrobisz z niej innej osoby”.

O rozpaczy, o zgrozo, o smutku, to przegrana sprawa.

„Enolu, myśl!”.

Myśl, myśl, myśl... Czulałam, że muszę zmierzyć się z tym problemem, próbując go ugryźć z zupełnie innej strony, tylko z jakiej?

„Przestań żałować, że Cecily nie jest dość silna. Zamiast tego zastanów się, jak osłabić jej ojca”.

Zelektryzowała mnie ta nowa koncepcja. Jak rażona piorunem wyprostowałam się nagle, chwyciłam kartki, na których gryzmoliłam, zgmiotłam je w kulkę, wrzuciłam do kosza i podniosłam zaciśniętą pięść.

Przenieś walkę na terytorium wroga. Tak! Osłab pozycję sir Eustace'a. Tak! Tak!!!

Ale jak to zrobić?

Ręce mi opadły. Nie miałam pojęcia. No bo jak to można osiągnąć?

Podniosłam się z otomany i kilkakrotnie okrążyłam pokój, starając się odzyskać jasność umysłu. W tym celu wykonałam kilka ćwiczeń gimnastycznych, takich jak wymachy ramion czy rozciąganie mięśni szyi i barków. Podskoczyłam kilka razy w miejscu, a na koniec ochlapałam sobie twarz zimną wodą z umywalni. Potem stanęłam w oknie, patrząc na coraz bardziej zachmurzone i ponure niebo. Pal sześć pogodę! Nie zwracaj na to uwagi. Zamruczałam cicho:

– Mózgu, czyn swoją powinność. – Przemawiałam na głos, apelowałam żałośnie do organu kryjącego się pod moją dolichocefaliczną czaszką, równie szarego jak niebo za szybą. – Bzdury, nonsens! Myśl! – przywołałam się do porządku, nakierowując umysł niczym teleskop na kwestię sir Eustace'a Alastaira.

Mijały kolejne chwile i powoli zaczęłam odzyskiwać zdolność koncentracji. Przyszło mi do głowy, że gburowaty baronet obarczony jakże licznymi wadami – podłość, przerost ambicji, tchórzostwo, ociężałość umysłowa – z całą pewnością dopuścił się w życiu czynów, których nie życzyłby sobie wywlekać na światło dzienne.

Oczywiście.

Może oszukiwał podczas gry w karty albo nie spłacał honorowych długów.

Może bawił się w towarzystwie frywolnych pań z teatru. Może uwodził młode służące.

Ma porywcze usposobienie. Może podniósł rękę na kogoś ze służby albo na bezbronną kobietę?

Może za młodu prowadził hulaszczy tryb życia. Może zbyt często sobie folgował, pijąc mocne trunki albo robiąc coś jeszcze gorszego... Może był stałym gościem palarni opium?!

A może w jego rodzinie zdarzyły się przypadki choroby umysłowej, może trzyma gdzieś na strychu dotkniętą obłędem ciotkę.

A może...

A może to, a może tamto, a może i jeszcze co innego, tylko jak zdobyć na ten temat informacje?

Hm...

– Cóż za urocza suknia – powitała mnie lady Vienna Steadwell, kiedy obuta w domowe pantofle z żółtego jedwabiu idealnie współgrające z wyhaftowanymi na staniku sukni słonecznikami rozsiadłam się naprzeciwko niej w jednym z wiklinowych foteli w salonie dziennym. – Czyż to nie wspaniałe, że w modzie wreszcie zapanował kult pionu?

– Właśnie! – I obie parsknęłyśmy śmiechem. W lot pojęłam, o co jej chodzi. Podobnie jak ona byłam wysoka i szczupła, a co za tym idzie pozbawiona krzywizn i wypukłości. To, że po kilku dekadach moda na talię osy i figurę klepsydry odchodziła w niebyt, było dla nas obu błogosławieństwem.

– Też mnie kusi, żeby sprawić sobie suknię z wdzięczną spódnicą z klinów – powiedziała w zamysleniu – chociaż nigdy nie starałam się śledzić ostatnich trendów w modzie. I w żadnej innej dziedzinie.

– Coś takiego? – zachnęłam się z udawanym oburzeniem. – Nie zażywała pani porannych przejażdżek w złoconej kaleszy zaprzężonej w dwa identyczne jabłkowite konie?

Skwitowała to śmiechem, a następnie ucięłyśmy sobie przemiłą i pełną złośliwości pogawędkę o słabostkach londyńskiej śmietanki towarzyskiej, o dżentelmenach paradyjących w importowanych świeżo z Francji marynarkach, w których zapinali tylko jeden, górny guzik, i o damach, których suknie zdobiły coraz mocniej rozdęte bufy na rękawach. Chciałam umiejętnie pokierować rozmową, by napomknąć o sir Eustasie Alistairze. Jeśli dopuścił się kiedykolwiek czegoś niegodnego, co mogłoby mu zepsuć reputację w towarzystwie, to kto jak kto, ale obdarzona bystrym umysłem i licznymi koneksjami lady Vienna powinna o tym wiedzieć. Jednak zwierzenie się jej z moich obaw dotyczących lady Cecily, a próba pociągnięcia jej za język w sprawie domniemanych występków sir Eustace'a to dwie zupełnie różne sprawy.

– ...głupiutkie młode dziewczęta – mówiła – które nie mogą się obyć bez nowinek opisywanych w żurnalach mód, nie licząc się z tym, że ich matkom przyjdzie potem zaciskać pasa, by zapłacić za ich fanaberie.

– Lady Cecily trudno nazwać głupiutką – zaprotestowałam. – Owszem, ubiera się modnie, podobnie jak jej liczne siostry i matka. Uważam, że lady Theodora Alistair jest znakomitą organizatorką, skoro umie tak dobrze zadbać o zachowanie pozorów.

– Pozorów. Otóż to. – Lady Vienna pochyliła się w moją stronę, mówiąc z drapieżną lubością w głosie. – Sir Eustace to typ zatwardziałego karierowicza i postawił sobie za punkt honoru dorównać, a nawet prześcignąć swoje siostry we wszystkich ich ekstrawagancjach. I on, i lady Theodora żyją ponad stan i tak było zawsze.

– Jakim więc cudem jeszcze nie są bankrutami?

Lady Vienna, uświadomiwszy sobie nagle, że za chwilę może skalać się plotkarstwem, wcisnęła plecy w wiklinowe oparcie i rzekła wymijająco:

– Doprawdy nie mam pojęcia.

Lecz coś w jej tonie i postawie kazało mi uznać, że jednak ma pojęcie, i to bardzo dobre. Spojrzałam na nią wzrokiem pełnym powagi.

– Lady Vienno, przypominam sobie rozmowę dotyczącą strzały posłanej w derrière wicehrabiny Inglethorpe... Czy też może chodziło o baronową Merganser? Padła wówczas uwaga, że to bardzo do sir Eustace'a podobne. Chciałabym wiedzieć coś więcej na temat podobnych jego wybryków, ale proszę nie myśleć, że kieruje mną plotkarska ciekawość.

Przyglądając mi się z powagą równą mojej własnej, spytała:

– A co panią kieruje?

– Chcę stworzyć jego córce i żonie możliwość obrony przed dalszymi próbami ich tyranizowania.

Otworzyła szerzej swoje seledynowe oczy.

– Czy zna pani miejsce pobytu lady Cecily?

– Nie – odpowiedziałam, kwitując to minką, która, mam nadzieję, powinna być enigmatycznym uśmiechem.

Piękne oczy lady Vienny pojaśniały nagle. Pochyliła się konfidencjonalnie w moją stronę i zniżając głos, powiedziała:

– Słyszałam, że ze schowka na sprzęt Buduaru Kultury Fizycznej zniknęły w tajemniczy sposób łuk i kilka strzał. – Zbyłam to milczeniem i wzruszeniem ramion. – Coś takiego... – W jej oczach zabłyśły iskierki, a wargi wygięły się w uśmiechu, z którym daremnie próbowała walczyć. – Powinam być ogromnie zgorzonna. – Ponownie wtuliła plecy w wymoszczone poduszkami oparcie. Przez chwilę patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, zatopiona w myślach. A potem znów skierowała na mnie swoje niezwykle zielonkawe oczy. – Dobrze, kochanie, opowiem tyle, ile będę mogła, ponieważ bardzo mi się podoba pani charakter. Muszę jednak ostrzec, iż mam pani do zaoferowania jedynie pogłoski, plotki i domysły, więc obawiam się, że mogą się okazać nieprzydatne w osiągnięciu zamierzonego celu. Trzeba będzie zdobyć dowody.

Kiwnąwszy głową na znak aprobaty, usiadłam wygodniej i nadstawiłam uszu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wysłuchałam wszystkiego z uwagą.

A później pożegnałam lady Viennę z podziękowaniami.

Zjadłszy późny lunch, przebrałam się w nierzucający się w oczy strój wyjściowy o tabaczkowej barwie (standardowy dla dystyngowanych mieszkańek Londynu) i spędziłam resztę dnia na mieście. Wybrałam się tramwajem na East End, odszukałam okolicę obfitującą w sklepy z odzieżą używaną, gdzie udało mi się skompletować wszystkie części srokatego uniformu pokojówki: czarną suknię, biały fartuch z falbankami, takiż kołnierzyk i mankiety, grube czarne pończochy i toporne czarne buciki z wielkimi kokardami z rypsowej wstążki. Oczywiście o wiele prościej byłoby nabyć gotowy zestaw w domu towarowym, ale gdybym się zjawiła w stroju jak spod igły, rozpoznano by we mnie szpiega, zanim zdołałabym przejść przez kuchnię, a moim planem było dotarcie aż do tylnej klatki schodowej rezydencji Alistairów i złożenie potajemnej wizyty lady Theodorze.

Zawsze twierdziłam, że ubiór pokojówki przywodzi na myśl srokatego konia z racji tego, iż składa się wyłącznie z czarnych i białych elementów. „A może raczej – pomyślałam, zmagając się ze wstążkami białego fartuszka, by zawiązać je pośrodku pleców w zgrabną kokardę – upodabnia ją do sroki jako takiej”. Kiedy przymocowałam już porządnie biały kołnierzyk i mankiety, zajęłam się przyszpilaniem białego czepeczka do zaczesanych w prosty koczek włosów. Same czarne i białe placki.

Hm. Placki...

Uzbrojona w prosty koszyk z przewieszonym przez rękę pałąkiem, zesłam do klubowej kuchni, gdzie podwędziłam formę do ciasta, po czym umieściłam ją w koszyku i przykryłam śnieżnobiałą ściereczką wyciągniętą z bieliźniarki.

Nabrałam w płuca powietrza, przywołałam w pamięci obraz mojej matki, powiedziałam: „Doskonale dasz sobie sama radę, Enolu” i ruszyłam na miasto.

Służba nie jeździ dorożkami. Mogłabym się wprawdzie zdać na mojego faworyta Harolda, zaufanego i dyskretnego woźnicę, jednak posłańcowi nie udało się go znaleźć. Musiałam zatem przemieszczać się *per pedes*. Pora była już późna. Być może w innych zakątkach Anglii muskałby mnie teraz przyjemny zefirek, tutaj jednak rozhulał się wiatr, i kiedy dotarłam wreszcie do odległego Mayfair, byłam już porządnie zziębnięta. Mimo to, zgodnie z założeniami, zjawiłam się w rezydencji Alistairów jeszcze przed nocą, w tej leniwej wieczornej godzinie, w której i panowie, i służba zaczynają dyskretnie ziewać i spoglądać ukradkiem na tarcze zegarów. Czyli w tej szczególnej porze, kiedy nikt nie grzeszy zbyt dużą czujnością czy jasnością umysłu. Na to przynajmniej liczyłam.

Byłam niespokojna. Na bocznej ścianie budynku zauważyłam światło za firankami z organzy wiszącymi w oknach apartamentu lady Theodory – doskonale wiedziałam, które zajmuje pokoje, dzięki temu, że podejmowała kiedyś w buduarze niejaką panią Ragostin. Mimo że mieściły się piętro niżej niż sypialnia Cecily, okna lady Theodory sprawiały wrażenie równie niedostępnych. Na ścianach pod ich parapetami nie dostrzegłam ani rynien, ani pnączy, które mogłyby ułatwić ewentualną wspinaczkę.

Ktoś poruszał się wewnątrz, rzucając cień na zasłony, co wywołało w moim umyśle i żołądku nieprzyjemne reakcje. Lady Theodora nie była sama. Ale do odważnych świat należy, słaby sercem rycerz nie zdobędzie pięknej damy i tak dalej. Naprzód, w górę, Excelsior!

Przeszłam na tył domu pod kuchenne wejście. Nie zaryglowano na noc drzwi, ponieważ nie wyniesiono jeszcze pomyj. Tuż przed wślizgnięciem się do środka skorygowałam swoją postawę. Przygarbiłam się, spuściłam głowę, wydełam policzki i nadałam twarzy nierozgarnięty wyraz. I dopiero wówczas, lękliwie jak szczur nawykły od urodzenia do tego, że w każdej chwili ktoś może w niego czymś rzucić, otworzyłam drzwi i weszłam.

Kucharka siedziała w bujanym fotelu obok pieca, z przechyloną na bok głową, chrapiąc głośno. Posługaczki pochylały się nad zlewami. I kiedy już tylko krok dzielił mnie od upragnionych schodów dla służby, zatrzymał mnie donośny męski głos:

– Ej, ty tam! Co tu robisz?

Kamerdyner wypatrzył mnie zza uchylonych drzwi spiżarni, w której polerował srebra. Podskoczyłam i spojrzałam na niego, przybierając pozę i minę skończonej oferty, ba, z kącika moich ust zaczęła nawet cieknąć ślina. Machnęłam koszykiem, wskazując dłonią na jego zawartość na dowód tego, że z czymś mnie tu przysłano, i czmychnęłam jak mysz na górę.

– Stój! – ryknął za mną kamerdyner. – Dokąd to panna leziesz? Czekaj no!

Oczywiście nie czekałam, tylko możliwie cicho wbiegłam po schodach, pokonując po dwa stopnie

naraz. Liczyłam na to, że przy odrobinie szczęścia zdołam dotrzeć do buduaru lady Theodory, zanim kamerdyner zarządzi pościg (bo pogoń za mną po schodach byłaby poniżej jego godności). Najważniejsze było teraz ustalenie stanu, w jakim znajduje się matka Cecily: czy istotnie, jak twierdzili plotkarze, leży na łożu śmierci, czy jest zdrowa jak rydz.

Parter, pierwsze piętro, drugie... wybiegłam na korytarz dla służby i nagle znalazłam się w lewo-ręcznym świetle, we wnętrzach będących lustrzanym odbiciem tego, co zapamiętałam. Wszystko na opak. Za którymi drzwiami kryła się lady Theodora?

„Enolu, myśl!”

Szybciutko przypomniałam sobie chwilę, w której – będąc panią Ragostin – szłam po reprezentacyjnych schodach, prowadzona przez służbistego kamerdynera. Skręciliśmy. Podeszliśmy do drzwi buduaru.

Tak, to chyba te. Podbiegłam do nich w nadziei, że dobrze je zapamiętałam. Zastukałam, a potem pokręciłam galką. Drzwi były zamknięte od wewnątrz na klucz, więc ponownie zapukałam.

– Kto tam? – odezwał się ze środka damski głos, sądząc po akcencie, należący do służącej.

Odpowiedziałam piskliwie:

– Placek à la Ragostin dla lady Alistair!

– Co? – Oczywiście, nie mogła wiedzieć, czym jest placek à la Ragostin. Ja też nie wiedziałam, ale nie miało to znaczenia. Usłyszałam zbliżające się kroki, zgrzyt klucza w zamku i po chwili drzwi uchyliły się odrobinę, ukazując dostojną, siwowłosą służącą. – A jakżeś ty się tutaj dostała?

– Ciasto à la Ragostin! – Nadałam głosowi rozedrgany, wysoki ton, by mieć pewność, że dotrze w głąb pomieszczenia.

Po chwili usłyszałam zdumione sapnięcie, potem głuchy odgłos spadającego na dywan drobnego przedmiotu i dobrze mi znany, cichy głos należący do lady Theodory:

– Wpuść ją!

W tej samej chwili na schodach zadudniły szybkie kroki.

Zamiast mnie wpuścić, służąca odwróciła się, by zaproponować:

– Proszę jaśnie pani, ale jeśli...

– Wpuść ją, Phyllis! Natychmiast! – Odgłos zbliżającej się pogoni nie pozwalał mi dłużej zwlekać. Naparłam całym ciężarem ciała na drzwi i wepchałam się do środka, z konieczności zderzając się ze służącą. Ta jednak zachowała i równowagę, i przytomność umysłu. Zatrzasnęła drzwi i przekręciwszy klucz w zamku, wrzuciła go do kieszeni.

W fikuśnie rzeźbionym japońskim foteliku, będącym idealnym dopełnieniem jej delikatnej urody, siedziała odziana w koronkową suknię domową lady Theodora. Wbiła we mnie szeroko otwarte ze zdumienia oczy i potrząsała z niedowierzaniem ufryzowaną i ozdobioną wstążkami głową. Ja także spoglądałam na nią z niemym zaskoczeniem. Mimo wymizerowanej i smutnej twarzy – czego można było się spodziewać po jej ostatnich perypetiach – z pewnością nie była chora, a tym bardziej śmiertelnie.

Rozległo się pukanie. Lady Theodora uniosła palec do ust, nakazując mi milczenie, natomiast wierna Phyllis ponownie wykazała się podziwu godną przytomnością umysłu. Przysunęła się do drzwi, po czym ziewnęła głośno i spytała zaspąnym głosem:

– Kto tam?

– Jenkins. Nie kręcił się tu ktoś obcy?

– Co takiego?

– Jakbyś widziała, tobyś nie pytała. Nieważne.

Phyllis odegrała swoją rolę po mistrzowsku.

– Ale o co chodzi?

– Mówię przeca, że nieważne! – I rozległy się odgłosy świadczące o tym, że Jenkins biegnie dalej.

Lady Theodora obdarzyła służącą uśmiechem pełnym wdzięczności, po czym spojrzała na mnie z filuternym błyskiem w oku i spytała:

– Moja droga pani Ragostin, jakież to smutne okoliczności zmusiły panią do podjęcia pracy służącej?

Ściągnęłam z włosów idiotyczny czepek i rzuciłam koszyk na podłogę. Podeszłam do pani domu.

– Tak się składa, że jestem przyjaciółką Cecily Enolą.

– A! – Żrenice jej przepięknych oczu rozszerzyły się z sympatią. – To by wiele wyjaśniało. – Uścisnęła oburącz moją wyciągniętą dłoń. – Jak się miewa Cecily?

– Dobrze, ale jest spragniona wieści o pani zdrowiu. – Lady Theodora wciąż trzymała mnie za rękę, kiedy zajęłam miejsce obok niej na przystawionym mi przez służącą krzeselku. – Doszły ją pogłoski

o pani ciężkiej chorobie.

Lady aż przewróciła lśnjącymi oczami.

– Kłamstwo, które puścił w obieg mój mąż w nadziei zwabienia jej z powrotem do domu. Z pewnością część służby dała się oszukać. Natomiast Phyllis i ja skutecznie oszukujemy jego. – Uśmiechnęła się do szacownej służącej stojącej na straży naszego bezpieczeństwa. Phyllis odwzajemniła jej się czułym, niemal matczynym uśmiechem. – Uważa, że uwięził mnie skutecznie w moich pokojach, zapomniawszy o czymś takim jak zapasowe klucze.

– To Phyllis przekazała mojemu bratu wiadomość od pani?

– Sherlockowi Holmesowi? Tak. Początkowo nie wiedziałam, co myśleć, Enolu, z przerażeniem stwierdziłam, że najwidoczniej ją uprowadzono. Teraz wiem, że wymknęła się z własnej woli, mimo to gorąco pragnę znów ją mieć przy sobie. Gdzie teraz przebywa?

Pytanie to sprawiło, że poczułam się okropnie, ponieważ nie miałam najmniejszego pojęcia o miejscu pobytu jej córki. Postanowiłam jednak blefować:

– Ma ubranie, jedzenie i dach nad głową. Kontaktuje się ze mną, a ja z nią. Ale droga lady Theodoro, nie może tu wrócić, póki będzie się pani godzić na tak haniebne traktowanie ze strony jej ojca.

Zesztywniała nagle i puściła moją dłoń.

– Godzić się? Godzić? – Spróbowała się zaśmiać, ale zabrzmiało to raczej jak brzęk tłuczonego szkła. – A co innego mogę zrobić? Próbowałam od niego odejść, jednak obarczona ósemką dzieci...

– Wiem, że brak pieniędzy zmusił panią do powrotu. Ale mam nadzieję, że uda mi się zapewnić paniom wolność innymi środkami.

– Jakimiż to, na Boga?

– Będąc żoną sir Eustace'a, z pewnością posiada pani wiedzę o niektórych jego ciemnych sprawach, które po wyjściu na światło dzienne doprowadziłyby do jego kompromitacji. – Tak przynajmniej twierdziła lady Vienna Steadwell. Jednak lady Theodora wybałuszyła oczy, uniosła wysoko brwi i wstała nagle, wyprężona i sztywna jak sztacheta z kutego żelaza, po czym szybkim ruchem zakryła dłońmi otwarte z przerażenia usta. Przez chwilę miałam wrażenie, że zacznie pisać, jakby zobaczyła szczura. Cały plan weźmie w łeb, jeśli nie przekonam tej dystyngowanej, arystokratycznej damy, by zwalczyła wrodzony wstręt do czegoś, co w jej słowniku funkcjonowało zapewne jako szantaż. – Lady Theodoro – odezwałam się, starając się nadać głosowi jak najłagodniejszy ton. – Cóż panią tak przeraża w wizji unieвозмоwienia sir Eustace'owi dalszego dręczenia pani i jej córki?

– Ale to go okryje hańbą i zniszczy! Może nawet wtrąci do więzienia!

Jej słowa były żywym dowodem na to, że powtórzone mi przez lady Viennę plotki nie miały się z prawdą: sir Eustace dopuścił się przestępstw, pozbywając się zwłok zmarłych służących.

Ponownie zrobiłam wszystko, by mówić miękko i cicho.

– No właśnie. I dlatego możemy go zmusić, by stał się rozsądny. Jednak chcąc zdobyć dowody, potrzebowałabym nazwisk ofiar...

– Nie mogłabym! – zawołała i zakryła twarz dłońmi, jakby miała się zaraz rozplakać.

Nie wróżyło to niczego dobrego, ale nagle do rozmowy wtrącił się trzeci głos.

– Był dla jasnie pani podłym mężem – stwierdziła pokojówka Phyllis. – A pani zasługuje na coś o wiele lepszego. – Po czym skierowała wzrok na mnie. – Pierwszy był Timothy Burke, lokaj. A potem pokojówka z góry: Imogen Saunders. A potem jeszcze stajenny Sims.

Wyciągnęłam z za stanika papier i ołówek, by zanotować nazwiska. Ale zanim zdążyłam zapisać pierwsze, za drzwiami rozległ się tubalny ryk. Nie ulegało wątpliwości, że w korytarzu pojawił się sir Eustace.

– Theodoro! – Jej ręce zatrzepotały jak konające motyle, a twarz pobladła jak kreda. Poderwałam się z miejsca, czując się niemal równie bezbronna, i zaczęłam się kręcić w kółko, by znaleźć miejsce, w którym mogłabym się ewentualnie ukryć. Jedyne Phyllis zachowała zimną krew, wrzucając mój idiotyczny koszyk za stojące w donicach rośliny i podnosząc upuszczony przeze mnie czepek. Za drzwiami rozległy się energiczne kroki. W głosie sir Eustace'a zabrzmiała groźba. – Theodoro!

Działając pod wpływem głupiego impulsu, wyszarpnęłam sztylet z ukrytej pod gorsetem pochwy. Phyllis natychmiast szepnęła przytomnie:

– Proszę to schować z powrotem. – A kiedy wykonałam jej polecenie, chwyciła mnie od tyłu za ramiona i popchnęła za róg ściany. – Dobrze, że jest pani chuda jak szczapa. Zjedzie pani zsympem na pranie.

– Theodoro! Odezwij się do mnie! – wrzasnął sir Eustace tuż za drzwiami.

Phyllis puściła mnie i odsunęła na bok wiszącą na ścianie ozdobną draperię, za którą ział ciemny

i wąski lej o tak mało zachęcającym wyglądzie, że przez chwilę się zawahałam.

Ale w tym samym momencie rozległo się chrobotanie klucza w zamku. Phyllis również je usłyszała i dała mi mocnego kuksańca między łopatki. Wsunęłam się głową naprzód w nieczystą czeluść, a służąca dodała jeszcze jednego kuksańca w dolną część moich pleców, instruując szeptem:

– Niech obciągnie stopy, skrzyżuje nogi w kostkach i nie narobi hałasu! – Chwilę później musiała zasunąć z powrotem kotarę, ponieważ nagle spowily mnie całkowite ciemności. Ale nie czułam się wcale bezpieczniejsza. Zaciśnęłam więc zęby, żeby nie krzyknąć, i z dużą prędkością zjechałam w dół.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Szpieg, Theodoro! W naszym domu jest szpieg! Kto to taki? – wrzasnął sir Eustace i były to ostatnie jego słowa, które tego wieczoru usłyszałam.

Zsyp zassał mnie i połknął jak gardziel blaszanego smoka. Przemknęłam przez nią lotem błyskawicy, co wprawiło moje ciało i umysł w stupor. Najwyraźniej do tej pory nie zwracałam należytej uwagi na osiągnięcia sir Isaaca Newtona w dziedzinie nauk przyrodniczych. Oczywiście nieraz miałam już okazję odczuć na własnym ciele działanie prawa powszechnego ciężenia (spadając z licznych drzew i murów), jednak jego skutki były o wiele bardziej dotkliwe i przerażające w ciemnych i ciasnych okowach zsypu na pranie. Całe szczęście, że zaparło mi z wrażenia dech, bo z pewnością darłabym się jak opętana.

Sunąc na brzuchu głową w dół, zaliczyłam jeden zakręt, potem drugi i dopiero wtedy odzyskałam część władz umysłowych, co pozwoliło mi uświadomić sobie kilka prostych faktów. Zsypy z górnych pięter łączyły się z moim biegnącym zygzakiem. Mogłam spowolnić swój karkołomny pęd, chwytając się ujścia którejs z mniejszych rur dłońmi, jednak w trosce o bezpieczeństwo lady Theodory nie powinnam robić najmniejszego hałasu. Musiałam zdławić uwięziony w gardle krzyk i wystrzegać się stukania butami o blaszane ścianki zsypu.

Jedyne, co mi pozostało, to manewrowanie dłońmi, dzięki czemu zdołałam zmienić ułożenie ciała i choć nadal mknęłam głową w dół, dalsze partie zsypu pokonywałam już, leżąc na plecach. Po chwili poczułam, że moje barki się unoszą, więc wyciągnęłam w górę obie ręce i rozcapierzyłam dłonie, usiłując namacać...

Tak! Chwyciłam za krawędź metalowego wylotu i z całej siły, jakbym próbowała ściągnąć lejce całego zaprzęgu splotzonych koni, zdołałam zatrzymać sunące w czarną czeluść ciało.

Przez kilka kolejnych chwil wisiałam tam bezwładnie i dyszałam ciężko przepelniona ulgą po ustaniu szaleńczego pędu i wdzięcznością dla moich władz umysłowych, które pozwoliły mi dać odpór tyranii siły ciężenia. Nawet egipskie ciemności wydawały się o wiele mniej przerażające, kiedy leżałam w bezruchu.

I tu pojawiło się pytanie. A gdybym tak, zamiast znowu pomknąć bezwładnie w dół, wspięła się którymś z mniejszych szybów, weszła do czyjejś sypialni, odczekała, aż jej lokator lub lokatorka zaśnie, i wymknęła się z domostwa Alistairów, używając swoich niezawodnych nóg?

Przyznam, że taki plan wydał mi się o wiele bardziej kuszący niż dalszy ślizg w dół ku nieznanemu celowi.

Od razu przeszłam do działania. Podciągnęłam się do pozycji siedzącej, zachowując przy tym maksimum ostrożności, by nie uderzyć żadną częścią ciała o metalowe ściany, obmacałam dokładnie wylot mniejszego szybu, a potem stopniowo zaczęłam się do niego wsuwać. Kiedy już przepchnęłam w górę ramiona i tułów (jak cudownie było znów stanąć na nogach!), zaczęłam zapierać się o ściany szybu przeciwnymi partiami swojej anatomii i pnać się wyżej jak wytrawny kominiarczyk, powtarzałam sobie w duchu: „Tak będzie o wiele lepiej”.

I było lepiej aż do chwili, gdy rura zaczęła się zwężać. Nie dostrzegając więcej niż kret kopiący tunel w środku nocy, nie byłam w stanie przewidzieć czekającej mnie katastrofy i oto nagle uwięzłam w wąskim gardle, zaklinowawszy się w nim barkami. Próbowałam manewrować, wijąc się i wykręcając, ale jedynie pogorszyłam tym sprawę i zaczopowałam się na amen w metalowym przewężeniu jak korek w szyjce butelki. Serce waliło mi z takim impetem, że cała rezonowałam i liczyłam nawet, że te drgania pomogą mi się odklinować, ale nie. Wprawdzie głowa była swobodna, lecz barki i ramiona tkwiły mocno w blaszanej pułapce, natomiast dolna część tułowia, przedramiona, nogi i otaczająca je spódnica zwisały bezwładnie, kołyszac się jak dzwon.

Oczami wyobraźni widziałam już, jak konam tam w męczarniach z głodu, a moje odnalezione po latach zmumifikowane szczątki staną się rodzinną zagadką dla kolejnych pokoleń Alistairów.

„Nonsens, Enolu. Ich brudna bielizna przestanie spływać do pralni, więc zechcą zbadać przyczynę niedrożności szybu”.

Niestety, tym razem głos rozsądku nie przyniósł ukojenia. Byłam śmiertelnie przerażona i zlewał mnie zimny pot. Czy naprawdę nie nadszedł już czas, żeby dać o sobie znać wołaniem o pomoc? No bo Bogiem a prawdą, jeśli się ujawnię, co takiego może mi zrobić sir Eustace?

„To samo, co zrobił innym”.

– Och, pomocy... – szepnęłam, ale równocześnie w mojej głowie rozległ się głos matki: „Enolu, doskonale poradzisz sobie sama. Myśl”.

Podszyta histerycznym strachem zaczęłam zatem myśleć. Czy dam radę wyslizgnąć się ze swojego srokiego ubioru jak z wylinki, a potem zwać, narażając postronnych na zgorzenie swoją golizną? Tym bardziej że paskudny strój dawał mi się coraz bardziej we znaki. Wykrochmalony sztywno kołnierzyk wrzynał mi się w szyję, twarde mankiety ocierały mi przeguby, zasupłane wstążki fartuszek wpijały się w plecy... Może uda mi się przynajmniej wyswobodzić z fartucha?

I tak, bardziej z podszeptu głupoty niż geniuszu, podjęłam wysiłki zmierzające do rozwiązania kordy na plecach. Ponieważ nie mogłam do niej sięgnąć, zgięłam łokcie i chwyciłam za przednią część paska, po czym przesuwając go tak długo, aż kokarda znalazła się na froncie sukni. Po krótkiej walce z niewidocznym dla mnie węzłem zdołałam go jakoś rozsypać, a potem chwyciłam oba końce paska. Fartuszek zawisł mi u stóp – moich biednych, dyndających w powietrzu stóp. Ugięłam kolana, podciągnęłam nogi i nie bez wysiłku udało mi się umieścić podeszwy na pasku fartuszek. Nie planowałam żadnych ruchów w górę czy w dół, oparłam jedynie stopy w nadziei, że nieco im w ten sposób ulży, mimo że ciężar nóg dawał mi się niemiłosiernie we znaki...

I koniec końców przyczynił się do odzyskania wolności. Ku mojemu zaskoczeniu i konsternacji runęłam nagle w dół w egipskich ciemnościach. Wydałam z siebie sapnięcie (odgłos będący odwrotnością krzyku), wypuściłam fartuch z rąk, a następnie próbowałam się zaprzeć łokciami i kolanami o ściany metalowego więzienia, żeby – co okazało się mało skuteczne – spowolnić upadek. Moje toporne buty wylądowały w głównym szybie ze sporym hukiem. Całkiem bezwiednie usiadłam, a potem położyłam się na fartuchu i ponownie zaczęłam sunąć na plecach w dół – jak nieoświetlony tobogan po metalowym torze, tym razem jednak dziękowałam swojej szczęśliwej gwiazdce, że nie zjeżdżam głową naprzód i że gdziekolwiek teraz wyląduję, pierwsze u celu znajdą się moje stopy.

Ale zanim zdołałam poddać się losowi, ten mnie zaskoczył. Poczulałam, że szybko zmienia kąt nachylenia na coraz bardziej stromy, posyłając mnie niemal pionowo w dół, i nagle – nic. W przypiływie dzikiej paniki, lecąc przez ciemną pustkę, pomyślałam, że jeśli zaraz nie wrasnę, rozsądzi mnie od środka – trwało to na szczęście krótko. Wylądowałam bezpiecznie i bez żadnych obrażeń w czymś miękkim i sprężynującym. Wyczułam, zwłaszcza węchem, że to coś to brudna bielizna. Obrzydliwość. Przyznam jednak, że przez dłuższą chwilę, przepełniona wdzięcznością, leżałam w nowym, nieco śmierdzącym gniazdku.

I chętnie pozostałabym tu dłużej, gdyby nie to, że do moich uszu dotarło skrzypnięcie otwieranych drzwi i zobaczyłam nad sobą snop światła – wydało mi się oślepiająco jasne po tak długim czasie spędzonym w ciemności. Czyżby ktoś otworzył zejście do piwnicy? Usiadłam, żeby się lepiej rozejrzeć. To, co zobaczyłam, nie pozostawiało wątpliwości: byłam w piwnicy i spoglądałam ponad krawędzią sporego zbiornika z praniem.

– To brzmiało, jakby pękł kocioł – stwierdził męski głos.

Usłyszałam kroki więcej niż jednej osoby schodzącej do piwnicy. Natychmiast schowałam głowę i możliwie jak najciszej zagrzebałam się w brudnej bieliźnie, starając się zakryć, ile się da, ze szczególnym uwzględnieniem stóp, dłoni i twarzy, nie przejmując się protestami nosa, który krzywił się na zapaszek brudnych części spodniej garderoby. Czarna spódnica wystawała nieco ponad powierzchnię bielizny, ale nie zwracałam na to uwagi, w końcu były to rzeczy przeznaczone do prania. Zastygłam w bezruchu.

– Nie wygląda na to, żeby kocioł robił jakieś sztuczki – stwierdził drugi męski głos. Jego właściciel z pewnością miał latarnię albo świecę, jednak nie mogłam tego stwierdzić naocznie, będąc zakopana w praniu.

– Pewnikiem któraś z kobiet zostawiła pralkę z otwartą pokrywą, a ta potem sama opadła – orzekł wyniośle głos należący do kamerdynera. – Albo jakieś żelazko zabręczało na piecu czy coś podobnego.

– Twierdzisz, że coś zabręczało samo z siebie? – wyraził wątpliwość pierwszy głos należący, jak się domyślałam, do lokaja. – A jeśli to właśnie tutaj ukryła się ta przebiegła dziewczucha, którą wcześniej widziałeś?

– A jeśli już się o nią zatroszczono? – skwitował to chłodno kamerdyner. – Ci, którzy chcą dalej pracować u sir Eustace’a Alistaira, nie powinni się zbytnio przejmować źródłami dziwnych dźwięków. Chodźmy, robota jeszcze na mnie czeka.

Pozostali dwaj musieli na to przystać, ponieważ na schodach ponownie rozległy się kroki, a po chwili dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi.

Odczekawszy stosowną chwilę, wynurzyłam się z zalewającego mnie morza brudnych łachów, a wtedy mój wzrok ponownie zderzył się z ciemnością. Z ciemnością, którą po słowach kamerdynera wypełniło przerażenie. „Już się o nią zatroszczono”? Nie miałam najmniejszego życzenia, by sir Eustace okazywał mi w jakikolwiek sposób swoją „troskę”.

Białe fartuch i czepek zostały gdzieś w szybie, a ja pozbyłam się teraz białych mankietów i kołnierzyka, dzięki czemu stałam się niemal równie jednolicie czarna jak otaczający mnie mrok. Zastanawiałam się, czy nie ściągnąć ciężkich trzewików, uznałam jednak, że mogą mi się przydać w razie konieczności ucieczki (sprint w samych pończochach stanowczo by ją spowolnił). Uporawszy się z kwestią wyglądu, po cichutku, z lękiem wygramoliłam się z pojemnika na brudy, zeskoczyłam na podłogę z desek i rozejrzałam się wokół w ciemnościach – bo jednak nie były całkowite! Ze szczelin drzwiczek paru żeliwnych pieców, przeznaczonych z całą pewnością do podgrzewania żelazek, sączyła się blada poświata. W półmroku identyfikowałam kolejno po kształtach deski do prasowania, węglarki, szafki ze zlewami, wyżmaczki, kosze z czystą bielizną, zroszoną i zwiniętą w mokre wałeczki w oczekiwaniu na prasowanie oraz – co najbardziej interesujące – maszynę pralniczą. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego urządzenia, więc podkrađłam się do niego (niech diabli wezmą te buciory!), by mu się przyjrzeć. I w miarę szybko zaspokoiliłam swoją ciekawość. Nowoczesny sprzęt był niczym innym jak drewnianą balią, w której umieszczono trzpień z zamocowanymi prostopadłymi wiosłami. Trzpień przechodził przez otwór w pokrywie balii, a na jego drugim końcu zamocowano prostopadłe kijek służący do wprawiania wiosła w ruch. Uznałam, że nie jest to proste w obsłudze i że każda praczka musi być silna jak wół.

Nie mając zbytniej ochoty na zawieranie o poranku bliższej znajomości z przedstawicielkami tego zawodu czy z kucharkami, musiałam znaleźć sposób na wydostanie się z piwnicy. Drzwi na górze schodów okalała prostokątna linia światła. Ta droga ewakuacji groziła zatem spotkaniem z kamerdynerem, który zapewne zajął się ponownie liczeniem srebrnych łyżek. Nieco więcej światła, a raczej bladej i zamglonej poświaty londyńskiej nocy wpadało przez malutkie okienko pod sklepieniem. Nie dostałabym się do niego, choćbym weszła na rozgrzaną płytę pieca – co byłoby zresztą wysoce ryzykownym przedsięwzięciem. Serce trzepotało we mnie gwałtownie jak skrzydła kosa uwięzionego w przysłoniętej czarnym suknem klatce. Do zbadania pozostawał mi jedynie przeciwległy kąt piwnicy, który z jakiegoś powodu oddzielono od reszty.

Cichutko jak myszka, odmierzając ostrożnie każdy krok, by nie wpaść na jakiś sprzęt, udałam się w tamtą stronę, trzymając się jedną dłonią wykładanej deskami ściany, aż w końcu dotarłam do framugi. Zajrzałam w mrok, ale nie byłam w stanie niczego dostrzec. Pomieszczenie było czarne jak dusza sir Eustace'a.

Bijące na alarm serce zmusiło mnie do podjęcia desperackich kroków. W stojącej obok jednego z pieców skrzynce z podpałką wymacałam długą szczapę. Nie zachowując ciszy, mimo daleko posuniętych usiłowań, podniosłam pokrywę pieca i wsunęłam drewnienko w żar paleniska, czekając, aż końcówka zajmie się ogniem. Bezmyślnie zamknęłam z powrotem kłapę i ściągnęłam na swoją głowę kolejne zagrożenie, bo stykające się ze sobą dwa żeliwne elementy, mimo największych starań, zawsze wydadzą brzęk. Nie miałam zatem czasu do stracenia. Przyświecając sobie zaimprovizowaną pochodnią, przebiegłam w panice przez piwnicę, by zbadać kryjący się w jej rogu tajemniczy przedmiot.

Był to zbiornik na węgiel, rzecz jasna, a wewnątrz niego piętrzyła się spora hałda wiodąca do zamkniętego na dwuskrzydłowe drzwiczki otworu. Tak, tamtędy wsypywano rozwożony konnymi wozami węgiel, czyli po drugiej stronie znajdowały się stajnie! Na to przynajmniej liczyłam, dysząc szybko z emocji.

Z radosnym pośpiechem wdrapałam się po węglu, odblokowałam zasuwkę (umieszczoną na szczęście po wewnętrznej stronie) i otworzyłam szeroko drzwiczki. Tak! Zapach świeżego, chłodnego powietrza potwierdził moje domysły: wiodły one na zewnątrz. Jednak sprawa nie przedstawiała się tak prosto, jak myślałam. Do pokonania pozostawał mi jeszcze zsypany węgiel.

Mogłabym się przez niego wspiąć, bo był wystarczająco szeroki.

Był brudny.

Cienka szczapa zdążyła się już niemal całkowicie wypalić, grożąc moim palcom poparzeniem, więc zdmuchnęłam płomyk i się zawahałam, stojąc w ciemnościach na szczycie węglowej góry. Rozważyłam szybko za i przeciw wyłączenia na powierzchnię przez zsypanie. Westchnęłam. A potem z uśmiechem przystąpiłam do działania.

Mam wszelkie cechy – jeśli nie wrodzone, to wykształcone przez nawyk – typowe dla nocnego marko. Podobnie zresztą jak mój brat Sherlock, co wywnioskowałam z lektury wspomnień jego przyjaciela doktora Watsona. Kiedy szczęśliwie wydostałam się na wolność – umorusana jak nieboskie stworzenie – ze zsypanego węgla Alistairów, poznałam po panującej w mieście ciszy, że pora jest bardzo późna. A jednak musiałam pilnie porozumieć się z Sherlockiem.

Ponieważ nie kursowały już dorożki, ruszyłam w drogę, stukając ciężko buciorami przypominają-

cymi końskie kopyta. Nie musiałam się już jednak przejmować tym, że mnie słycać. Byłam wolna! Podskoczywszy z radości, ruszyłam niemal dosłownie jak z kopyta i pokonałam sprintem całą dzielącą mnie od domu brata odległość. Sprawilo mi to zresztą ogromną radość, ponieważ uwielbiam biegać, a nie mogę tego robić przy świadkach z tej idiotycznej przyczyny, że dobrze wychowane osoby płci żeńskiej muszą we wszystkich okolicznościach wykazywać się subtelnością. Przyzwoitość zabrania kobietom z dobrych domów odsłaniać kończyny dolne! Teraz jednak, nie mając żadnych świadków, wykorzystałam z radosnym bezwstydem pełnię swoich dwunożnych możliwości. Zresztą gdyby jakiś zapóźniony przechodzień dojrzał mnie gnającą przez mrok w czarnej sukni i z niemal równie czarną od węglowego pyłu twarzą, wzięłby mnie z pewnością za upiora.

W wyjątkowo krótkim czasie dotarłam do domu przy Baker Street 221. Zerknęłam w górę na łukowate okno mieszkania Sherlocka i zobaczyłam blask odkręconej na pełną moc lampy gazowej. Wynioskowałam, że brat jeszcze nie śpi, zajęty być może prowadzeniem doświadczeń chemicznych. Jego starszawa gospodyni, przeurocza pani Hudson, z pewnością już od dawna smacznie spała, więc nie zadzwoniłam do drzwi, nie chcąc zakłócać jej spoczynku, tym bardziej że na widok goblina z komina z pewnością podniosłaby raban. Podreptałam na tyły domu, wdrapałam się na rosnący tam platan, przeszłam po daszku nad kuchnią, przycupnęłam przy oknie sypialni Sherlocka i rezerolucie zapukałam w szybę.

Z wnętrza dobiegł okrzyk i brzęk tłuczonego szkła łączącego się zapewne w bólu z oknem, które tak brutalnie zaatakowałam. Po chwili otworzyły się drzwi sypialni. W blasku padającym z saloniku zobaczyłam odzianego w tużurek Sherlocka z lichtarzem w dłoni. Odbijający się na wewnętrznej stronie szyby blask świecy utrudniał bratu rozpoznanie postaci za szybą, więc spytał:

– Kto tam?

– Enola.

Przyskoczył do okna i otworzył je szeroko, a następnie przyjrzał mi się w milczeniu, unosząc niemal niezauważalnie brwi.

– Dzięki, że raczyłaś zapukać. Ostatnim razem weszłaś bez zaproszenia. Czyżbyś trudniła się dziś kominiarstwem?

– Musiałam pokonać zsymp na węgiel, żeby się wydostać z domu Alistairów.

– Jakżeby inaczej. – W jego głosie zabrzmiała lekka kpina.

– Udałam się tam, żeby się rozmówić z lady Theodorą. Pogłoski o jej ciężkim stanie zdrowia okazały się błagą. Wprawdzie jest przetrzymywana w swoim buduarze, jednak nie jest ani niedysponowana, ani chora, a już na pewno nie leży na łożu śmierci.

– Nie jest to wiadomość, za którą warto skazywać na zagładę moją menzurkę.

– To nie wszystko. Mogę wejść?

– Pytanie nie na miejscu, Enolu. W tym usmolonym stanie? Pomyśl, czym to grozi dywanom i meblom! – Wyczułam już w jego głosie nutkę wesołości. Bądź co bądź rozmawiałam z człowiekiem, który przyozdobił ścianę swojego salonu inicjałami królowej Wiktorii, strzelając precyzyjnie z broni palnej. Sherlock Holmes odsunął się na bok, ukłonił mi się i wyciągnął dłoń w szarmanckim geście, zapraszając mnie do środka, jakby okno na tyłach domu było wejściem reprezentacyjnym.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W dzbanku znalazłam wystygłą wodę, dzięki czemu mogłam obmyć trochę twarz i dłonie, ale umywalnia była potem w oplakanyim stanie. W kącie salonu leżała sterta przeczytanych gazet, więc wyszłam nimi jedyne dostępne krzesło, zanim zrobiłam z niego użytek. Sherlock pochylał się nad stołem zastawionym szkłem laboratoryjnym, siedząc na wysokim taborecie. Przypominał dużego, długonogiego ptaka z wielkim dziobem.

Odwrócił się do mnie i powiedział:

– To wspaniale, że lady Theodora cieszy się dobrym zdrowiem, ale zdaje się, że nie jest to powód, dla którego odwiedzasz mnie o tak niezwykłej porze.

Poruszyłam się, wzbijając wokół siebie chmurę węglowego pyłu.

– Chciałabym wiedzieć, czy znalazłeś już lady Cecily.

– Mam nadzieję, że mi się to uda, jeśli tylko pojawi się w pobliżu biura doktora Ragostina.

Czyli stało się tak, jak myślałam: postawił tam na czatach swoją Ferajnę z Baker Street. Miałam wielką nadzieję, że odszukał już Cecily, może nawet tej nocy, i dlatego nie czekałam do rana, by złożyć mu wizytę. Musiałam go przekonać, by nie zmuszał lady Cecily do powrotu do domu będącego jej więzieniem, a przynajmniej nie od razu.

– Sherlocku, chyba przyznasz mi rację, jeśli powiem, że sir Alistair jest typem najgorszego ciemiężcy i domowym tyranem.

– Jak najbardziej. Mimo to prawo...

Wedle prawa domowy tyran był właścicielem swojej córki i mógł ją traktować jak gwarka w klatce. Przerwałam bratu:

– Mam podstawy sądzić, że sir Eustace jest także łajdakiem, pozbawionym serca potworem i być może nawet przestępcą.

Chociaż mój genialny brat nie rozsiadł się wygodnie, nie złączył palców i nie przymknął oczu, zauważyłam, że moje słowa go zaciekały.

– Żyje ponad stan – kontynuowałam. – Szasta pieniędzmi na prawo i lewo, będąc często na krawędzi bankructwa. Ratuje się wówczas, sprzedając zwłoki swoich zmarłych służących prosektoriom, ich zęby dentystom, a włosy perukarzom.

– Doprawdy? – mruknął Sherlock, opuszczając do połowy powieki, jakby nagle ogarnęła go senność. Ale dostrzegłam w jego półprzymkniętych szarych oczach stalowy błysk. Błysk ostrza skalpela. Studenci medycyny nieustannie potrzebowali zwłok do badań, a więzienia nie mogły ich nastarczyć. Przyszli medycy byli gotowi zapłacić każde pieniądze za trupa, nawet łysego i bezzębnego, bez zadawania zbędnych pytań. Mimo podejrzeń, że znajdujący się na sekcyjnym stole osobnik mógł paść ofiarą procederu zwanego od nazwiska jednego z jego prekursorów „burkingiem”, czyli został uśmiercony w niepozostawiający śladów sposób.

Łaskawy czytelnik musi zrozumieć, jak skandaliczne było to, co robił sir Eustace ze zwłokami swoich służących, nawet jeśli zmarli z przyczyn naturalnych. Zgodnie z obyczajem należał im się pochówek. Pominąwszy nawet wierzenia religijne i wiarę w zmartwychwstanie, myśl, że można pozbawić zmarłego zębów i włosów, a potem przekazać jego nagie ciało badaczom, wywoływała dreszcze.

Sherlock uciął... Ojej, muszę skończyć z tym nawiązywaniem do krojenia. Spojrzał na mnie zniecierpliwiony.

– Dane, Enolu, dane! Nie mogę prowadzić śledztwa, nie mając w ręku danych.

– Mam nazwiska trzech ofiar – pochwaliłam się, bezskutecznie usiłując przywołać je w pamięci. – Podała mi je Phyllis. – Grałam na zwłokę, chociaż dręczyło mnie ponure przecucie, że zaginęły bezpowrotnie w mrokach zsypanych na brudy. – Phyllis to pokojówka, która przekazała ci wiadomość od lady Theodory.

– Jak brzmią nazwiska tych trzech ofiar? – spytał Sherlock szorstkim tonem.

– Zaraz je sobie przypomnę.

– Enolu, nie można oskarżać sir Eustace’a o burking, nie mając na to dowodów!

– Nie oskarżam go o burking. Mówię tylko, że... Burke! – Przypuszczam, że żadna umorusana węglem dziewczyna siedząca na gazetach w późnych godzinach nocnych nie mogła odczuć większej ulgi. – Pierwszą ofiarą był lokaj Timothy Burke. Zakładałam, że zmarł śmiercią naturalną, wątpliwości budzi jedynie fakt, co sir Eustace zrobił z jego zwłokami. Drugą ofiarą była pokojówka Imogen Saunders. –

Kiedy przypominałam sobie pierwsze nazwisko, pozostałe natychmiast odżyły w mojej pamięci. – I sta-
jenny o nazwisku Sims. Phyllis wymieniłaby zapewne więcej osób, ale przerwał nam sir Eustace i musia-
łam się ratować ucieczką przez zsypaną na pranie.

– Na Jowisza! – zawołał Sherlock z miną wracającego z polowania na bażanty arystokraty. – Tra-
fiła nam się dziś obfitość zsypanych, daję słowo!

– To prawda – przytaknęłam, zachowując kamienną twarz. – Mam nadzieję, że nie na próżno –
dodałam. – Sherlocku, czy przekonałam cię do tego, jak masz postąpić z lady Cecyli, kiedy ją odszukasz?
Zesztywniał.

– Nie mam w zwyczaju dawać się przekonywać.

– Może „przekonać” jest niefortunnie dobranym słowem. Proszę cię jedynie o zastosowanie zasad
logiki. Ojciec naszej lady ma skłonności do maltretowania córki. Skoro dziewczyna ma do niego wrócić,
czy nie powinna mieć dość siły, by mu się przeciwstawić? Przyszłam tu prosić cię o pomoc w tej kwestii.
Błagam cię, byś nie odprowadzał lady Cecyli do domu, zanim nie zostaną poczynione pewne kroki. Jeśli
znajdziemy dowody na nikczemne czyny sir Eustace’a, damy jej do ręki potężną broń.

– Czyli możliwość szantażowania własnego ojca? – spytał Sherlock cichym, ale złowrogim to-
nem. – Wiesz chyba, jak bardzo brzydzę się szantażem.

– Jednakże w słusznej sprawie...

Mój błagalny wywód został nagle przerwany. Ku memu zaskoczeniu ktoś stukał w szybę okna od
podwórza, zupełnie jak niedawno ja.

Kilka chwil później Sherlock wrócił, trzymając rękę na ramieniu nowo przybyłego gościa, bosego
i umorusanego chłopaka odzianego w typową dla ulicznika pstrokatą zbieraninę ubrań, łącznie z bez-
kształtną czapką na zmierzwionych włosach.

– ...widzieliśmy ją, panie ‘Olmes, rychtyczek tam, gdzie pan mówił! – relacjonował szybko. –
I faktycznie, jest ładniutka jak na obrazku, który nam pan pokazywał, mimo że zakutana w szal i w za du-
żych ciuchach. Wszyscy ją widzieliśmy, ale zaraz potem hyc i zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię.
Główkujemy, jak...

Jego słowotok urwał się nagle. Chłopak spostrzegł moją obecność i wgapiał się we mnie w najbez-
czelniejszy sposób. Musiałam trzymać nerwy na wodzy, żeby nie rzucić mu wściekłego spojrzenia.

Sherlock odwrócił dzieciaka w swoją stronę.

– Gdzie konkretnie zniknęła?

– No przy tym domu, który nam pan pokazał, panie ‘Olmes! Przeszła obok niego, ale potem się
nie pojawiła ani od frontu, ani od tyłu, chociaż obserwowaliśmy dom ze wszystkich stron.

– Świetnie, Wiggins. Brawo. – Sherlock puścił ramię chłopaka i nagroził go drobnymi. –
A teraz biegnij na róg ulicy i wezwij mi dorożkę. – Sherlock wyprowadził go z domu konwencjonalną
drogą, po schodach do drzwi, do których miał klucz. A potem wrócił na górę, minął mnie i skierował się
do sypialni ze słowami: – Muszę się przebrać.

– Żeby jechać do domu doktora Ragostina?

– Tak, żeby pospieszyć do rezydencji tego nieistniejącego człowieka.

– Jadę z tobą.

– Nonsens, Enolu. – Zatrzasnął za sobą drzwi sypialni.

Nie chcąc krzyczeć, zaczekałam, aż wyjdzie. W zaskakująco szybkim czasie pojawił się znów
w salonie nienagannie ubrany.

– Jadę z tobą – upierałam się.

– Pracuję solo.

– A nie w duecie z Watsonem?

– Nie działa mi na nerwy tak jak ty.

– A ja nie działam tak sztampowo jak on. Boisz się, że wykażę się inteligencją?

Brwi powędrowały mu w górę, ale zanim zdołał odpowiedzieć, usłyszeliśmy skrzypienie fronto-
wych drzwi. Skoczyłam na równe nogi i pobiegłam na dół, mijając się na schodach z Wiggensem, po
czym zajęłam miejsce w dorożce. Każdemu mojemu krokowi towarzyszył tuman węglowego pyłu.

– Wsiadaj – rozkazał po chwili Sherlock.

– Wsiadaj – odparowałam. – Pamiętaj, że mam klucze. Jak chcesz się tam dostać? Czy często ba-
wisz się we włamywacza?

Zmieszał się i przystanął obok dorożki. Nasze oczy znalazły się na tej samej wysokości. Starłam
się usunąć ze swego spojrzenia złość, błaganie i inne małostkowe emocje.

– Chcesz pracować ze mną czy przeciwko mnie? – spytał Sherlock spokojnym tonem.

– To zależy od tego, co zrobisz, mój drogi bracie – odparowałam. – Ale przede wszystkim – dodałam – chciałabym zobaczyć się z Cecily. Nie udało nam się jeszcze normalnie porozmawiać.

Rozbroiłam go tym oświadczeniem. Przewrócił oczami nad nieobliczalnością płci pięknej. Nie mogłam mu się wyraźnie przyjrzeć w wątłym świetle rzucanym przez latarnię i boczne lampy dorożki, ale usłyszałam bardzo wymowne westchnienie. Po chwili, podawszy woźnicy adres, Sherlock wdrapał się do dwukółki i usiadł obok mnie. Koń ruszył i dorożka potoczyła się po bruku.

Mimo że podczas jazdy trzęsło niemiłosiernie, oparłam głowę o ściankę, zamknęłam oczy i udawałam, że wypoczywam. Niech Sherlock sam się teraz głowi. Ale udawany sen przerodził się w prawdziwą drzemkę. Widać byłam bardziej zmęczona, niż mi się wydawało. Obudził mnie zgiełk, który początkowo wzięłam za skrzeczenie mew. Usiadłam prosto, mrugając ze zdziwienia. Okazało się, że dorożka dojechała już do celu i obstąpili ją chłopcy z Sherlockowej ferajny, przekrzykując się piskliwie.

– Ja pierwszy ją wypatrzyłem!

– Skradała się w cieniu jak lisica! A potem...

– Zaczailiśmy się z chłopakami z tyłu.

– I gucio wam z tego przyszło.

– A ona po prostu zniknęła. Zupełnie...

Sherlock wysiadł z dorożki i uciszył ich dobrodusznie, wyciągając portmonetkę.

– Dzielnie się spisaliście. Oto zapłata, chłopcy. Jesteście wolni. – Wręczał im miedziaki, a oni po kolei się oddalali.

Przez ten czas zdążyłam wysiąść z dorożki, wyminąć tłumek i... – o nie, ani myślałam przejść za róg i pokazać Sherlockowi, jak się dostać do środka tajnym wejściem. I bez tego za dużo wiedział. Odwróciłam się plecami do ulicy i zaczęłam szukać w gorsecie klucza do frontowych drzwi. Znalazłam go w chwili, w której stanął przy mnie Sherlock.

– Cóż za niewygodna – skomentował moje poczynania. – Dlaczego kobiety nie używają kieszeni?

Czasami ich używamy, lecz nie zaszczyciłam jego uwagi żadnym komentarzem. Przekręciłam klucz w zamku, otworzyłam drzwi i natychmiast rozjaśniłam lampę gazową w obawie, że ktoś wyrwany ze snu wbiegnie do sieni z garłaczem i ustrzeli mnie i Sherlocka, zanim się zorientuje, że nie jesteśmy włamywaczami.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Enolu – powiedział Sherlock z rozbawieniem w głosie. – Chcesz się pokazać światu w całej swej usmolonej krasie?

Nie, nie chciałam się pokazywać światu, ale nie odpowiedziałam na zaczepkę, tylko zmarszczyłam brwi i przyłożyłam palec do ust, po czym bezszelestnie otworzyłam drzwi do gabinetu. Nie zapaliłam światła, zdając się na lampę w sieni.

Jeszcze zanim dostrzegłam Cecily, wyczułam jej obecność. Wykształczyliśmy w sobie jakiś siostrzany szósty zmysł.

Owinięta szalem spała głębokim snem na sofie. Wyglądała jak wychudzony, błądy podrzutek.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kilka godzin później, w słońcu poranka, obudziła się i spojrzała na mnie. Pochyliłam się nad nią z uśmiechem.

Kiedy spała, ściągnęłam z siebie okropną czarną suknię i doprowadziłam się do względnego porządku w tajemnym schowku. Zużyłam całą zgromadzoną tam wodę. Bardzo długo szcztkowałam włosy, usiłując wycesać z nich węglowy pył, ale udało mi się jedynie równomiernie go po nich rozprowadzić. Zaplotłam je więc i upięłam wysoko. Przejrzałam się w lusterku, skrzywiłam się i zawiązałam na głowie turban z tkaniny w orientalny wzór. Jego końce wisiały luźno na przesadnie marszczonej i falbaniastej sukni ceglanej barwy. Wyglądało to dość wyzywająco.

Tymczasem Sherlock czuwał nad lady Cecily, siedząc obok niej w fotelu. Zamiast obudzić ucieknierekę i odprowadzić ją do domu, pozwolił jej spać. Decyzja ta świadczyła – przynajmniej w moim mniemaniu – że jednak potrafi wykrzesać z siebie minimum troski o innych. Lecz nie ufał mi na tyle, by zostawić ją pod moją opieką.

Po przebudzeniu Cecily nie zauważyła jego obecności, tylko z radosnym okrzykiem podniosła się, żeby mnie uściskać.

– Enola!

– Przed paroma godzinami widziałam się z twoją matką – powiedziałam, odwzajemniając uścisk. – Jest w doskonałym zdrowiu.

– Dziękuję ci! Umierałam z niepokoju. – Omal się nie rozsłochała, po czym od razu poznałam, że trzymam w ramionach jej praworeczną wersję. – Pech chciał, że spotkałam w mieście znajome, z którymi kiedyś odbywałam przejażdżki rowerowe. Próbowaly mnie namówić, abym wróciła do domu, i powiedziały, że mama strasznie się martwi nie tylko o mnie, ale też o moje najmłodsze rodzeństwo, bractwiczka i siostrzyczkę. Rozłąka z nimi musi być dla niej męką. Czy mama wciąż jest trzymana pod kluczem i bezbronna jak ja?

– Z pozoru na pewno tak – rozległ się władczy głos Sherlocka. Cecily wzdrygnęła się i zaskoczona omal nie krzyknęła z przerażenia. Nie wiedziała, że ktoś jest z nami w gabinecie. A Sherlock ciągnął: – W rzeczywistości nie. Nie jest całkiem bezradna i udało jej się przesłać mi wiadomość z błaganem, bym panią odszukał.

– Phyllis przekazała jej słowa mojemu bratu – wyjaśniłam Cecily i pragnąc ją uspokoić, poklepałam jak spłoszonego konia. – Twoja mama i Phyllis mają zapasowy klucz. Sir Eustace trwa jednak w przekonaniu, że są zdane na jego łaskę.

– Ale przecież to nie jest prawdziwa wolność. – Cecily odsunęła się ode mnie i przysiadła na skraju sofy przodem do Sherlocka. – Błagam, proszę mnie tam z powrotem nie zabierać. Błagam pana. Niech pan tylko przekaże mamie list z zapewnieniem, że jestem cała i zdrowa...

– Przecież widać, że to nieprawda. – Sherlock zetknął ze sobą czubki palców. – Kiedy pani coś ostatnio jadła? Czy nie skończyły się pani pieniądze?

– Tak, ale wolę skonać z głodu na ulicy niż tam wrócić. Gdyby pan znał mego ojca... Zaklinam pana...

– Cicho, cicho. – Sherlock machnął z niesmakiem ręką na ten wybuch emocji. Chcąc uspokoić Cecily (jak myślę), powiedział: – Jeszcze nie podjąłem decyzji, jak postąpię. Enola przedstawiła mi pewne ciekawe fakty, które muszę wziąć pod uwagę. W związku z tym miałbym do pani kilka pytań. Ale najpierw musimy zamówić pani coś do jedzenia.

– Nie, jestem roztrzęsiona, nie potrafiłabym nic przełknąć. – Rzeczywiście drżała na całym ciele. – Proszę pytać.

– No dobrze. Lady Cecily, co pani wiadomo o krokach, które podejmuje pani ojciec, kiedy umiera ktoś ze służby?

Zatrzepotała rękami z zaskoczenia.

– Słucham?

– Chwileczkę – zwróciłam się do Sherlocka. Podeszłam do biurka po ołówki i papier. – Cecily, mogę cię prosić, żebyś udzielając odpowiedzi mojemu bratu, jednocześnie go portretowała? – Podniosłam roletę, by oświetlić orle rysy Sherlocka. Dziewczyna spojrzała na niego, wyprostowała się, a w jej oczach pojawił się wyraz skupienia. Ujęła lewą dłonią najciemniejszy ołówek i nakreśliła zamasyście pierwszą linię, a następnie zaczęła szkicować podobiznę szybkimi, pewnymi ruchami. Ręka, podobnie jak całe jej ciało, przestała drżeć.

– Co się dzieje, Cecily, kiedy umiera ktoś ze służby? – spytałam.
– Ojciec wykonuje jakieś działania w porozumieniu z ciotkami Otelią i Aquillą – odpowiedziała, nie przestając rysować.

Sherlock przerwał jej:

– Czy sir Eustace pozbywa się zwłok zmarłych we wszystkich trzech domostwach?

„Pozbywa się”? Ujął to bardzo obcesowo, ale Cecily stała się ponownie dzielną leworęczną lady i nie zrobiło to na niej wrażenia.

– Tak, i dzieje się tak, odkąd sięgam pamięcią. Podczas epidemii dyfterytu miał pełne ręce roboty.

– A dokąd trafiały później zwłoki służących?

– Nie mam pojęcia. Dziwne, że nigdy o to nie spytałam! – Nie takie dziwne. Zadbali o to, żeby była potulna, praworęczna i niemal pozbawiona głosu. – Ale – mówiła dalej – nie uczestniczyłam w pogrzebie nikogo ze służby. Widać ojciec znalazł... jakieś inne rozwiązanie.

– W rzeczy samej. – Sherlock przez kilka chwil przypatrywał się jej z uwagą. – Lady Cecily, zdaje się, że jest pani leworęczna.

Znieruchomiała nagle, nie dokończywszy szkicu.

– Ja... ja tego nie zauważyłam.

– Mogę zobaczyć? – Sherlock podszedł zerknąć na rysunek. I zamarł ze zdumienia.

– A twierdzisz, że to ja mam talent plastyczny – zakpiłam.

– Nadzwyczajne! Co za ostrość widzenia, siła wyrazu, bezpośredniość... Można by pomyśleć, że rysunek wyszedł spod męskiej dłoni.

– To nie jest komplement – skwitowałam kwaśno jego słowa.

Nie zwrócił na mnie uwagi.

– Lady Cecily, jest pani prawdziwą artystką.

Pochwała spotęgowała tylko jej zmieszanie.

– Mnie... nie wolno...

– Czy byłaby pani łaskawa wyjaśnić mi to coś? – Rozłożył kartkę wyciągniętą z kieszeni kamizelki. Rozpoznałam ją. Był to szyfrowany liścik, który mi zostawiła. Wywnioskowałam, że w końcu udało mu się odczytać tekst i zaczyna rozumieć (chwała logicznym procesom dedukcji), czym jest dla niej posługiwanie się lewą ręką.

Lady Cecily wyszeptała:

– Musiałam to napisać, kiedy... zachowywałam się niestosownie.

– Moja droga pani, nie ma nic niestosownego w tym, że ktoś jest po prostu sobą. Chyba że wykazuje skłonności przestępcze. Czy ostatnio pani kogoś uśmierciła?

Na jej twarzy pojawił się uśmiech, a nawet cichutko się zaśmiała.

– Nie.

– A więc proponuję, by Enola zamówiła dla nas wszystkich śniadanie i żeby spożywając je, posługiwała się pani lewą ręką.

„Wciąż jeszcze nie zdecydował, jak postąpić” – pomyślałam, kierując się w stronę dzwonka. Istniała też gorsza możliwość: jest przekonany, że Cecily powinna wrócić na łono swojej nieszczęsnej rodziny, ale nie potrafi się zmusić, by do tego doprowadzić. Sherlock Holmes, jak wynikało z relacji Watsona, nie ma zwyczaju domagać się śniadania czy innego posiłku. Podejrzewałam, że chce jedynie zyskać na czasie.

– Uwielbiamy traktować zsypaną na pranie jako zjeżdżalnię, kiedy ojca nie ma w domu – oświadczyła Cecily, rozpogadzając się na samo wspomnienie, kiedy wysłuchała mojej relacji z wydarzeń ostatniej nocy i odkryć, które poczyniłam. – Phyllis wiedziała, że nic ci tam nie grozi. – Nabijając niezgrabnym, ale pewnym ruchem kolejne kęsy na widelec, pochłaniała z apetytem przepyszne śniadanie, które pani Bailey przyniosła nam do gabinetu. – Myślisz, że mama zgodzi się wziąć udział w spisku?

– Nie miałam okazji dłużej z nią porozmawiać, a nazwiska służących wyjawiała mi Phyllis.

– Nie owijaj spraw w bawełnę, Enolu – wtrącił łagodnie Sherlock. – Lady Theodora nie chce mieć z tym nic wspólnego, prawda?

– Nie powiedziała ani „tak”, ani „nie”.

Pociągnął łyk kawy z mądrą miną.

– To, czy na to przystanie, czy nie, i tak jest bez znaczenia, ponieważ twój plan ma same wady.

– Dlaczego? Jeśli nawet lady Theodora nie odważy się tego zrobić, może ją wyręczyć Cecily, oświadczyając ojcu, że wie o sprzedaży zwłok do prosektoriów... O dentystach nie wspomnę... I że ujawni

to publicznie, jeśli ojciec nie zmieni swego postępowania.

Sherlock pokręcił głową z charakterystyczną dla siebie wyższością.

– Spyta ją, jakimi dysponuje dowodami. A ona ich nie ma. A choćby i miała, wystarczy, że ojciec ponownie zarządzi areszt domowy, zabezpieczając tym razem okna przed ostrzałem z łuku, i ponownie uczyni ją bezbronną. Nie, w tej transakcji będzie nam potrzebna trzecia strona. Oraz jakieś dokumenty kompromitujące sir Eustace'a.

– Czy zechciałbyś zostać ową trzecią stroną i wystarać się o dowody na piśmie?

– Nie chcę i nie mogę splamić swojego honoru szantażem.

– Ale to wcale nie będzie szantaż – zaproponowałam.

– Przepraszam. – Cecily się pochyliła, żeby szeptnąć mi na ucho: – Natura wzywa. Czy istnieje możliwość...

– Oczywiście. – Zadzwoiłam. Joddy wyjątkowo stawił się od razu na wezwanie. – Zaprowadź naszego gościa do kuchni – poinstruowałam go – i poproś panią Bailey, żeby udzieliła lady pomocy. – Toaletę umieszczono na tyłach budynku, tuż przy ścianie zewnętrznej, by ograniczyć przedostawanie się zapachów do domu. – Po wyjściu Cecily podjęłam dyskusję z bratem. – To nie jest szantaż. Przecież nie zażądamy od niego pieniędzy.

– Jedyne wsparcie finansowe po ogłoszeniu separacji? A może pokrycia kosztów wizyt u alienisty? – Sherlock trwał w uporze, kręcąc głową. – Kiedy tylko wróci z wygódki, opuszczam to miejsce i zabieram dziewczynę ze sobą. – Podniósł dłoń, by uciszyć moje protesty. – Obiecuję, że zażadam widzenia się z lady Theodorą i jeśli tylko będzie to możliwe, z sir Eustace'em, któremu dam do zrozumienia, że jest bacznie obserwowany przez towarzystwo.

– A on zaraz po twoim wyjściu ponownie uwięzi Cecily.

– Być może. Mam nadzieję, że jednak nie. Ale skoro się upierasz, że twój plan jest lepszy, wprowadź go w życie. Jeśli ci się uda, dopniesz swego, choćby miało ci to zająć kilka tygodni lub miesięcy. Jestem przekonany, że lady Cecily zdoła przez ten czas ścierpieć tyranie ojca.

– Kiedy ja będę zdobywać dowody i dokumentację?

– Tak.

– No dobrze. A jak, teoretycznie rzecz biorąc, powinnam się do tego zabrać?

Na tak sformułowane pytanie nie mógł odpowiedzieć inaczej, niż zdradzając mi potencjalne źródła informacji i sugerując metody działania. Mówił długo i wyczerpująco, aż wreszcie przerwał w pół słowa:

– Enolu, dlaczego lady Cecily tak długo nie wraca?



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kilka godzin później, kiedy powróciłam do swojego pokoju w Klubie dla Pań, po gruntownej kąpieli i umyciu włosów (z pomocą pokojówki), przebrana w szlafrok i z głową owiniętą ręcznikiem udałam się do łóżka. Chodzenie spać z mokrą głową nie jest najlepszym pomysłem. Po wyschnięciu włosy układają się w najdziwniejsze węzowe sploty i serpentyny, a człowiek przez parę dni przypomina potem Meduzę. Jednak nie mogłam postąpić inaczej, musiałam się porządnie wyspać. Czułam się zmordowana, wypłuta i na wpół żywa po nieprzespanej nocy i po burzy, która się rozpętała, kiedy Sherlock odkrył, że lady Cecily zniknęła.

Na jego obronę muszę wspomnieć, że gniew objawił się wyłącznie w formie zmiany barwy nosa na białą. Brat nie przeklinał, nie krzyczał, nie podnosił głosu. A jednak wiedziałam, że jest wściekły. Głównie, jak się domyślam, na siebie, bo w swojej naiwności liczył na to, że Cecily okaże się bardziej uległa.

– Nie spodziewałem się, że jest na świecie druga równie krnąbrna dziewczyna jak ty, Enolu – warknął, opuszczając gabinet w fatalnym humorze.

Ale to wszystko nic w porównaniu z furią pań Bailey i Fitzsimmons. Chwilę po tym, jak Sherlock zatrzasnął za sobą drzwi, przybiegły do mnie z awanturą, informując, że z ich portmonetek, które leżały w kuchni, zniknęły wszystkie funty, szylingi i pency, a ich miejsce zajęły karteczki z brakującą kwotą podpisane moim imieniem i nazwiskiem. Oczywiście te nieporadnie skreślone gryzmoły nie wyszły spod mojej ręki. Zostawiła je tam Cecily, która doskonale wiedziała, że nigdy mi nie brakuje pieniędzy i bez szemrania pokryję stratę. Co od razu uczyniłam i tym samym udobruchałam rozsierdzone kobieciny. Rozpierała mnie radość, i to z dwóch powodów: Cecily zdobyła środki, które pozwolą jej przetrwać w ukryciu kilka kolejnych dni, i wciąż posługiwała się lewą ręką, mimo że pisanie nią sprawiało jej trudności.

Wróciłam do swojego azylu w klubie w błogim poczuciu, że nie muszę się martwić o lady Cecily. Dopóki jest pewna siebie i leworęczna, z pewnością da sobie radę. Ale zaraz, nie, jednak wychowano ją w rygorze posłuszeństwa i praworęczności, więc w każdej chwili może się przedzierzgnąć w potulną i bezbroną istotkę. I chociaż zamknęłam oczy, by zapaść w zasłużony sen, nie mogłam przestać o tym myśleć. O tym i o moim bracie. W głębi serca odczuwałam jakiś dziwny ból. Czy było to poczucie winy? Nie. Po przeanalizowaniu swoich poczynań uznałam, że nie mogłam postąpić inaczej. Ale doprowadziłam go do gniewu. Bolałam nad tym. To, że mam braci, to, że mam rodzinę, było dla mnie czymś zupełnie nowym, więc nagle zdjął mnie lęk, że mogę to wszystko utracić. I mimo że się nie pokłóciliśmy, poczułam się nieszczęśliwa.

Ale był to stan, do którego nawykłam: świadomość osamotnienia. Moje imię, czytane wspan, to „alone”: „samotna”. Tyle razy zasypiałam z tym uczuciem, że i tym razem udało mi się to bez trudu.

Zapadłam w tak długi i głęboki sen, że obudziłam się głodna jak wilk. Było już dawno po kolacji i wszystkie rezydentki klubu poszły spać. Wzięłam latarenkę i przyświecając sobie niczym szukający uczciwego człowieka Diogenes, zesłam w szlafroku i kapciach do pustej, cichej kuchni. Odstawiłam lampę na stół i się odwróciłam, by poszukać czegoś, co mogłabym przekąsić... I omal nie wrzasnęłam z przerażenia, kiedy ujrzałam na ścianie swój cień. Kiedy spałam, ręcznik zsunął mi się z głowy i teraz wyglądałam jak czupiradło: poskręcane i splątane pasma włosów sterczały mi z głowy na wszystkie strony i zdawały się wić, jakby były obdarzone własnym życiem! Zakryłam dłońmi usta, dławiąc pisk, i dopiero po chwili się zorientowałam, że za wrażenie ruchu odpowiada migoczący na stole płomień.

– Cóż za wymyślna fryzura! – odezwała się lady Vienna. Rozpoznałam jej głos, jeszcze zanim się odwróciłam. Wyglądała dziwnie dziewczęco w kimonie z szerokimi rękawami i włosami splecionymi w dwa warkocze. Postawiła przyniesiony z sobą lichtarz obok mojej lampy. – Doprawdy, to bardzo artystyczne uczesanie, moja droga! – W jej jasnych oczach malował się autentyczny podziw. – Przypomina pani teraz jeden z tych kwiatów o rozczapierzonych płatkach, nazwy nie pamiętam, które tak bardzo lubią pszczoły... – Złożyła ręce i przyglądała mi się w skupieniu, jakbym była eksponatem w Luwrze.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, więc bąknęłam:

– Najmocniej przepraszam, lady Vienno. Czyżbym panią obudziła?

– Ależ nie, kochanie, nie! Skądże znowu. Ostatnimi czasy prawie w ogóle nie sypiam i często przychodzę pobuszować tu trochę w środku nocy. Kucharki przymykają oczy na czynione przeze mnie spustoszenie. – Czując się najwyraźniej jak u siebie w domu, podkręciła gaz i zgasiła świecę. – Właśnie miałam sobie przyrządzić jajecznicę z mlekiem. Jest pani głodna?

– Jak wilk. Nie jadłam ani lunchu, ani kolacji.

– Wielkie nieba, wiedzie pani wyjątkowo nieuporządkowane życie! – Otworzyła drzwiczki jednego z piekarników i wyjęła z niego przykryty lnianą serwetką koszyk. Wręczyła mi go ze słowami: – Kucharki były uprzejme zdradzić mi, gdzie chowają smakołyki.

O tak, same smakowitości! Ciastka z dżemem, biszkopty, bułeczki, herbatniki, tartaletki, babeczki z lukrem... nieprzebrana różnorodność przyciągała wzrok, zachęcając do ucztowania. Niewiele myśląc, usiadłam przy stole i zaczęłam pałaszować. Jadłam długo i do syta, zupełnie zapomniawszy o dobrych manierach, aż do chwili, gdy lady Vienna położyła przede mną serwetkę, widelec i postawiła talerz z gorącą jajecznicą z mlekiem.

– Ojej! – zawołałam. – Beznadziejny ze mnie przypadek! Zgroza! Powinam była pani pomóc.

– Nonsens – powiedziała dobrodusznie i usiadła przy mnie ze swoją porcją. – Gdybym potrzebowała pomocy, nie omieszkałabym o nią poprosić.

Słowa te odbiły się echem w pustce, która zapanowała w mojej głowie. Gdybym potrzebowała pomocy...

– Bardzo pani dziękuję za jajecznicę – powiedziałam przepełniona szczerą wdzięcznością, wycierając usta. Jajecznica z mlekiem to rarytas, którego przyrządzanie wymaga wielkich nakładów cierpliwości, trzeba bowiem nieustannie mieszać jajka z gorącym mlekiem aż do osiągnięcia konsystencji wiejskiego twarożku. – W życiu nie jadłam lepszej.

– Nie ma za co, tajemnicza młoda damo – odparła z wyjątkowo ciepłym uśmiechem. – Do jakiej szalonej eskapady teraz się pani przymierza?

Musiała to wyczytać z mojej twarzy! Odwzajemniłam jej uśmiech.

– Bardzo fortunnie się składa, że się spotykałyśmy, ponieważ muszę z panią pomówić w cztery oczy o pewnej bardzo istotnej sprawie.

– Ależ oczywiście, moja droga. – Odsunęła na bok pusty talerz, spojrzała na mnie z figlarnym błyskiem w oku i oszczędziła mi czezej gadaniny, pytając wprost: – Jak sobie radzi lady Cecily?

– Trudno mi powiedzieć, ponieważ co chwilę zmienia osobowość! – Przejęta troską zaczęłam gadać jak najęta: – Radziłaby sobie o wiele lepiej, przebywając w rodzinnym domu, gdyby tylko dało się utemperować jej ojca. Znalazłam potwierdzenie plotek, o których mi pani mówiła. Sir Eustace pozbywa się zwłok zmarłych służących w podobny sposób jak u siebie również w domach swoich siostr. Pokojówka lady Theodory podała mi nazwiska trojga zmarłych pracowników jego rezydencji. Gdyby nie przerwano nam rozmowy, z pewnością ujawniłaby kolejne.

– Słyszałam, że wróciła pani do klubu z włosami uczernionymi pyłem węglowym.

– No tak, nie da się tu niczego ukryć. Ale to prawda, tak właśnie było. Nie jestem mile widzianym gościem w domu państwa Alistairów. – Zamilkłam na chwilę, a ona z uśmiechem wysnuwała związane z tym wnioski. – Niemniej muszę się tam ponownie udać, ponieważ, jak mi pani kiedyś powiedziała, nie zdziałam nic, nie mając w rękach dowodów. Muszę odszukać jakieś kompromitujące dokumenty. Jeśli sir Eustace przechowuje umowy albo kwity dotyczące transakcji z prosektoriami, mam nadzieję je wykraść. I teraz muszę się odważyć, by zadać pani pytanie. Czy zechce mi pani pomóc?

Uniosła brwi.

– Ale w jaki sposób?

Przedstawiłam jej plan, który najwyraźniej wydał jej się nadto ryzykowny, ponieważ wysłuchała mnie w zamyśleniu i nie odpowiedziała, kiedy ponownie ją spytałam, czy będzie gotowa mi pomóc.

– Sir Eustace nigdy mnie nie widział – dodałam. – W przeciwieństwie do kamerdynera, ale potrafię bardzo przekonująco odmienić swój wygląd. A pani zadbałaby o to, by cała ich uwaga skupiła się na niej. – Znów przypatrywała mi się w milczeniu. – Przecież z punktu widzenia moralności wypełnimy tylko nasz obowiązek...

Podniosła dłoń, by mnie uciszyć.

– Nie mam nic przeciwko łamaniu prawa. Robiłam to niejednokrotnie w imię walki o prawa kobiet. Ale trochę deprymuje mnie fakt, że jeszcze nigdy nie poznałam kogoś takiego jak pani. Perdytorka? I to tak młoda? Gotowa podjąć największe ryzyko... Dlaczego?

Wiedziałam, jak ją przekonać. Od naszego pierwszego spotkania chciałam jej coś wyznać i teraz nadarzała się doskonała okazja, by to uczynić. Poczułam promieniujące z mego serca ciepło i bezwiednie się uśmiechnęłam.

– Dlatego, że jestem nieodrodną córką swojej matki – oświadczyłam. – Pozwoli pani, że przedstawię się pełnym imieniem i nazwiskiem: Enola Holmes, córka Eudorii Vernet Holmes.

Ponieważ lady Vienna doskonale ją знаła, nie potrzebowała dalszych wyjaśnień.

– Och! – zawołała, przykładając dłonie do ust. – Och! – powtórzyła zmienionym głosem i uniosła ramiona jak skrzydła, żeby mnie wziąć w objęcia. – Och, to moja najlepsza przyjaciółka z lat młodości! Dałam się przytulić, odwzajemniłam się uściskiem i obie zalałyśmy się łzami.

Kiedy już się napłakałyśmy i nagadałyśmy, wróciłam do łóżka, czując się jak senne dziecko, które nakarmiono, wycelowano i utulono do snu. Chociaż nie zaznałam zbyt wielu takich przejawów czułości ze strony mamy, miałam wrażenie, że znów jest przy mnie, ponieważ lady Vienna Steadwell była w jakiś dziwnie zawirowany sposób pokrewną duszą lady Eudorii Vernet Holmes. Mimo że nie przyszło mi z łatwością przekazanie jej informacji o odejściu dawnej przyjaciółki, wiem, że cieszyła ją, tak jak mnie, świadomość, że ostatni rok życia minął mamie pod znakiem szczęścia i wolności na wędrownie przez pola i lasy z taborem cygańskim z dala od krępujących norm światowego życia. I podobnie jak ja lady Vienna uznała, że cygański pochówek, czarne konie i nieoznakowana mogiła to godne i poetyczne ukoronowanie jej życia.

– Kochana Eudoria – westchnęła. – Była tak oryginalną, autentyczną, niemającą sobie równych osobowością. – Słowa, które padły krótką chwilę potem, zupełnie mnie rozkleiły. – A jednak, moja droga Enolu, domyślam się, że nie była idealną matką.

– Była cudowna i niemożliwa. – Nie potrafiłam wydusić z siebie nic więcej. Myślałam, że wypłakałam się już za wszystkie czasy, ale łzy ponownie napłynęły mi do oczu.

„Cudowna i niemożliwa. Zupełnie jak Sherlock” – rozmyślałam, leżąc w wywołanym przez nadmiar słodyczy i emocji błogim półśnie. Na myśl o bracie ponownie uczułam klucie w sercu. Obraził się na mnie. Muszę jak najszybciej się z nim spotkać, może nawet jutro, tuż po zakończeniu z lady Vienną „wizyty towarzyskiej” u Alistairów.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następnego dnia po lunchu rozpoczęłam przygotowania. Wybrałam świeżo kupioną modną suknię popołudniową uszytą z fiołkowej faille, z długimi wąskimi rękawami zwieńczonymi bufkami i nowoczesną spódnicą udrapowaną nad wstawką w kolorze bzu, współgrającą z ząbkowanym zdobieniem stanika. Następnie wezwałam pokojówkę, ponieważ mimo długotrwałego szcietkowania moje włosy nie dawały się w żaden sposób ujarzmić. Załamała nad nimi ręce, przeczesała mokrym grzebieniem i jakimś cudem zdołała upiąć z nich fryzurę, którą mogłam ukryć pod kapeluszem. Na szczęście najmodniejsze nakrycia głowy świetnie się do tego nadawały ze względu na swoje imponujące rozmiary. Wybrany przeze mnie kapelusz przypominał fioletową boję nawigacyjną przystrojoną pękami czaplich piór, chmurkami tiulu i zaopatrzoną w ogromne opadające rondo.

Odprawiwszy pokojówkę, umalowałam nieco wargi, kości policzkowe i powieki. W nowym płaszczyku i w najlepszych z moich skórkowych rękawiczek, dzierżąc w dłoni fikuśny parasol, zesłam na dół, gdzie czekała już lady Vienna.

Chociaż nigdy dotąd nie widziałam jej w stroju wizytowym, nie byłam zaskoczona faktem, że jej wygląd przyćmił moje skromne starania.

– Czy to suknia od Wortha?! – zawołałam z zachwytem, patrząc na jej olśniewającą kreację, na którą składały się stanik z butelkowozielonej tafty, spódnica z kremowego brokatu zdobionego pionowymi pasami haftowanych różyczek, podwiązana z przodu zielonymi wstążkami i zaopatrzona z tyłu w plisowane „ogony” z kremowego jedwabiu.

– Skoro obiecałam dołożyć wszelkich starań, dotrzymałam słowa. – W dłoni odzianej w delikatną rękawiczkę uniosła lorgnon, jakby inaczej nie mogła mnie dostrzec, bawiąc się trzymanym w drugiej ręce ozdobnym i nader oryginalnym wachlarzem. – Wielkie nieba, cóż za dekadentkie nakrycie głowy! I jakim cudem udało ci się aż do tego stopnia zmienić rysy twarzy? Moja kochana Aubergine, nie poznałabym cię na ulicy! – Uzgodniłyśmy, że na ten jeden dzień wcielę się w jej bratanicę Aubergine Parthe Steadwell. Nie miała takowej, a imię Aubergine zapożyczyłyśmy od bakłażana. Przyjrzała mi się uważnie, po czym pokiwała z aprobatą głową, wprawiając w sprężynowy ruch wstążki i pióra zdobiące jej równie okazały jak mój kapelusz. – Zdaje się, że jesteśmy gotowe do wyjścia.

Na zewnątrz zamiast dorożki czekał na nas wynajęty powóz i to taki, jakiego nie powstydzilaby się sama królowa. Do kompletu nie brakowało stangreta w bikornie i lokaja w peruce i groteskowej tradycyjnej liberii: marynarce, spodniach do kolan, białych pończochach i butach z klamrami. Zabawne, że strój elegantów jednego stulecia staje się wzorem przyodziewku służących nowego wieku. Jak by to zinterpretował alienista?

W oknach Klubu dla Pań pojawiły się liczne twarze dam obserwujących, jak stangret wita nas z przesadną galanterią i pomaga nam zająć miejsca na wyściełanych pluszem królewskich siedziskach. Odprowadziły nas wzrokiem, kiedy dwa gniade konie ruszyły w drogę. Gdy zniknęłyśmy im z oczu, zastukałam parasolką w sufit karocy na znak, że chcemy się zatrzymać.

Na ulicy panował zwykły ruch, toteż manewr zajął stangretowi sporo czasu, mimo że jego uprzywilejowany pojazd dawał mu pierwszeństwo przed bryczkami, faetonami, landami i innymi powozami niższej rangi. Kiedy koła przestały się obracać, usłyszałam, jak lokaj zeskakuje na ziemię i drepcze ku drzwiczkom. Uchylił je i spojrzał na lady Viennę i na mnie z widocznym zdumieniem.

– Każ woźnicy zabezpieczyć lejce i dołączyć do nas – poleciłam. Wykonał mój rozkaz. Miałam teraz przed sobą dwie nic nierozumiejące twarze. – Pragniemy wam zapłacić z góry – oświadczyłam – i ostrzec, że być może będziemy potrzebować waszej pomocy i współpracy, ponieważ nie jesteśmy pewne przebiegu wydarzeń tego popołudnia.

– Wbrew pozorom nie wybieramy się z wizytą kurtuazyjną – dodała spokojnym głosem lady Vienna. – Czy możemy na panów liczyć? – spytała, kiedy wręczałam im zapłatę, i dorzuciła od siebie so-wity napiwek. Wyraz niezrozumienia zniknął z twarzy obu jegomościów, którzy zaczęli kiwać głowami z takim zapałem, że z peruk poderwały się chmury pudru. Chyba wniosłyśmy w ich dzień pracy ożywczy powiew.

– Jedźmy dalej – oznajmiłam z uśmiechem, czując grzeszny dreszczyk emocji przed oczekującym nas zadaniem.

Powóz poturlał się dalej, nie zatrzymując się już po drodze, aż wjechaliśmy na spokojną ulicę w rezydencjalnej dzielnicy i znaleźliśmy się przed dostojną ceglana fasadą georgiańskiej siedziby Alistairów.

Lokaj pomógł nam wysiąść, odprowadził nas pod drzwi i zastukał w naszym imieniu kołatką w kształcie lwiej głowy, wykazując przy tym daleko posuniętą usłużność. Lady Vienna, zgodnie z umową, przejęła dowodzenie. W jej dłoni pojawiła się wizytówka. Kiedy kamerdyner o kamiennej twarzy uchylił drzwi, cofnęłam się o krok, pochyliłam głowę, żeby rondo kapelusza ocieniło mi twarz, i zrobiłam wdzięczną minkę.

Nie tracąc czasu na zbędne formalności, kamerdyner oznajmił, że lady Theodora nie życzy sobie żadnych gości, i już miał zamknąć nam drzwi przed nosem, kiedy lady Vienna spytała:

– Doprawdy, Smythe? – Zamarł, jakby ktoś go zamienił w słup soli. – Nie uczono cię chyba takiej obcesowości, kiedy pobierałeś nauki w służbie hrabiego Blackwatera. Bądź łaskaw powiadomić sir Eustace’a, że lady Steadwell i jej bratanica, panna Aubergine Steadwell, pragną złożyć mu wizytę.

I wszystko przebiegło zgodnie z planem. Nieszczęsny Smythe pozwolił jej zostawić wizytówkę na srebrnej tacy, która ni stąd, ni zowąd zaczęła drzeć, zaczął aż odprawimy naszego lokaja i zaprowadził nas do bawialni. Usadził nas w wielkich welurowych fotelach stojących po obu stronach bogato rzeźbionego kominka z marmuru kararyjskiego, wziął ode mnie parasolkę, która umieścił w stojaku w kształcie nogi słonia, i zniknął. Niespeszona lady Vienna siedziała w swoim przesadnie watowanym fotelu, wachlując się bez wyraźnego powodu i uśmiechając się do mnie.

– Ten wachlarz wygląda jak żywcem przeniesiony z Baśni tysiąca i jednej nocy. Z czego jest zrobiony? – szepnęłam.

– Poza żeberkami rzeźbionymi w kości słoniowej? Z koronki igłowej, granatów i skóry krokodyla.

Na całe szczęście nie musiałam się do tego ustosunkowywać, ponieważ z głębi domu rozległ się tubalny wrzask:

– Smythe, zabroniłem ci kogokolwiek tu wpuszczać!

– Kochany Eustace. – Subtelny uśmiech lady Vienny nabrał niespodziewanie krokodylowych cech, współgrających z jej wachlarzem.

Po kilku sekundach w bawialni pojawił się sir Eustace we własnej osobie, żywiąc zapewne przekonanie, że toczy wokół gniewnym wzrokiem, chociaż w mojej ocenie po prostu się nadął.

– Ach, z pewnością nie spodziewałeś się mnie tu zobaczyć, drogi chłopcze! – Wyciągnęła z wdziękiem dłoń w rękawiczce do pocałowania. – Jak dobrze wiesz, nie można mi zarzucić skłonności do częstej gadaniny, więc od razu przejdę do sedna sprawy. Wyznaczyłam sobie zadanie odwiedzenia wszystkich moich znajomych z dawnych lat. Ponieważ jestem w wieku, w którym dusza może w każdej chwili wziąć rozwód z ciałem, pragnę uczciwie rozdzielić swoje doczesne dobra. – Sir Eustace, który patrzył do tej pory z obrzydzeniem na jej wyciągniętą dłoń, natychmiast zmienił wyraz twarzy, skłonił się i złożył stosowny pocałunek. – Pozwól, że ci przedstawię swoją bratanicę, a ściślej rzecz biorąc, córkę mojej zmarłej przedwcześnie bratanicy, pannę Aubergine Steadwell, która jest mi podporą w ostatnich latach mego żywota.

Chociaż nie było możliwości, by sir Eustace, z którym nigdy osobiście się nie zetknęłam, mnie rozpoznał, z bijącym sercem podałam mu dłoń. Wymruczałam coś niezrozumiałego i pochyliłam głowę, wczuwając się w rolę onieśmiałego dziewczątka. Ale zaraz potem uśmiechnęłam się, widząc w jego oku zimny błysk: oczywiście uznał mnie za rywalkę w wyścigu po spadek po lady Viennie. Odwrócił się, po czym usadowił się naprzeciwko nas, opierając łokieć o blat stolika na cokole, i przybrał męską w swoim mniemaniu pozę.

Nie wiedział, biedak, że lady Vienna, jak mi to z wesołością wyznała, miała zamiar roztrwonić cały swój majątek za życia, póki jej jedynym dobrem nie staną się wspomnienia.

Zresztą od razu do nich przeszła, przypominając sir Eustace’owi okres jego dzieciństwa, które przypadło na czas jej debiutu w towarzystwie. Z każdym wspomnieniem, łącznie z tym o grocie tkwiącym w pewnej wstydlivej części ciała jego siostry, pewność siebie mężczyzny zniknęła, a on sam sprawiał wrażenie osoby cierpiącej na niestrawność. Sądząc z błysków w jej seledynowych oczach, wywoływanie w nim poczucia zażenowania sprawiało lady niekłamaną przyjemność, mimo to trzymała się naszego planu, wypełniając skrupulatnie jego kolejne punkty. Przeszła do pytań o zdrowie sióstr, a potem wyraziła współczucie z powodu choroby „twojej uroczej żony, lady Theodory. Wielka szkoda, że nie możemy się z nią spotkać”.

Ostrzegałam lady Viennę, że lady Theodora może mnie rozpoznać.

– Domyślałam się, że w codziennych okolicznościach twoja żona sprawnie zarządza domem. Nie może być inaczej, przecież macie tak dużą gromadkę dzieci, ale czy mogłabym przejrzeć prowadzone przez nią rachunki? – I jakby było to najnaturalniejszą rzeczą, że powinno się jej dać do wglądu domowe

księgi rachunkowe, lady Vienna wstała i opuściła bawialnię, kierując się w stronę biblioteki. Podreptałam za nią jak kaczątko za matką. Wkroczyła tam w tak majestatyczny sposób, że wszechobecny kamerdyner skoczył, by przysunąć jej krzesło, a sir Eustace pospiesznie otworzył sekretkę, mebel równie niezbędny w domach wyższych sfer jak stół na cokole. Sekretka z drewna czereśniowego, większa niż sekretarzyk z roletą, pyszniła się pod ścianą, z przeszklonymi półkami w górnej części i zamykanymi na klucz szufladami w dolnej. Pomiędzy nimi mieściły się składany lakierowany blat oraz ukryte w głębi pionowe przegródki i tajemne schowki.

Sir Eustace rozłożył blat, a następnie otworzył szuflady. Zasiadłszy przy meblu, lady Vienna wyciągnęła z jednej z nich ostatnią księgę przychodów i wydatków, zbliżyła do oczu lorgnon i przejrzała kilka stron wypełnionych kolumnami cyfr, a następnie wyjęła księgę z poprzedniego, tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku i zapoznała się z jej zawartością, unosząc coraz bardziej brwi.

– Widzę, że igracie z ogniem – zauważyła, karcąc sir Eustace’a surowym wzrokiem. – Będąc kobietą o ze wszech miar nowoczesnych poglądach, nie pochwalam zwyczajów arystokratów, którzy żyją ponad stan. Inaczej nie zadawałabym sobie trudu, by szukać spadkobierców swojej fortuny poza rodziną. A moim zamiarem jest przekazanie jej w ręce kogoś, kto ma smykałkę do kapitalistycznej przedsiębiorczości...

– Prowadzę bardzo korzystne transakcje i inwestycje – wszedł jej w słowo sir Eustace, drżąc na całym swoim konusowatym ciele jak pies myśliwski wystawiający zwierzynę, a jego drobna, otoczona tłuszczem twarzyczka nabrała nagle wyrazistości wskutek pobudzenia umysłu.

Lady Vienna spojrzała na niego pytająco sponad lorgnonu.

– Transakcje i inwestycje w jakiej dziedzinie?

– W dziedzinie... ee... sztuki. – Sir Eustace odsunął jedną z sekretnych ścianek mebla i wyjął ukryty w schowku oprawny w czerwoną skórę notes. Z pewnym ociąganiem podał go lady Viennie.

Otworzyła go na pierwszej stronie.

– Timothy Burke – przeczytała na głos, zachowując podziwu godny spokój, podczas gdy ja omal nie sapnęłam z wrażenia. – Nie słyszałam o nim. To artysta?

– Nie. Model. Zajmuję się... portretami.

– Widzę, że jego podobizna poszła za sporą sumkę. Czy za inicjałami ZNMB kryje się kolekcjoner?

Kiedy to mówiła, podeszłam od niechcienia do biurka i stanęłam przy niej. Ponieważ zachowywałam milczenie, żaden z satelitów w układzie słonecznym lady Vienny, ani pokojówka, ani kamerdyner, ani pan domu, nie zwrócił na to uwagi.

– Ee... tak, właśnie – odpowiedział sir Eustace.

– A Imogen Saunders to także... modelka, prawda? – Podała mi notes, nie przerywając rozmowy z sir Eustace’em. – Jej portret trafił to tego samego kolekcjonera?

– Tak... ee... – Zanim sir Eustace zdążył zauważyć, co się święci, byłam już na środku biblioteki. – Zaraz! Stać! – zapiszczał, więc rzuciłam się do ucieczki.

Byłam niepokieszona, musząc porzucić swoją najlepszą parasolkę, ale są rzeczy ważne i ważniejsze. Dzięki temu, że wchodzące właśnie w modę suknie nie ciągnęły się po ziemi, mogłam pobiec sprintem bez konieczności unoszenia przed sobą spódnicy. I dlatego też, kiedy kamerdyner Smythe zabiegł mi drogę, broniąc dostępu do drzwi, zdążyłam, nie zwalniając kroku, wyszarpnąć ukryty w gorsiecie sztylet i zamachać nim w powietrzu – bez zamiaru uśmiercenia służącego. Gdyby nie ustąpił mi z drogi (a ustąpił, z bardzo mało dystygowanym okrzykiem i wielką skwapliwością), zadałabym mu jedynie powierzchowną ranę i nic więcej.

Wybiegłam do sieni i skierowałam się ku wyjściu. Kątem oka dostrzegłam, że lady Vienna również opuściła bibliotekę, ale udała się w inną stronę, żeby zmylić pościg.

Baronet i kamerdyner podnieśli raban:

– Ratunku! Złodziejka! Łapać ją! Zatrzymać! Stop! Lady Vienno?

– Idę na górę złożyć wizytę pańskiej małżonce, sir Eustace – odpowiedziała śpiewnie. Sądząc po głosie, w momencie, w którym dopadłam drzwi frontowych, była już na schodach. Popędziłam w kierunku powozu, ściskając w dłoni bezcenny, oprawny w czerwień dowód rzeczowy.

Stangret i lokaj, mimo ostrzeżenia, że może się wydarzyć coś niespodziewanego, zbaranieli na mój widok. W związku z tym, zamiast wsiąść do karety, wskoczyłam na kozioł, siadłam obok nich i rzucałam:

– Jedziemy!

Stangret chwycił lejce i wyjąkał:

– A-a-ale druga dama...

– Nic jej nie będzie! – Zgodnie z umową od tej chwili każda z nas była zdana na siebie, a ja miałam pewność, że lady Vienna poradzi sobie z dowolną liczbą szemranych baronetów. Wyszarpnąwszy bat z uchwytu, przejechałam nim po zadach obu koni. Ruszyły z kopyta. – Jedziemy, nie zatrzymujemy się i zachowujemy czujność!

Wielkie nieba, byłam niemal równie apodyktyczna jak Sherlock.

Powóz potoczył się po bruku.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Otwierając drzwi kamienicy przy Baker Street 221, pani Hudson rozpromieniła się na mój widok.

– Ależ ślicznie dziś pani wygląda, panno Enolu. Niestety, pana Holmesa nie ma w domu.

Wyszedł! Ja się narażam, zeskakuję z kozła karety pośrodku ruchliwej ulicy, żeby zmylić pogoń, ryzykuję stratowanie przez konie i rozjechanie przez powozy, wskakuję do tramwaju, jadę na St. Pancras Station, podejmuję się podróży metrem w stroju wizytowym, aż wreszcie pędzę dorożką do Sherlocka, a ten ma czelność być nieobecny? Stoję na progu z upchniętym w uzdatniaczu biustu małym czerwonym rejestrem nieczystych transakcji sir Eustace'a, palącym mnie żywym ogniem, a mój brat miał czelność wybyć z domu?

– O której może wrócić?

– Nie poinformował mnie o tym, ale ubrał się odświętnie, więc może poszedł na jakiś popołudniowy recital. – Pani Hudson przypatrywała mi się z z troskaniem w oczach. – Może zechce pani wejść i na niego zaczekać, panno Enolu?

– Nie, bardzo pani dziękuję. Mam niezwykle pilną sprawę... Pani Hudson, a może orientuje się pani, dokąd udaje się Sherlock w celu zamówienia fotograficznych kopii cennych dowodów?

Zamrugnęła szybko i oświadczyła, że nie dysponuje taką wiedzą, więc oddaliłam się, płonąć gniewem. Powtórzyłam sobie jednak raz jeszcze: „Enolu, myśl”, przywołałam dorożkę i pojechałam złożyć wizytę doktorowi Watsonowi. Wiedziałam, że go zastanę, ponieważ przyjmował pacjentów w godzinach popołudniowych. Przemknęłam obok skromnie odzianych osób siedzących w poczekalni i załotałam do drzwi gabinetu. Watson otworzył i zamrugnął ze zdumienia, zupełnie jak pani Hudson. Siedząca za jego plecami sparaliżowana starsza kobieta rzuciła mi pełne oburzenia spojrzenie.

– Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam – oświadczyłam nieszczerze, a następnie powtórzyłam zadane wcześniej pani Hudson pytanie.

Znał odpowiedź, jednak zapisując mi adres na kartce z bloczku recept, uprzedził:

– Niestety, droga Enolu, nie sądzę, żeby potraktowano cię tam poważnie. Będzie lepiej, jeśli sam Holmes...

– Poniosło go gdzieś – przerwałam mu oburzona.

Oczy Watsona zamglily się na chwilę w zamyśleniu.

– No tak. Tak, oczywiście, dziś z całą pewnością jest na Strandzie.

Taki to a taki skrzypek wykonuje taką to a taką sonatę. Puściłam tę informację mimo uszu i pobiegłam z powrotem do dorożki, obiecując woźnicy suwerena, jeśli dowiezie mnie na Strand przed rozpoczęciem koncertu.

Zajechaliśmy tam w chwili, gdy teatr otwierał podwoje. Wmieszałam się w oczekujący tłumek, nie budząc niczyich podejrzeń, ponieważ wszystkie damy były ubrane równie strojnie jak ja.

Szczupły i wysoki jak tyka Sherlock nie był trudnym do wypatrzenia obiektem, zwłaszcza że miał na głowie cylinder. Większym problemem było to, jak zwrócić na siebie jego uwagę. Zamachałam chusteczką, ale odniosło to skutek przeciwny do zamierzonego. Brat odwrócił wzrok i przyspieszył kroku przekonany zapewne, że jakaś atrakcyjna kobieta zagięła na niego parol. Musiałam więc zapomnieć o godności, popędziłam za nim i położyłam mu na ramieniu dłoń w skórzanej rękawiczce.

– Sherlocku!

Z jawną niechęcią odwrócił się w moją stronę, zdejmując z głowy kapelusz. Rozpoznał mnie dopiero po chwili i przyjął to z mieszanymi uczuciami. Szkoda, że w naszym języku jest tak mało słów opisujących równoczesne okazywanie sprzecznych ze sobą emocji. Myślę, że najodpowiedniejszym określeniem w tym przypadku jest „słodko-gorzki”. Chociaż do wyrazu twarzy mojego brata, zdradzającego irytację połączoną z braterską troską, lepiej pasowałby zwrot „urazona radość”.

– Co tym razem, na Boga, wymyśliłaś, Enolu?

Trudno było to nazwać serdecznym powitaniem, jednak chcąc nie chcąc, skwitowałam jego słowa uśmiechem.

– To naprawdę nie moja wina, że liczyłeś, iż dobre wychowanie nakaże lady Cecily do ciebie wrócić.

– Przypuszczalnie masz rację – przyznał niechętnie. – Ale co cię tu sprowadza, wystrojoną jak na bal i w tak niedorzecznym kapeluszu?

– Nie bardziej niedorzecznym niż twoja rura od pieca – odcięłam mu się, patrząc, jak wciska z powrotem na głowę cylinder. Ale po chwili łagodniejszym głosem wyjaśniłam: – Musisz mnie zaprowadzić

do swojego tajemniczego znajomego, który ma w piwnicy ciemnię, Sherlocku. A potem razem odszukamy Cecily.

Sherlock posłał umyślnego, by sprowadził nam dorożkę, ale tym razem czterokołową z krytą budą. Kiedy podjechała, ze zdumieniem stwierdziłam, że znam zarówno ciągnącego ją konia – Kasztanka – jak i woźnicę, chociaż ten zazwyczaj jeździł dwukółką.

– Harold! – wyrwało mi się.

– Panna Enola? – Był równie zaskoczony jak ja, ponieważ jeszcze nigdy nie widział mnie w fioletowym przepychu ani w towarzystwie dżentelmenów w cylindrach. Zdjął z głowy melonik i uklonił się Sherlockowi.

– Mój brat – poinformowałam go, wykazując pewną dozę ekscentryzmu, jako że pasażerowie nie przedstawiają zazwyczaj dorożkarzom członków swojej rodziny.

Sherlock pomógł mi wsiąść.

– Wolę nie pytać – oznajmił tonem człowieka, który właśnie przewrócił oczami. – Harold, tak? – odezwał się nieco uprzejmie do woźnicy.

Pojazd ruszył, a ja w jego zamkniętym wnętrzu pokazałam Sherlockowi swoją zdobycz: kieszonkowy notatnik sir Eustace’a. Ponieważ sama nie zdążyłam dokładnie zaznajomić się z jego zawartością, usiadłam obok brata, by zerknąć na zapiski. Wynikało z nich, że sir Eustace sprzedał trzydzieści siedem „portretów”.

– Jakżeś to, na miłość boską, zdobyła? – spytał Sherlock.

– Damskimi sposobikami – powiedziałam. – Co oznacza skrót ZNMB?

– Zakład Nauk Medycznych w Battersea. Sir Eustace ma, jak widzę, doskonałe koneksje.

Wizyta w atelier fotograficznym nie trwała długo, ponieważ Sherlock od dawna współpracował z jego właścicielem i miał do niego pełne zaufanie. Zostawiliśmy mu notes do zduplikowania, umówiliśmy się, że za kilka godzin wrócimy po odbiór, i ponownie wsiedliśmy do dorożki.

– Haroldzie, zawieź nas na East End od strony pompy Aldgate – poleciłam.

Dla wiadomości łaskawego czytelnika napomknę, że East End to szemrana dzielnica Londynu, którą upodobał sobie Kuba Rozpruwacz. Niewielu dorożkarzy miało odwagę tam się zapuszczać. Ale opatrność zesłała nam Harolda.

– Wedle życzenia, panno Enolu.

Sherlock usadowił się w środku ze zdziwioną miną, ale wolałam się powstrzymać od wyjaśnień.

– Powiedz mi, mój drogi braciszku – odezwałam się, kiedy ruszyliśmy w drogę przez mękę, jaką było przebijanie się przez zatłoczone londyńskie ulice pod koniec dnia – jak wygląda sprawa z udziałem koronowanych głów, zubożałej rozwódki i różowego cyrkowego pudła?

Zbył mnie machnięciem ręki.

– Już dawno się z nią uporałem. Szkoda, że twój umysł i jego pokrętne machinacje stanowią większą zagadkę.

– Na Boga, przecież nie jest aż tak trudno mnie zrozumieć. – Zdałam mu skrótową relację z tego, czym się zajmowałam od naszego ostatniego spotkania, lekceważąc jego okrzyki oburzenia i rozpacz. Kiedy jednak minęliśmy pompę Aldgate, wysoki na osiemnaście stóp monstrualny pomnik postępu i higieny, z wylotem wody w kształcie wilczego pyska z brązu, i dotarliśmy do tego punktu granicznego między City a dzielnicą nędzy, przerwałam swoją opowieść, wystawiłam głowę przez okienko i zawołałam do Harolda: – Zwolnij teraz! – A następnie pouczyłam Sherlocka: – Wypatruj jej ze swojej strony, ja się skupię na swojej.

– I to wszystko? – spytał podniesionym głosem. – Czy do tego ogranicza się twój plan odszukania lady Cecily?

– Nie, oczywiście, że nie do tego. Ale gdyby akurat tędy szła, byłoby głupio, gdybyśmy ją przeoczyli.

Wydechając głośno powietrze w sposób dziwnie przypominający prychnięcie, Sherlock przysunął twarz do szyby.

W tej dzielnicy ruch uliczny wygląda zupełnie inaczej niż w City. Wprawdzie tu i ówdzie można było wypatrzeć pojazd konny, to jednak po bruku przemieszczały się głównie tłumy pieszych i najrozmaitszego autoramentu przekupniów – sprzedawców piwa imbirowego, pasztecików z mięsem, wędzonych śledzi, jabłek, babeczek, słodkich bułeczek na ciepło i tak dalej; dostrzegłam też dostawcę drobiu z żywym ptactwem przywiązany za nogi, dyndającym z niesionej przez niego na ramionach żerdzi. Przyznam, że przykuł moją uwagę, podobnie jak obdarzone obfitym biustem podobizny dziewcząt kołyszące

się na sznurach, które ktoś obdarzony małpią zręcznością podwiesił na latarniach. Ale cały czas wypatrywałam Cecily odzianej w brązowy kostium, w tanim słomkowym kapeluszu na głowie.

Widziałam mnóstwo młodych kobiet odpowiadających temu opisowi, ale żadna z nich nie była tą, której szukaliśmy. Sherlock również nie miał szczęścia.

Kiedy jednak moim oczom ukazał się pewien budynek, uderzyłam głośno w sufit powozu na znak, że Harold ma się zatrzymać.

– Zaczekaj tu na nas – powiedziałam mu, kiedy wysiadłam na chodnik.

Sherlock dołączył do mnie.

– Może pani na mnie liczyć, panno Enolu. No i rzecz jasna, pan także, panie ‘Olmes.

Od razu staliśmy się główną miejscową atrakcją, bo w eleganckich strojach wyróżniliśmy się z tłumu jak orchidee na porośniętej stokrotkami łące. My jednak skupiliśmy się na budynku. Był to duży ceglany gmach, który byłby całkiem zwyczajny, gdyby nie to, że nad jego dachem wznosiły się wysokie słupy z rozpiętymi między nimi ciężkimi czarnymi przewodami. Nad wejściem napis z kutego żelaza głosił: CENTRALA TELEFONICZNA DLA WSCHODNIEGO LONDYNU.

Ujęłam brata pod ramię.

– Wchodzimy.

– Pod jakim pretekstem?

– Z naszym arystokratycznym wyglądem nie musimy się tłumaczyć. Wystarczy, że przywiodła nas ciekawość. Z pewnością dostrzegą w nas potencjalnych abonentów. Czy masz monokl, przez który mógłbyś spoglądać z wyższością?

Kąciki ust drgnęły mu nieznacznie, jakby chciał się uśmiechnąć, ale natychmiast przybrał minę znudzonego jasnie pana. Uczepiona jego ramienia drugą ręką zgarnęłam z wdziękiem spódnicę i wspiealiśmy się po schodach. Kiedy przepuścił mnie z ukłonem przez dwuskrzydłowe dębowe drzwi, znalazłam się w niezwykłym wnętrzu, przypominającym skrzyżowanie fabryki ze stodołą. Ogromna hala była podzielona przegrodami na trzy części. Po obu stronach każdej ze ścian siedziały na wysokich krzesłach kobiety tyłem do przejścia jak krowy uwiązane w zagrodach, w białych fartuchach przysłaniających codzienny strój. Ale zamiast huku maszyn w pomieszczeniu było słychać jedynie szum ściszonych, uprzejmych głosów przywodzący na myśl brzęczenie owadów w lecie. Kiedy odzywał się dzwonek, siedząca przy nim kobieta zdejmowała z haczyka stożkowate urządzenie i przykładała jego szerszy wylot do ucha.

Mężczyzna w getrach, z całą pewnością kierownik, podszedł do nas i pochylił głowę w ukłonie.

– Czym mogę państwu służyć?

Nie słyszałam, co odpowiedział mu na to Sherlock, ponieważ całą uwagę skupiałam na obserwowaniu zajętych pracą kobiet. Każda z nich przykładała stożkowatą tubkę do ucha i prowadziła z kimś rozmowę, mówiąc do okrągłego otworu w ścianie. Wolną ręką zapisywała coś na kartce, odkładała ołówek, po czym zajmowała się obsługą licznych przycisków na wyznaczonej jej tablicy rozdzielczej.

Wszystkie z nich robiły to prawą ręką, z jednym wyjątkiem.

Poczułam ciepło w okolicach serca. Podeszłam do leworęcznej dziewczyny. Sherlock rozważnie pozostał z tyłu. Tak, to była Cecily, jej idealny profil był niepowtarzalny. Pochyliłam się nad twardym drewnianym krzesłem i się uśmiechnęłam.

Początkowo, skupiona na pracy, nie zauważyła mojej obecności.

– Przepraszam, ale abonent nie odpowiada – rzekła do otworu w ścianie. – Może zechce pan spróbować później? Doskonale. Życzę miłego wieczoru. – Powiesiła słuchawkę na haczyku, dostrzegła mnie, a jej twarz rozjaśniła się z radości. – Enola!

– Przynoszę ci wspaniałe wiadomości – powiedziałam, celowo nie zwracając się do niej po imieniu, ponieważ przypuszczalnie zatrudniła się tu, podając fikcyjne dane. – A przynajmniej mam nadzieję, że są wspaniałe. Możesz na chwilę ze mną wyjść?

– Kończę zmianę o ósmej. Jeśli teraz porzucę stanowisko, zwolnią mnie.

– Ile godzin dziennie pracujesz?

– Dwanaście. – A potem powtórzyła to z zupełnie inną intonacją: – Dwanaście godzin! A pracownice z fabryki zapalek muszą harować po czternaście godzin! Nigdy nie przypuszczałam, że dzień może się aż tak dłużyć.

– Wyjdiesz ze mną? – spytałam ponownie. Tym razem wstała, podnosząc zdecydowanie głowę, zdjęła fartuch i rzuciła go na oparcie opuszczonego krzesła. Idąc obok mnie ku wyjściu, zawahała się przez chwilę na widok mojego brata. Sherlock pozdrowił ją skinieniem głowy z tak wielką aprobatą i życzliwością w oczach, że nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Cecily skłoniła się mu i cała nasza trójka opuściła siedzibę Centrali Telefonicznej dla Wschodniego Londynu. Nastął zmierzch i zapalano la-

tarnie uliczne. Paru gapiów na zatłoczonej ulicy rzuciło w naszą stronę jakieś docinki, ale nie zaszczyli-
śmy ich spojrzeniem. Kiedy znów stawiliśmy się przy dorożce, na poczciwej i szczerzej gębie Harolda od-
malował się wyraz ulgi.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Chwileczkę. – Cecily zatrzymała się nagle i zwróciła do Sherlocka. – Panie Holmes, czy pańskim zamiarem jest odwiezienie mnie do domu i przekazanie w ręce mojego ojca?

– Nie – odpowiedział z przekorną miną. – Mam zamiar pogwałcić prawa natury i przekazać ojca w ręce pani i pani matki.

– Czy mówi pan poważnie?

– Jak najbardziej, a Enola tym bardziej. – Skłoniwszy głowę, wyciągnął ku niej rękę. Zgodziła się przyjąć jego pomoc i wsiadła do dorożki.

– Co on ma na myśli? – spytała, kiedy i ja się tam znalazłam i zajęłam miejsce obok.

Harold ruszył, by zawieźć nas ponownie do atelier fotografa, a ja przedstawiłam Cecily całą sytuację. Ponieważ każde z wyjaśnień wymagało dodatkowych uzasadnień, zabrało mi to sporo czasu. Lady Cecily wysłuchiwała mnie z wielką uwagą, ale trwała w zamyśleniu, nie wykazując dla mojego pomysłu tak wielkiego entuzjazmu, na jaki liczyłam.

– Czy papa naprawdę dopuścił się przestępstwa? – upewniła się, co wprawiło mnie w zdumienie, ponieważ nie przypuszczałam, że żywi jeszcze jakieś ciepłe uczucia wobec tego człowieka. Muszę jednak pamiętać, że wychowywałam się bez ojca od czwartego roku życia, więc być może nie potrafię ocenić trwałości rodzinnej więzi.

– Przede wszystkim dopuścił się hańbiącego czynu – odparłam. – Miał moralny obowiązek przekazywać zwłoki rodzinom zmarłych, by zadbały o ich godny pochówek, wolał jednak odsprzedawać ciała prosektoriom i innym tego typu instytucjom. Gdyby sprawa wyszła teraz na jaw, wybuchłby wielki skandal.

– Sir Eustace działał na granicy prawa – dodał Sherlock, który do tej pory milczał. – Natomiast krewni zmarłych, rzecz jasna, nie zgłaszali zastrzeżeń. Zbyt dobrze znają swoje miejsce w hierarchii społecznej. Nie musi się pani obawiać, że ojciec trafi na ławę oskarżonych. A zatem, droga lady Cecily, czy zgodzi się pani unieść ten metaforyczny miecz nad jego głowę?

– Tak – padła odpowiedź. – Z wielką chęcią. – Jednak Cecily wciąż była małomówna i poważna i nie wykazywała zbyt wielkiej radości.

– Radzę zatem pomyśleć, jakie postawi mu pani warunki.

– Warunki?

– Ale nie warunki kapitulacji – wyjaśniłam z irytacją. – Chodzi nam bardziej o zastrzeżenia przedstawione przez zwycięzcę. O zasady regulujące zachowanie twojego ojca w przyszłości. O postawienie żądań.

– Żądań? – powtórzyła słabiutkim głosem.

Spróbowałam wyczytać coś z jej twarzy, ale w środku dorożki było zbyt ciemno, bo na zewnątrz zapadły już ciemności.

– Cecily – przywołałam ją szorstko do porządku. – Wróć tu, proszę.

– Ojej... przepraszam... ale nie rozumiem. – Stała się potulna jak myszka. Wyglądało na to, że w pewnym momencie po wejściu do dorożki ponownie straciła swoją leworęczność.

Sporządziłam zatem listę żądań w jej imieniu, korzystając z chwili przerwy, kiedy Sherlock poszedł odebrać powielone fotograficznie strony oprawnego w czerwoną skórę notesu oraz, rzecz jasna, oryginał. Oczywiście jak zawsze miałam przy sobie ukryte pod gorsetem papier i ołówek. Przy wpadającym przez szybę blasku latarni napisałam, co następuje:

Ani lady Theodora, ani lady Cecily, ani żadna z siostr ostatnio wymienionej nie będą odtąd przetrzymywane pod kluczem w swoich sypialniach lub buduarach czy też pozbawiane niezbędnych do życia środków, takich jak ubrania, pożywienie i woda.

Sir Eustace zobowiązuje się okazywać żonie najwyższy szacunek i zasięgać jej porady w kwestii wychowania i dyscyplinowania dzieci.

Gdyby lady Cecily wykazała chęć zamieszkania z dala od rodzinnej rezydencji, sir Eustace powstrzyma się od niweczenia jej planów.

Gdyby lady Cecily wyraziła potrzebę odwiedzenia alienisty

Nie udało mi się zapisać nic więcej, ponieważ do dorożki wsiadł Sherlock, dzierżąc w rękach

czerwony notes i gruby plik zdjęć.

– Znajomy zobowiązał się zachować szklane negatywy na wypadek zniszczenia tych odbitek – powiedział, zwróciwszy mi notes, i pomachał fotografiami. – Ale czy zastanowiłaś się, gdzie je przechowamy?

– Początkowo myślałam o biurze doktora Ragostina, jednak pojawiły się pewne trudności. – Przechyliłam nieznacznie głowę w stronę Cecily, która wyłączyła się uprzejmie z naszej rozmowy, jakby dotyczyła jedynie nas dwojga, a nie jej. – Znow przesłała w fazę praworęczności. A będąc w tym stanie, zaprowadziłyby ojca prosto do kryjówek.

Siedzący naprzeciwko Cecily Sherlock przez kilka minut studiował jej twarz. Przyszło mi do głowy, że marzy teraz o nabitej machorką fajce. Bądź co bądź nasza lady była dla niego nieprzeniknioną zagadką. Po dłuższym milczeniu wreszcie się odezwał:

– Najmocniej przepraszam, że ci początkowo nie uwierzyłem, Enolu.

– Nie jest łatwo uwierzyć w coś tak niezwykłego, prawda? Ale teraz dostrzegasz słaby punkt mojego planu. Jeśli Cecily nie podda się leczeniu, nigdy nie będzie w stanie się usamodzielnic. Ktoś będzie musiał przemawiać i działać w jej imieniu. I to nie tylko dziś wieczorem, ale przez długie lata.

– Lady Theodora zawsze występowała w imieniu córki – powiedział Sherlock bez większego entuzjazmu.

– Owszem i została pokonana. Nazwiska zmarłych podała mi służąca, bo pani domu była przerażona całą sytuacją.

– A zatem jeśli nie matka, to kto?

– Ty.

Bez chwili wahania i nie podnosząc głosu, Sherlock zaproponował:

– Nie mogę, Enolu. Nie mogę i nie chcę zniżyć się do udziału w szantażu.

– Ale przecież nie żądamy pieniędzy...

– Co nie zmienia faktu, że będzie to próba wyłudzenia. Zresztą między wierszami jest mowa o zapewnieniu środków. – Wskazał głową na moją listę. – Koszty utrzymania, gdyby lady Theodora wybrała separację, opłaty za leczenie u alienisty...

Zdenerwowałam się nieco i podniosłam głos, syjąc z oczu iskry.

– Nazwij to, jak chcesz, szantażem czy próbą wyłudzenia, ale czy nie uważasz, że wśród wszystkich rodzinnych tyranów nie ma drugiego, który bardziej zasługiwałby na karę niż sir Eustace? Nie możesz się przemóc i choć raz uczynić wyjątek?

– Nie – powiedział zaskakująco łagodnym tonem, jakby żałował, że musi sprawić mi zawód. – Nie, Enolu. Nawet dla ciebie. – Otworzyłam usta, ale ponieważ straciłam ochotę do robienia bratu wyrzutów, od razu je zamknęłam. – Będiesz teraz zdana na siebie – dodał nieco chłodniej.

„Enolu, doskonale sobie poradzisz sama” – odezwał się w zakamarkach mego umysłu głos mamy.

Westchnęłam i zaczęłam się zastanawiać nad najlepszym wyjściem z sytuacji.

– Tak, oczywiście masz rację, Sherlocku. – Ku mojemu zaskoczeniu zabrzmiało to pewnie i rozsądnie. Otworzyłam szybkę i wysunawszy głowę, poleciłam umęczonemu Haroldowi, by mnie odwiózł do klubu. Postanowiłam przechować kompromitujące dowody w swoim pokoiku.

Kiedy znalazłam się u siebie, wepchnęłam notes sir Eustace'a i fotografie pod materac łóżka. Nie był to może genialny pomysł, ale zabezpieczał dowody przed wścibskim wzrokiem mężczyzn. Kobiety zresztą też, a przynajmniej do kolejnej zmiany pościeli. Potem trzeba będzie ukryć dokumenty w lepiej zakamuflowanej skrytce.

Wyglądziłam pościel, wyprostowałam się i zerknęłam w lustro. Na widok wysztafirowanego na lawendowo odbicia zmarszczyłam brwi. Mój kapelusz naprawdę wyglądał niedorzecznie. Przecież nikt, a już z pewnością sir Eustace nie potraktuje z powagą tak ekstrawaganckiego wybryku mody.

Nie miałam czasu się przebrać, ponieważ na dole czekali na mnie w dorożce Sherlock i Cecily. Zdarłam więc z głowy kapelusz z taką siłą, że aż rozsypały się wokół szpilki, a następnie zgięłam się wpół, by w wyskubywaniu i wyczesywaniu pozostałych wesprzeć się siłą przyciągania ziemskiego. Kiedy wróciłam do pionu i przejrzałam się w lustrze, zobaczyłam się ponownie w porannej gorgonowatej wersji. Pasma włosów sterczały we wszystkich możliwych i niemożliwych kierunkach. Wyglądałam jak obłąkana.

– I bardzo dobrze – wymamrotałam, pokonując z niegodną damy prędkością próg, schody i chodnik przed tylnym wejściem klubu. Wskoczywszy do dorożki, zastałam tam jedynie Cecily.

– Wielmożny pan postanowił wrócić do domu na piechotę, panno Enolu – pośpieszył z wyjaśnie-

niem uśmiechnięty Harold, który najwidoczniej zgarnął spory napiwek. Mnie jednak daleko było do radości. Poczułam się nagle jak opuszczone dziecko. Serce mi się ścisnęło. Jakże bardzo pragnęłam mieć teraz brata przy boku. Kto nas wesprze, kiedy rzucimy wyzwanie sir Eustace'owi? Właśnie próbowałam przywołać w pamięci swoją mantrę, że doskonale poradzę sobie sama, kiedy odezwał się Harold: – Dokąd teraz, panno Enolu?

W tej samej chwili Cecily spostrzegła moje włosy i ożyła.

– Enolu! – Aż podskoczyła na siedzisku. – Cóż za imponująca lwia grzywa! Czyżbyś jeździła na rowerze?

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Ależ skąd, przecież cały wieczór spędziłam z tobą.

– Naprawdę? Nic nie pamiętam. Gdzie się teraz znajdujemy i co tu robimy?

– Dom Alistairów – rzuciłam krótko Haroldowi. Znał już ten adres. Kiedy dorożka ruszyła, odwróciłam się w stronę Cecily. – Pamiętasz, jak pracowałam w centrali telefonicznej?

– Tak! Bardzo mi się to podobało i świetnie mi szło. Ale potem zjawiłaś się ze swoim bratem i... po tym fakcie mam w głowie tylko pustkę. – Kiedy to mówiła, niepokój zaostriął rysy jej ślicznej twarzy. – Enolu, dlaczego nic nie pamiętam? Coś jest ze mną nie tak.

Było mi jej żal, lecz nie można tracić czasu na sentymenty, kiedy przyszedł czas, by zmierzyć się z jej ojcem. Powiedziałam więc, możliwie jak najbardziej stanowczym tonem:

– Jeśli dopuścisz to do świadomości, będziesz mogła się z tym zmierzyć.

– Ale z czym? Co się ze mną dzieje?

Może przyjdzie czas, że o tym dokładniej porozmawiamy. Teraz ograniczyłam się do słów:

– Zgubiła ci się gdzieś najwyżej godzina. Ale to nieważne, jeśli tylko zdobędziesz się na odwagę i rzucisz wyzwanie ojcu.

– Papa! Gdyby poznał prawdę, zamknąłby mnie w domu wariatów – jęknęła, zakołysała się żałośnie i ukryła twarz w dłoniach.

– Prawdę? Jaką prawdę? Że jesteś leworęczna? Cecily, przypomnij sobie lepiej prawdę, którą odkryłaś na jego temat. Ta wiedza umożliwi ci wtrącenie go do więzienia.

Zdaje się, że jeszcze nigdy nie przemawiałam do niej z taką surowością. Możliwe, że nikt dotąd tak do niej nie mówił poza jej ryczącym wściekłym ojcem despotą. Ale ja, mimo posiadania lwiej grzywy, nie ryczałam. I może byłam wściekła, ale nie na nią. Cecily zamilkła i znieruchomiała. Po chwili się wyprostowała i popatrzyła mi w oczy. Odwzajemniłam jej spojrzenie. W mrocznym wnętrzu dorożki dostrzegłam jedynie wzbierające łzy. Osuszyła je chusteczką, po czym, odłożywszy ją na siedzisko, wyciągnęła do mnie rękę. Ku mojej bezbrzeżnej uldze – lewą.

Wkrótce pojazd zatrzymał się przy krawężniku na wysokości jej domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Otworzył nam Smythe, kamerdyner o kamiennej twarzy. Kiedy ujrzał nas na progu, Cecily w skromnym brązowym kostiumie do pracy i mnie z burzą włosów godną barbarzyńcy, trochę zrzędała mi mina. Opadła mu bezwiednie żuchwa jak u pacynki, ale nie wydał żadnego dźwięku.

– Dzień dobry, Smythe. Czy mama i papa są w domu? – spytała melodyjnym głosem Cecily, wchodząc lekkim krokiem do holu ze mną u boku. Mijając służącego, pozdrowiła go od niechcienia dłonią (lewą!), a ja poczułam przyspieszone bicie serca przepełnionego jednocześnie strachem i nadzieją. Nadzieją, że przeciwstawi się ojcu, i strachem, że jej się to nie uda.

– Smythe, kto znowu przylazł? – dobiegł z biblioteki męski głos należący ponad wszelką wątpliwość do pana domu. Pytanie to wydało mi się nieco dziwne. Musiał przecież usłyszeć głos swojej córki. Ale zaraz potem uświadomiłam sobie, że nigdy nie słyszał jej przemawiającej tak optymistycznym tonem.

Mimo to sir Eustace musiał się w końcu czegoś domyślić, ponieważ nie czekając, aż Smythe udzieli mu odpowiedzi, wybiegł nam naprzeciw w całej okazałości swojej przysadzistej, tłustej postaci. Zastąpił nam drogę, więc się zatrzymałyśmy. Wytrzeszczył na nasz widok świńskie oczka tak, że urosły do niemal normalnej wielkości.

– Ty! Fiksatko! – Wycelował we mnie tłusty paluch wskazujący jak pistolet na pojedynku, nie zwróciwszy większej uwagi na to, że jego zaginiona córka nagle się odnalazła i stoi u mojego boku. – Ty obłąkana złodziejko! Gdzie jest moja własność, którą stąd wyniosłaś? Oddaj mi ją zaraz, inaczej wezwę konstabla!

Nie odezwałam się. Nie mogłam, nie wolno mi było. W tej przełomowej dla jej dalszych losów chwili to Cecily musiała zdecydować, czy okaże się słabą, czy silną osobowością, ale wszystko nagle stało się w miejscu. Po prostu zamarło. Nie mogłam zaczerpnąć tchu czy ruszyć palcem choćby po to, by wziąć Cecily za rękę... Jeszcze nigdy przedłużająca się cisza nie huczała tak głośno w moich uszach...

– Nie zrobisz nic takiego, ojcze! – zabrzmiał nagle bojowy, nieznoszący sprzeciwu głos Cecily. – To raczej ja powinnam wezwać policję, bo zasługujesz na więzienie! – Wpatrzył się w nią i odebrało mu mowę, może dlatego, że ją rozpoznał, a może z wrażenia, jakie wywołały w nim jej słowa. – Już nigdy więcej nie zamkniesz mnie pod kluczem, ojcze – dodała cichszym, ale przepełnionym jeszcze większą mocą głosem.

Uznałam, że mogę się już odezwać.

– Wiemy, kim byli Timothy Burke, Imogen Saunders i nieszczęsny Sims. Wiemy, jak potraktował pan doczesne szczątki tych osób. I wielu innych.

– I możemy tego dowieść – dopowiedziała Cecily.

Wreszcie mogłam uścisnąć jej dłoń, by dodać jej otuchy.

– W rzeczy samej. Jesteśmy w posiadaniu ciekawych zapisków dotyczących pewnych szczególnych transakcji. Nie wątpię również, że przeszukanie rejestrów publicznych...

Moje wywody przerwał nieartykułowany ryk. Sir Eustace skulił ramiona, wyciągnął szyję jak atakujący byk i wrzasnął:

– Tyyy! Kimkolwiek jesteś, rozkazuję ci opuścić ten dom i zabraniam ci się zbliżać do mojej córki! – Dłoń Cecily zadrżała i zaczęła wiotzczeć. Dziewczyna skurczyła się w sobie i opuściła głowę. Po raz kolejny zniknęło jej prawdziwe leworęczne ja. Wiedziałam, że nie jest w stanie nad tym zapanować, a jednak miałam ochotę się rozbeczeć z bezsilnej frustracji. Natomiast sir Eustace nie przestawał wrzeszczeć. – Nikt nie ma prawa rzucać mi wyzwania! Nikt nie będzie mi dyktował, co mam robić we własnym domu! Jazda mi stąd, bo każę cię zamknąć w piwnicy! – Ruszył w moją stronę.

Ten dureń naprawdę szykował się do rękoczynów! Puściłam dłoń Cecily i sięgnęłam po ukryty w gorsecie sztylet. Nie zdążyłam go wyciągnąć, gdyż nagle z góry odezwał się czyjś głos, anielski i władczy jednocześnie.

– Nie wydzieraj się i nie mów głupstw, Alistair.

Sir Eustace stanął jak wryty. Nic dziwnego, ponieważ był święcie przekonany, że jego żona siedzi karnie pod kluczem w swoim buduarze. Świńskie oczka ponownie otworzyły się szeroko, a ich posiadacz się odwrócił i spojrzał na schody. Stała tam, unosząc z dumą pięknie ufryzowaną głowę, lady Theodora ubrana w nad wyraz elegancką suknię uszytą z trzech kosztownych tkanin w odcieniach szmaragdu. Z całej jej postaci biła niezwykła godność, której w żaden sposób nie umniejszała uczipiona jej spódnicy dwójka najmłodszych dzieci, mały szkrab i pięcioletnia córeczka. Nie mogliśmy oderwać od niej wzroku,

a ona zaczęła schodzić po reprezentacyjnych schodach z lady Vienną Steadwell u boku. Lady Vienna! Mało brakowało, a zupełnie bym o niej zapomniała. Nie zastanawiałam się, co się z nią działo i czy wciąż przebywa w tej jakże niegościnniej rezydencji. Spodziewałam się, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wróci dorozką do klubu.

Wykazałam się nie lada arogancją. Przecież to oczywiste, że w trakcie tego długiego popołudnia obie damy zdążyły się zaprzyjaźnić, a na dodatek doszło do ponownego spotkania matki i jej maleństw. Lady Theodora przystanęła na antresoli i podniosła dumnie głowę.

– Napisałam już listy, Alistair – oznajmiła – i włożyłam do kopert z adresami redakcji „Timesa”, „Pall Mall Gazette”, „Daily Telegraphu” i wszystkich innych londyńskich dzienników. Jeśli nie masz ochoty stać się bohaterem haniebnego skandalu, zaczniesz traktować mnie i moją córkę z daleko większym szacunkiem niż dotychczas.

Cecily podniosła głowę, by spojrzeć na przemawiającą władczo lady, po czym puściła moją dłoń i podbiegła, impulsywnie jak małe dziecko, do matki, wtuliła się w nią i położyła jej głowę na ramieniu. Lady Theodora uściskała ją, a potem zaczęła głaskać po włosach, szepcząc coś uspokajająco.

– Lady Theodoro! – zawołałam z drugiego końca holu. – Czy woli pani skazać go na skandal, czy na więzienie? A może na jedno i drugie?

Ku mojej niekłamej satysfakcji okazało się, że sir Eustace stracił umiejętność mówienia. Twarz mu się skurczyła i przybrała śliwkową barwę, jakby za chwilę miał paść powalony atakiem apopleksji. Sumienie każe mi dodać, że ta możliwość nie wywołała we mnie najmniejszego niepokoju.

Lady Theodora spojrzała na mnie z uśmiechem i odpowiedziała mi, tuląc do siebie córkę i wzruszając wymownie ramionami:

– Jest mi to obojętne. Byłam posłuszną żoną i nie muszę się niczego wstydzić.

Sir Eustace zaczął wydawać urywane dźwięki przypominające odgłos kapiącego w ogień tłuszczu z nadzianej na ruszt gęsi.

Wykorzystałam jego chwilową niemoc i podeszłam bliżej. Natura obdarzyła mnie (co jest przekleństwem dla kobiety) i Sherlocka niemal identycznym wzrostem, a stan mojej fryzury sprawił, że wyglądałam prawdopodobnie jak dotknięta amokiem Amazonka:

– Widzi pan, sir Eustace, że we trzy możemy pana zniszczyć.

– We cztery – dopowiedziała cicho lady Vienna Steadwell.

– We cztery – poprawiłam się – a każda z nas dysponuje fotograficzną kopią rejestrów pańskich transakcji... – Trzeba będzie jak najszybciej zadbać o powielenie ich w trzech dodatkowych egzemplarzach! – ...z których jasno wynika, że w sposób urągający wszelkim normom etycznym kupczył pan zwłokami zmarłych służących w celu osiągnięcia korzyści materialnych, posuwając się nawet do pozbywania ich włosów i zębów, które sprzedawał pan perukarzom i dentystom. – Tu sięgnęłam po spis warunków. – Radzę się zastosować do naszych zaleceń, jeśli pragnie pan uniknąć konsekwencji. Po pierwsze i najważniejsze: ani lady Theodora, ani lady Cecily, ani żadna z siostr ostatnio wymienionej nie będzie już nigdy...

Rozłożywszy leniwie swój okazały wachlarz, lady Vienna wpadła mi w słowo, przemawiając cichym i spokojnym głosem, który mimo to zabrzmiał dobitniej i mocniej niż głos obu jej przedmówczyń:

– Zamierzam zabrać lady Cecily w podróż do Wiednia.

Cecily podniosła głowę znad ramienia matki i otworzyła usta ze zdumienia. Wszyscy obecni zrobili mniej więcej taką samą minę poza lady Theodorą, która przyjęła wiadomość z uśmiechem Mony Lisy.

Lady Vienna wprawiła w ruch kość słoniową, igłowe koronki, granaty i skórę z krokodyla.

– Uzgodniłyśmy już wszystko z Theodorą. Zawsze pragnęłam odwiedzić miasto, którego imię noszę, a Cecily, towarzysząc mi, będzie mogła skorzystać z usług działających tam lekarzy specjalizujących się w nowej gałęzi medycyny.

– Cudownie! – zawołałam, promieniejąc.

Równocześnie rozległ się skrzek sir Eustace'a:

– Co? Banialuki! Nie dopuszczę...

Spojrzałam na niego.

– Jedyne, do czego może pan dopuścić, to skandal i być może wyrok pozbawienia wolności, jeśli nie zmieni pan swojego postępowania.

Odwrócił swoją czerwoną, wykrzywioną grymasem gębę w moją stronę.

– Tyyy! Włazisz z buciarami w moje życie! Za kogo, do ciężkiej cholery, się uważasz?

Wyjawienie mojej tożsamości byłoby aktem szczególnej nierozwagi.

– Za kogoś, kto ukróci pańskie złodziejskie i dyktatorskie zapędy – odparłam.
– Jak już wcześniej wspominałam, to moja siostrzenica Aubergine – dodała lady Vienna.
– A także moja nader dzielna i godna najwyższego szacunku siostra – odezwał się arystokratyczny i władczy męski głos.

– Sherlock! – zawołałam ze zdumieniem i odwróciłam się ku wejściu. W uchylonych drzwiach, których otumaniały kamerdyner zapomniał dokładnie zamknąć, rysowała się wysoka sylwetka mojego brata zwieńczona cylindrem.

– Drogi chłopcze! – zawołała lady Vienna. – Kiedy cię po raz ostatni widziałam, biegałeś jeszcze w krótkich spodenkach!

– Cioteczko Vienno... – Skłonił głowę i uchylił kapelusza. – Jakże mi pochlebia to, że mnie jeszcze pamiętasz. Czy jeśli moja siostra uporała się już ze sprawą, którą miała tu załatwić, zechcesz zabrać się z nami dorożką?

– Moja droga Aubergine, uporałaś się ze sprawą? – spytała lady Vienna.

Idealnie poziomą kreskę warg mojego brata zaburzyło teraz lekkie rozbawienie moim pseudonimem. Bacząc pilnie, by nie odpowiedzieć mu uśmiechem, odwróciłam się kolejny raz w stronę wojowniczego baroneta.

– Sir Eustace, czy przystaje pan na przedstawione sobie warunki? – spytałam, uznając fakt, że nie zdążyłam go z nimi zapoznać, za mało istotny. Zresztą wszystkie i tak sprowadzały się do jednego: przestanie być domowym tyranem.

– A czy mam jakiś wybór? – Wyraźnie się nadał.

– Żadnego. Albo przyjmie pan warunki, albo lady Theodora roześle listy do wszystkich redakcji gazet. A raczej przekaże je mnie, bym natychmiast udała się z nimi na pocztę. – Sir Eustace skwitował to kolejnym nieartykułowanym dźwiękiem, lecz byłam nieustępliwa. – Czy jest pan gotów zmienić się na lepsze? Tak czy nie?

– Tak – burknął, a potem się odwrócił i wybiegł, znikając na tyłach domu.

– Co ty tu robisz? – spytałam Sherlocka, kiedy wsiadaliśmy do dorożki. Było nas dwoje, ponieważ lady Vienna z radością zgodziła się zostać w gościnie (i jak się domyślam, służyć pani domu wsparciem) na prośbę lady Theodory. – Harold powiedział mi, że udałeś się na piechotę do domu.

– Twój znajomek Harold to wzór wszelkich dorożkarskich cnót. Był tak uprzejmy i pozwolił mi się ukryć pod siedziskiem.

– Ale dlaczego? Myślałam, że nie życzysz sobie kłać rąk tak odrażającym procederem.

– Chciałem jednak obejrzeć towarzyszące mu fajerwerki. I czy możesz mi wyjaśnić, czemu postanowiłaś załatwić sprawę, uczesawszy się w tak budzący grozę sposób?

– Właśnie. Budzący grozę.

– A...

Zamilkłam na chwilę, dając się ukołysać optymistycznym myślom i kolebiącej się dorożce. Czy Sherlockowi nie zależało aby na czymś więcej niż na fajerwerkach? Czy naprawdę chciał się od wszystkiego odciąć? Czy przeważała jednak braterska troska i postanowił mnie wspomóc?

Pozwoliłam sobie na uśmiech, korzystając z panujących w pojeździe ciemności, chociaż nie ośmieliłabym się zadać tych pytań na głos.

– Enolu. – Zdaje się, że Sherlock także szukał odpowiedzi na swoje wątpliwości. – Teraz, gdy zaczął już opadać bitewny pył, zechcesz mi coś wyjaśnić? Skąd wiedziałaś, gdzie szukać lady Cecily? Czyżby znalazła sposób, by cię powiadomić o swoich zamiarach za moimi plecami? – Nie przestając się uśmiechać, pokręciłam głową. – Oświeć mnie, proszę.

– Nie, nie przesłała mi już żadnej wiadomości. A jednak odszukanie jej było najprostszą sprawą pod słońcem. – Mimowolnie naśladowałam jego mentorski ton. – Zastosowałam metodę eliminacji. Cecily musiała zacząć zarabiać na swoje utrzymanie, jednak jako dama nie mogłaby się zatrudnić w fabryce, a brak umiejętności pisania na maszynie przekreślał możliwość podjęcia pracy w jakimś biurze czy redakcji. Z kolei praca w sklepie lub na poczcie wiąże się z eleganckim ubiorem, którym nie dysponowała. Z tego samego powodu nie mogła zostać boną czy guwernantką. Pozostawało niewiele opcji. Z poprzednich naszych rozmów wywnioskowałam, że fascynuje się telefonami, więc rozpoczęłam poszukiwania od centrali telefonicznej.

Gdyby był z nami doktor Watson, z pewnością zawołałby: „Cudownie!”. Bardzo chętnie wysłuchałabym takiej pochwały, ale Sherlock ograniczył się do wypowiedzianego z niedowierzaniem:

– Rozumiem. Ale dlaczego wybrałaś akurat tamtą centralę? W Londynie jest ich kilka.

– Ponieważ lady Cecily pamiętała East End z czasu swoich eskapad i porwania. Ludzie przyciśnięci koniecznością często wracają do miejsc, które dobrze znają.

– A... – powiedział Sherlock. – Zapadła cisza, która trwała aż do przybycia do Klubu dla Pań. Kiedy Harold czekał cierpliwie, ściskając w dłoniach lejce Kasztanka, mój brat w końcu się odezwał, ale nie tylko po to, by mi życzyć dobrej nocy. – Enolu, jakie masz plany? – spytał bez ogródek.

– Poproszę Harolda o przechowanie pewnych rzeczy w jego stajni. Potem się prześpię, a jutro rano spróbuję zrobić coś z włosami. I wrócę do zaniedbanej chwilowo nauki.

– Myślę, że Akademia wytrzyma jeszcze parę dni. Nie masz czegoś pilniejszego do załatwienia?

– Nie. – Pomyślałam, by dać mu do zrozumienia, że ja także lubię słuchać muzyki, ale tylko westchnęłam, czując, że to nic nie da. – Ale ty na pewno masz.

– Tak się składa, że zgłoszono mi pewną szczególną sprawę i wpadło mi do głowy, że z twoją wyjątkową inteligencją i kobiecą intuicją... Mógłbym cię prosić o pomoc w rozwiązaniu tej zagadki?

Najpierw odpowiedziałam mu jak na damę przystało:

– Oczywiście, mój drogi bracie. – A po chwili wydałam radosny okrzyk i rzuciłam się Sherlockowi na szyję.

– Enolu droga! – Był zaskoczony, ale nie zniesmaczony. Delikatnie wyswobodził się z moich objęć. – Zatem jutro w porze lunchu? Przy Baker Street?

– Włożę na tę okazję najlepszy kapelusz.

– Niebiosa, miejcie litość.

Pomógł mi wysiąść. Stałam przez chwilę na chodniku, śmiejąc się i machając w stronę oddalającej się dorożki.



EPILOG

Wsiadając na pokład promu, którym miały z lady Vienną pokonać kanał La Manche, Cecily pomyślała, że rzadko można podziwiać coś równie pięknego jak ta lśniąca jednostka z dwoma wysokimi kominami i jeszcze wyższymi masztami flagowymi, na których trzepotały radośnie bandery. Ją także rozpieszczała radość. Odniosła zwycięstwo, udaremniając machinacje swego ojca i kładąc kres jego despotycznym zapędom, a teraz czeka ją daleka podróż na kontynent.

A to wszystko dzięki cudowi zesłanemu jej pod postacią lady Vienny Steadwell – jedynej przedstawicielki dorosłego świata, która potrafiła zrozumieć jej nieszczęście – kobiety, która również przyszła na świat obarczona „skazą” leworęczności i umiała się wczuć w sytuację Cecily. I służyć jej wsparciem. Co więcej, zdradzała oznaki sympatii! Cecily bardzo polubiła lady Viennę.

Znalazszy się na pokładzie, stanęły ramię w ramię przy burcie. Spoglądając na barwny tłum odprowadzających zgromadzonych na przystani, Cecily czuła muskającą jej płowe włosy morską bryzę. Były krótko ścięte jak u dziecka z sierocińca, jednak przestała się przejmować pytającymi spojrzeniami. Rzeźkie, przesycone zapachem soli powietrze doskonale współgrało z poczuciem, że oto w jej życiu zaczyna się nowy etap.

Przytrzymując się relingu, spoglądała z uśmiechem na matkę i towarzyszącą jej osobę, która także przyjechała do portu, żeby ją pożegnać: Enolę odzianą w najmodniejszy strój, wyglądającą stylowo i zawiadaczająco zarazem, jak to tylko Enola potrafi, z istnym wiśniowym sadem spływającym z ronda kapelusza, idealnie dopasowanym do krwistoczerwonej poloneski. W jej uśmiechu czaił się psotny chochlik. A jednak, mimo że stała obok lady Theodory, Enola sprawiała wrażenie osamotnionej. Bądź co bądź jej przyjaciółki odpływały w podróż.

Cecily zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Enolę i jak sobie bez niej poradzi. Przecież bywa, że w kanale mocno kołysze, co może przyprawić o chorobę morską. A mieszkańcy Francji mogą wyśmiać jej starania, by używać ich języka...

I zupełnie jakby otworzył się w niej jakiś zawór, opuściła ją nagle pewność siebie, zniknęła gdzieś radość i odpłynęło całe poczucie własnej wartości. Poczuli się nieśmiałym, naiwnym, niemal bezbronny stworzonkiem przerażonym wizją rozstania z domem i dalekiej podróży.

Nie.

Już nieraz doznawała takich falowań nastroju, ale teraz było inaczej, ponieważ zaczęła pojmować, co się dzieje i...

– Cecily, czy wszystko dobrze? – zaniepokoiła się lady Vienna.

– Będzie dobrze – wyszeptała dziewczyna.

I w tej samej chwili ryknęła syrena okrętowa, zagłuszając jej słowa. Statek odbijał od brzegu. Powoli, powoli przystań zaczęła się oddalać w budzący groźę sposób. Cecily zacisnęła dłonie na barierce.

Lady Vienna odwróciła się w jej stronę.

– Cecily?

Dziewczyna nie odpowiedziała jej spojrzeniem. Wpatrzyła się w coraz bardziej odległą przystań i w machającą jej na pożegnanie Enolę.

Cecily wyczuła, co powinna teraz zrobić, i z myślą o przyjaciółce zebrała się na odwagę. Odebrała dłonie od relingu. Uniosła jedną wysoko. I pomachała do Enoli.

Lewą ręką.

POZNAJ WSZYSTKIE SPRAWY ENOLI HOLMES



Enola Holmes. Sprawa zaginionego markiza
Enola Holmes. Sprawa leworęcznej lady
Enola Holmes. Sprawa złowieszczych bukietów
Enola Holmes. Sprawa osobliwego wachlarza
Enola Holmes. Sprawa szyfru na krynolinie
Enola Holmes. Sprawa tajemniczego zniknięcia księżnej
Enola Holmes. Sprawa czarnego powozu
Enola Holmes. Sprawa brawurowej ucieczki

 facebook.com/poradniak

 instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

 linkedin.com/company/poradniak

 poradniak.pl



ENOOLA HOLMES

NANCY SPRINGER

SPRAWA BRAWUROWEJ UCIECZKI

*Wciągająca przygoda z feministycznym akcentem. Enola udowadnia,
że geniusz tkwi w rodzinie!*

- WYBREDNA MARUDA MARTA DĄBKOWSKA -

TOM - 8 -



 Poradnia K